



DROGA DO OJCZYZNY

ADAM ŻARSKI

ISBN: 83-921013-0-8

Wrocław 2004

centrix.pl

© Copyright by Adam Żarski

<http://www.sybiracy.centrix.pl/zarski>

Tytuł: *Droga do ojczyzny*

Autor: *Adam Żarski*

Wydanie II poprawione

ISBN: 83-921013-0-8

Projekt okładki *Adam Żarski*

Redakcja i korekta *Adam Żarski*

Wybór ilustracji *Adam Żarski*

Fotografie pochodzą z prywatnych zbiorów autora

Wydanie II (elektroniczne) opracowano na podstawie zdigitalizowanego wydania I (ISBN: 83-85566-70-8).

Digitalizacja wydania I została wykonana w Pracowni Reprograficznej Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu – <http://www.bu.uni.wroc.pl/reprog>

Wydawca:

Centrix Krzysztof Cebula & Tomasz Kalota

ul. Karola Szajnochy 7/9

50 – 076 Wrocław

tel./fax: +48 (0)71/ 34 63 153

e – mail: centrix@centrix.pl

WWW: <http://www.centrix.pl>

Moim kolegom, żołnierzom Armii Krajowej, oddziału partyzantki leśnej w Borysławiu, których powojenne losy różnie się ułożyły (część z nich została aresztowana przez NKGB, a po zasądzeniu wywieziona w głąb ZSRR, gdzie przebywali w więzieniach i obozach kazachstańskich, jak również w lasach syberyjskich), kolegom z Armii Krajowej, których spotkałem w sowieckich gułagach, a także tym kolegom, którzy w Polsce Ludowej byli prześladowani za swój patriotyzm, za walkę o niepodległą ojczyznę, za próbę wyzwolenia spod okupacji sowieckiej, tym których w brutalny i bestialski sposób mordowano i katowano tę książkę poświęcam.

Adam Żarski

Próżna bojaźń śmierci

Gdybym się lękał śmierci,
byłbym w wielkim błędzie:
Jestem jej nie ma, przyjdzie
to już mnie nie będzie.

Florentyn Jałowiecki (1841 r.)

Spis treści

Spis treści.....	4
Wstęp.....	5
Część pierwsza – Kazachstan.....	7
Rozdział I – Śledztwo.....	8
Rozdział II – Współwięźniowie z celi.....	11
Rozdział III – Następne przesłuchania – sąd.....	15
Rozdział IV – Brygidki w Drohobyczu.....	22
Rozdział V – Wyjazd do Lwowa i dalej... ..	31
Rozdział VI – Karaganda, Karabas, Del-Del.....	36
Rozdział VII – Carepka.....	47
Rozdział VIII – Karagoga.....	53
Rozdział IX – Kujanda.....	74
Rozdział X – Wymarsz na <i>peresylny punkt</i> . Dżekazgan.....	81
Część druga – Sybir.....	106
Rozdział XI – Wyjazd z Kazachstanu na Sybir.....	107
Rozdział XII – Dalsza droga do miejsca przeznaczenia.....	115
Rozdział XIII – Južno-Jenisejsk.....	123
Rozdział XIV – Droga powrotna.....	153
Od autora.....	171
Wykaz nazwisk moich towarzyszy broni z AK.....	172
Ilustracje.....	175

Wstęp

Mając na uwadze tak ogromną ilość książek wydanych w okresie powojennym o tematyce związanej z przebywaniem Polaków w lagrach niemieckich podczas ostatniej wojny światowej i czytając je, odczuwałem zawsze pewną lukę i jak gdyby niedosyt. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego historia musi być tak jednostronna i przemilczać fakty dotyczące obozów znajdujących się na terytorium Związku Sowieckiego.

Dlaczego my, rodzice, pozwalamy na okłamywanie własnych i cudzych dzieci. Dlaczego, pisząc tak dużo o niemieckich obozach koncentracyjnych, przez 36 lat tak zawzięcie milczy się o obozach sowieckich. Jak dotychczas, nie spotkałem ani jednej książki dotyczącej lagrów sowieckich, wydanej w kraju przez autorów polskich.

Biorąc pod uwagę fakt, że rząd sowiecki po zajęciu naszych ziem wschodnich dokonywał masowych aresztowań wśród Polaków, terytorium sowieckie oraz obozy tam usytuowane zaczęły zapełniać się od 1939 roku Polakami. W 1944 r. z chwilą zajęcia ponownie ziemi polskiej przez władze sowieckie znowu zaczęły się aresztowania Polaków, tym razem za przynależność do Armii Krajowej. I jak miało to miejsce w latach 1939, 1940 i 1941, aresztowanych sądzono i wywożono w głąb Związku Sowieckiego do lagrów.

Tysiące młodych ludzi, i nie tylko młodych, dostało się w ręce sowieckiego Urzędu Bezpieczeństwa na długie lata cierpień, głodu, chłodu i katorżnej pracy. Masy ludzi nie przetrzymało tej niewoli i już nigdy nie powróciło do ziemi ojczystej, o której śnili przez długie, głodne lata.

W tej chwili, w okresie nieco sprzyjającym pisaniu prawdy, postanowiłem napisać tę książkę zawierającą skrócony opis mojego 11 – letniego pobytu w Związku Radzieckim. *Droga do ojczyzny* oparta jest na autentycznych wydarzeniach z mojego pobytu w lagrach oraz mojego czteroletniego zesłania.

Celem moim było uwidocznienie i ujawnienie skrzętnie zatajonych faktów, jak naród polski (i nie tylko polski) traktowany jest przez tak zwanego przyjaciela wschodniego, jaki jest stosunek Związku Sowieckiego do tych Polaków, którzy chcieli mieć ojczyznę wolną i niepodległą. Niech będzie wiadomo wszystkim Polakom, a szczególnie młodemu pokoleniu, które nie mogły uczyć się prawdziwej historii Polski, że naród polski był gnębiony oraz skazywany na zesłania za swoje przekonania polityczne lub za walkę o polskość. Nie tylko za rządów carskich, ale również i za

rządów sowieckich Polacy byli gnębieni, a nawet wręcz niszczeni, począwszy od roku 1939 aż do chwili obecnej.

Niech ta książka przynajmniej w jakiejś mierze uzupełni lukę w polskiej historii, niech otworzy oczy tym ludziom, którzy tak ślepo i naiwnie wierzą w przyjaźń sowiecko – polską, wmawianą nam od 36 lat.

Jeżeli choć w małej części przyczyni się ona do bardziej ostrożnego patrzenia w kierunku wschodnim i niedawania wiary słodkim słowom, jakie padają od lat zza Buga, wówczas będę w pełni usatysfakcjonowany.

W książce tej wszystkie nazwiska i imiona są prawdziwe. W niektórych jednak wypadkach byłem zmuszony podać tylko imię, ponieważ notatki z moich „wschodnich wojaży” zacząłem robić dopiero po przyjeździe do kraju, a pamięć ludzka jest jednak zawodna.

Rękopis „Droga do Ojczyzny” napisany został przez autora w 1980 r., z uwagi na ogłoszenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. przez władze komunistyczne rękopis nie został wydany w formie książki lecz przeleżał ukryty, (autor w 1981 r. był zastępcą przewodniczącego Koła Kombatantów przy NSZZ „Solidarność” we Wrocławiu, oraz przewodniczącym NSZZ „Solidarność” pionu Administracji w miejscu swojej pracy) zachodziła możliwość internowania go. W 1987 r. rękopis został przez autora przepisany na maszynie, a w 1997 r. wydany w formie książki. Autor spodziewając się wydać książkę w 1981 r. na wstępie książki określa okres 36 lat. Obecnie z chwilą wydania książki nie zmienił wstępu.

Część pierwsza

KAZACHSTAN

Rozdział I – Śledztwo

Zostałem aresztowany 24 grudnia 1944 r. w Borysławiu (woj. lwowskie) przez Ministerstwo Gosudarstwiennoj Bezopastnosti (Sowiecki Urząd Bezpieczeństwa). Ponieważ w Borysławiu nie było więzienia, zamknięto mnie w piwnicy tymczasowej siedziby MGB przy ul. Pańskiej. W tym czasie władze sowieckie przeprowadzały masowe aresztowania wśród ludności polskiej, przede wszystkim za przynależność do tajnej organizacji AK (Armia Krajowa).

Siedziało już tam kilka osób, piwnica była bardzo mała, musieliśmy na zmianę stać i siadać na betonowej podłodze. Męczyliśmy się tak przez trzy dni. Wstępne śledztwo, na które mnie zaprowadzono pod nadzorem do pokoju znajdującego się na parterze, ograniczone było tylko do spisania przez śledczego moich danych personalnych, oraz odczytania w języku rosyjskim dokumentu, z którego wynikało, że zostałem aresztowany za przynależność do AK.

Miałem wówczas 18 lat. Do AK należałem od roku 1942. Podczas okupacji niemieckiej na tajnych zebraniach pouczano nas między innymi, aby w wypadku aresztowania nie przyznawać się nigdy do przynależności akowskiej i nigdy pod żadnym warunkiem nie zdradzać nazwisk ani pseudonimów kolegów, nawet jeżeli je się znało. Teraz więc konsekwentnie realizowałem przekazane wówczas ostrzeżenia.

Pierwszy „mój śledczy” był człowiekiem w wieku około lat czterdziestu, spokojnym, w miarę kulturalnym, nie stosował przymusu fizycznego, tylko groził. Przed przesłuchaniem, zrobił mi osobistą rewizję, odebrał jedzenie, które miałem w chlebaku, i schował razem z torbą do swojego biurka.

Przesłuchanie nie trwało dłużej niż godzinę. Po tym czasie śledczy zawołał strażnika, który odprowadził mnie z powrotem do piwnicy.

Po trzech dniach siedzenia w piwnicy, **27 grudnia 1944 r.** w nocy około godziny 2-giej, otworzyły się nagle drzwi i przy dzikich okrzykach uzbrojonych konwojentów z wojsk **MGB**, kazano nam siadać na skrzynię ciężarowego, odkrytego samochodu, przykryto nas wojskową plandeką i marznących przewieziono do Drohobycza, miasta powiatowego oddalonego od Borysławia o 11 km. Tu przekazano nas do tamtejszego Urzędu Bezpieczeństwa (**MGB**), mającego swoją siedzibę w przedwojennym Sądzie Grodzkim.

Bezpośrednio po przeprowadzeniu nas do byłego Sądu „zafundowano” nam

osobistą rewizję i mnie od razu z korytarza dwaj cywile, pracownicy Urzędu, zaprowadzili do znajdującego się na górze pokoju sędziego śledczego.

Kiedy zobaczyłem swojego śledczego po raz pierwszy, domyśliłem się, że człowiek ten nie gardzi alkoholem. Świadczył o tym jego nadmiernie czerwony nos, przedwczesne zmarszczki na twarzy, zniszczona cera i mętny wzrok. Był w stopniu lejtnanta (porucznika). Miał duże okulary w rogowej oprawie, które przy każdym ruchu głową ciągle zsuwały się na koniec nosa. Usta miał szerokie i duże, co uwydatniało się zwłaszcza przy ziewaniu (wszyscy przesłuchujący śledczy oficerowie robili wrażenie niewyspanych i przemęczonych); widziałem wówczas jego czarne uzębienie, wśród którego górował jeden nienormalnie wyrosnięty, ogromny ząb. Truchlałem ze strachu, aby mu ten ząb przy zamykaniu ust nie przebił wargi, bo wówczas za jego ból na pewno musiałbym zapłacić... Uszy miał nieco odstające i duże, ryżą czupryną, zawsze zmierzwioną, którą usiłował przyglądzić dużą, ciężką dłonią; głośno na nią spluwając i następnie przyglądając włosy zmuszał je do trzymania się we względnym porządku. Twarz jego wyrażała tępotę, którą podkreślała szeroka kwadratowa broda. Był wzrostu średniego i normalnej tuszy.

Przepisy więzienne wymagały, aby oskarżony stał przed śledczym z rękami założonymi do tyłu. Tak więc i ja stanąłem w ten sposób przed śledczym, który zapytał:

- Jak się nazywasz?
- Adam Żarski.
- Imię ojca?
- Karol.
- Siadaj!

Usiadłem na brzegu krzesła, ręce kładąc na kolanach.

- Kiedy wstąpiłeś do organizacji?
- Nie należałem do żadnej organizacji.
- Lepiej przyznaj się po *choroszomu* (dobremu)!
- Nie mam do czego przyznawać się...

Zerwał się z krzesła i podszedł do dużego kaflowego pieca stojącego w rogu pokoju, zza którego wyjął gruby, metrowej długości wąż gumowy i podchodząc do mnie zawarczał:

- Będiesz mówił prawdę, albo zedrę ci tą gumą skórę, ty sukinsynu!
- Ja mówię prawdę – upierałem się.

Śledczy zaczął mnie okładać wężem gumowym po plecach, głowie i nogach. Zasłabłem i osunąłem się z krzesła na podłogę. Po kilku sekundach zostałem ocucony zimną wodą, którą oblewał mnie śledczy (wiadro z wodą stało obok pieca, widocznie specjalnie do tych celów przygotowane). Gdy zobaczył, że otwieram oczy i przychodzę do siebie, usadowił mnie na krześle, sam zaś zajął poprzednie miejsce za biurkiem i kładąc obok wąż gumowy odezwał się:

- No i jak się czujesz? Będiesz mówił prawdę? Nie odezwałem się.
- Kiedy zapisałeś się do organizacji? Kto z tobą jeszcze do niej należał? Przyznaj się, bo twoi koledzy i tak już wszystko powiedzieli i w nagrodę wkrótce będą wypuszczeni na wolność.

Byłem pewny, że to nie moi koledzy zdradzili mnie w trakcie przesłuchania, jak również nie wierzyłem, że wyjdę na wolność.

- No mów! Państwa polskiego zachciało ci się, Mikołajczyka chciałeś mieć w Polsce, niepodległa Polska śni ci się.
- Nic nie wiem o Mikołajczyku ani o żadnej organizacji – odparłem.
- Nie chcesz się przyznać? To będziemy inaczej rozmawiać. Zaraz ci pokażę!

Wziąwszy do ręki wąż gumowy podszedł do mnie, przewrócił mnie na podłogę i obrzuciwszy stekiem przekleństw i wyzwisk zaczął okładać moje plecy, ręce i głowę tak długo, dopóki nie przestałem się zwijać z bólu i jęczeć. Bliskiego utraty przytomności, dwóch strażników wyniosło mnie na noszach więziennych do celi, która znajdowała się kilka pięter niżej.

Rozdział II – Współwięźniowie z celi

Zamknięto mnie w celi nr 9. Było to ogromne pomieszczenie, o bardzo grubych ścianach. Jego drzwi były żelazne, okna zakratowane potężnymi kratami i od strony zewnętrznej zabite dodatkowo grubymi nieheblowanymi deskami, z małą szczeliną, od dołu i od góry nieco szerszą, na dostęp powietrza. Zaszklone okna otwierały się od wewnątrz. Przed wojną (1939 r.) przeznaczona była dla 12 więźniów, teraz siedziało nas 45 osób. Spotkałem tu mojego zwierzchnika z AK por. Kazimierza Cybulskiego (zmarł w roku 1948 z głodu i wycieńczenia w obozie sowieckim na Uralu, dokąd został wywieziony na ciężkie roboty po zasądzeniu przez sowiecki sąd wojenny na 10 lat więzienia i łagrów). Ucieszyliśmy się bardzo z naszego spotkania. Fakt, że razem będziemy przebywać w jednej celi, sprzyjał naszym zeznaniom (byliśmy aresztowani za to samo „wykroczenie” i mogliśmy uzgadniać, co mówimy przesłuchującym).

Oprócz nas w celi tej było jeszcze dwóch Polaków: pan Zub Marcin i młodszy ode mnie o dwa lata kolega z Drohobycza o nazwisku Flaischer, na imię (o ile pamiętam) miał Stanisław. Wszyscy byliśmy oskarżeni o przynależność do AK. Reszta więźniów to Ukraińcy z partyzantki ukraińskiej UPA (Ukraińska Powstańcza Armia), popularnie zwani „banderowcami” od nazwiska ich przywódcy, Stefana Bandery (Bandera po wojnie prawdopodobnie został zamordowany w RFN). Siedzieli z nami również Ukraińcy z innych nacjonalistycznych ugrupowań. Był wśród nich m.in. śpiewak operowy ze Lwowa, niestety nie pamiętam jego nazwiska, podczas okupacji bliski współpracownik Bandery. Siedziało też razem ze mną dwóch ukraińskich sotników. Jeden z nich podczas okupacji niemieckiej pracował jako komendant ukraińskiej milicji w Borysławiu na Mrażnicy (dzielnica Borysławia). Nazywał się on Bercak. Drugi sotnik na wolności grasował we wschodnich lasach województwa tarnopolskiego na czele swoich „rezunów”. Pozostali to mało mi znani szeregowi członkowie oddziałów leśnych Bandery.

Pamiętam, jak pewnej nocy wezwano Bercaka na śledztwo; wrócił po kilku godzinach, mając plecy zupełnie sine od bicia.

W celi tej poznałem między innymi Ukraińca podejrzanego o przynależność do UPA. Pochodził z Medyki, z zawodu był rzeźnikiem, przed wojną miał własny sklep mięsny. Wspominam o nim, ponieważ pierwszy raz w życiu (i jak dotychczas ostatni) spotkałem człowieka, który miał serce po prawej stronie klatki piersiowej, wszyscy

byliśmy zdziwieni tym rzadkim przypadkiem. Był zupełnie zdrowym mężczyzną, czuł się dobrze i na serce nigdy nie chorował, miał około 40 lat, był dobrze zbudowany, średniego wzrostu o przeciętnej tuszy.

Wspólny los, niepewna przyszłość, nieszczęście, więzienie zatarły chwilowo panującą między Polakami a Ukraińcami nienawiść, pogłębianą podczas wojny morderstwami dokonywanymi na Polakach w miasteczkach i miejscowościach położonych w oddali od dużych miast i skupisk polskiej ludności. Życie z nimi w jednej celi było znośne. Dyskutowaliśmy o naszej ciężkiej, beznadziejnej sytuacji. Doszło nawet do tego, że Ukraińcy zaproponowali mojemu porucznikowi objęcie nad nimi dowództwa i zorganizowanie wspólnej ucieczki. Ich sytuacja była gorsza niż nasza. Wszyscy Ukraińcy za swoje morderstwa popełnione podczas okupacji niemieckiej na ludności polskiej oraz mniejszości żydowskiej, czy też nawet na swojej ludności spodziewali się kary śmierci, podczas gdy Polacy wierzyli, że może wyjdą wkrótce na wolność, ponieważ rząd sowiecki głośno deklarował swą przyjaźń dla Polski. Naiwnych Polaków, którzy wówczas w to wierzyli, nie brakowało. Porucznik Cybulski nie zgodził się na ucieczkę lub jakąkolwiek współpracę z Ukraińcami.

W więzieniu mogliśmy porozumiewać się z dwiema celami: sąsiadującą z naszą i położoną nad nami. Cella sąsiednia była celą śmierci, zamykano w niej więźniów czekających na egzekucję lub ewentualne ułaskawienie. Rozmowa z tymi więźniami odbywała się przez muszlę klozetową, która miała połączenie rurami kanalizacyjnymi z całym pionem. Chcąc rozmawiać, trzeba było najpierw dać sygnał pukaniem w ścianę, a po otrzymaniu odzewu należało włożyć głowę do muszli i mówić. Z celą na piętrze rozmawiało się podobnie. Wywoływało się tamtych więźniów pukaniem w sufit.

W ten sposób przekazywano sobie najrozmaitsze, interesujące wszystkich więźniów wiadomości, zarówno te „ze świata”, jak i „miejscowe”, dotyczące życia w więzieniu.

Porządek dnia był następujący: rano strażnik więzienny (dyżurny lub *grazhdanin naczelnik*, jak niektórzy dyżurni kazali się tytułować), przechodząc przez korytarz bił kluczem we wszystkie obite grubą blachą drzwi znajdujące się na tym korytarzu, wołając: *podjom*. Powstawał w ten sposób straszliwy hałas. Wszyscy więźniowie zrywali się na nogi, szybko ubierali się i przykrywali kocem żelazne łóżka. Później myli się i siadali na łóżkach. Po jakimś czasie strażnik otwierał drzwi. Natychmiast należało stanąć w szeregu. Starosta celi meldował stan ilościowy więźniów, zgłaszał strażnikowi, że wszystko w porządku i stawał na czele szeregu. Strażnik liczył wszystkich więźniów,

po czym wydawał czterdziestodekowe porcje chleba i wlewał do miski *kipiatok*, czyli gorącą wodę. W południe roznoszono litr „zupy” dla każdego więźnia. W zupie tej prócz mętnej wody nie było nic. W sumie – porcje głodowe.

W dzień leżenie na łóżku lub też spanie było surowo zabronione. Za nieprzestrzeganie rygoru więziennego groziły surowe restrykcje, łącznie z pobiciem przez dyżurnego, albo posadzeniem do karceru (ciemni niejednokrotnie zalanej powyżej kostek wodą, bez nar, koca i okien).

Na kolację dawano tylko *kipiatok*. O godzinie 22⁰⁰ wszyscy więźniowie musieli już leżeć w łózkach. Po *odboju* (apelu) rozmawiać nie wolno było.

Spaliśmy wszyscy nerwowo, obawiając się wezwania na przesłuchania, które odbywały się wyłącznie nocą, wyjątkowo tylko w dzień. Gdy nocną porą odzywały się głośnym echem kroki strażnika, nikt już nie spał, nasłuchując czy strażnik zatrzyma się przed naszymi drzwiami, czy pójdzie dalej. Westchnienie ulgi wrywało się z piersi, gdy mijał nasze drzwi i szedł dalej. Gdy natomiast ze zgrzytem klucza wchodził do naszej celi, z zamartwym sercem i pustką w głowie czekaliśmy na wywołanie delikwenta na śledztwo. Dyżurny wykrzykiwał: *Na bukwu...* (literę) *wstać!* Wszyscy, których nazwiska miały nieszczęście zaczynać się na wywołaną literę, zrywając się z łóżek stawali w szeregu. Chwila oczekiwania i „dyżurny” (tak nazywaliśmy strażnika więziennego) wyczytywał wreszcie z kartki pełne imię i nazwisko nieszczęśnika. Pozostali oddychali z ulgą, że tym razem nikt z nich nie jest wzywany na tortury, a wyczytany wychodził z celi ze strażnikiem.

Od tej chwili nikt już nie spał. Czekaliśmy na współtowarzysza: czy wróci o własnych siłach, czy też pobitego wniosą go na noszach?

Wezwany na śledztwo szedł przodem z założonymi w tył rękami, a za nim dyżurny. Jeden dyżurny przekazywał więźnia drugiemu, w miarę mijanych korytarzy. Gdy zaś spotkano innego strażnika z innym więźniem, również prowadzonym na śledztwo, natychmiast kazano obracać się któremuś z więźniów twarzą do ściany, aby przypadkiem nie zobaczył, kto obok przechodzi. Dotyczyło to nie tylko prowadzonych na śledztwo, ale również więźniów wykonujących różnego rodzaju prace na korytarzach.

Tak dochodziło się do pokoju śledczego. Przed śledczym należało stać na baczność. Na znak dany przez śledczego można było usiąść na samym brzegu krzesła, broń Boże normalnie, lecz tylko na samym kraju kładąc obie dłonie na kolanach.

Śledczy zadawał pytania, na które należało odpowiadać możliwie szybko,

głośno i wyraźnie. Za dłuższe zastanawianie się nad odpowiedzią śledczy bił więźnia lub udzielał innej kary, np. wyznaczał więźniowi karcer, pozbawiał go możliwości otrzymywania *peredaczy* (paczki żywnościowej z domu, o ile więzień miał kontakt z rodziną), spaceru, lub jeszcze innej kary w zależności od pomysłu śledczego.

Śledztwo trwało od jednej godziny do kilku lub kilkunastu. Przesłuchujący zmieniali się i każdą odpowiedź więźnia notowali. Więzień musiał dobrze pamiętać, co mówi, gdyż pytania były powtarzane w nieskończoność, przekręcane, przestawiane i specjalnie gmatwane tak, aby zmęczyć przesłuchiwanego. Gdy przypadkiem więzień stracił świadomość tego, co mówi, dostawał lanie a w najlepszym razie oblewano go wodą. Po przesłuchaniu więźnia odprowadzano, najczęściej bardzo mocno pobitego, do celi.

Rozdział III – Następne przesłuchania – sąd

Zależnie od ciężaru gatunkowego sprawy, jak również zeznań aresztowanego, więzień był przesłuchiwany od kilku do kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu razy. Najtrudniejsze przesłuchania to te, gdy więzień był brany w krzyżowy ogień pytań. Polegało to na tym, że trzech lub więcej śledczych zadawało spisane uprzednio u siebie w aktach pytania, na które należało jak najszybciej odpowiadać.

Śledczy swoimi znakami umownymi odnotowywali, czy przesłuchiwany był poddawany przemocy fizycznej, czy też nie (było to konieczne z tego powodu, że przesłuchujący często się zmieniali przekazując sobie akta) i czy zeznawał on dobrowolnie, czy też czynił to pod presją fizyczną. W zależności od powyższego następny śledczy prowadząc tę sprawę odpowiednio ustosunkowywał się do przesłuchiwanego.

Najlepiej było wytrzymać pierwszy atak śledczych, jeśli nawet stosowali bicie lub inne szykany, i trzymać się ciągle tego, co powiedziało się dobrowolnie i bez przymusu fizycznego na pierwszym przesłuchaniu zaraz po aresztowaniu. Wówczas na ogół po kilku próbach lżejszego bicia dawano więźniowi spokój, uważając prawdopodobnie, że więzień rzeczywiście nic nie wie i nic nowego nie powie nawet w trakcie tortur.

Gorzej było z tymi, którzy na skutek stosowanej przemocy fizycznej, podczas śledztwa mówili więcej niż trzeba. Śledczy wówczas dochodził do, wniosku, że przesłuchiwanego trzeba torturować, bo dopiero wówczas mówi, i to dużo. Zdradza swoich kolegów lub inne tajemnice swojej organizacji. Słowem, jak to mówiono wówczas, „sypie”. W rzeczywistości więzień nie miał co mówić, ze strachu i bólu zaczynał zmyślać i fantazjować, byle tylko mówić dużo, co chwilowo zadowalało śledczych i przestawali więźnia maltretować. Po sprawdzeniu przez przesłuchujących, że zeznania są zmyślane, znęcano się nad takim aresztowanym jeszcze okrutniej.

Wyływał stąd prosty wniosek, że należy mówić jak najmniej, przede wszystkim nie zdradzać kolegów i innych osób z organizacji, zawsze powtarzać to co powiedziało się wcześniej i co nie może przynieść szkody sprawie własnej i innych.

Byłem tym szczęśliwcem, któremu udało się przetrzymać „pierwsze lanie” bez negatywnych skutków dla sprawy i późniejszego śledztwa. W następnych przesłuchaniach dano mi spokój i nie stosowano przemocy fizycznej. Znęcano się nade

mną tylko psychicznie.

Pamiętam, jak będąc wezwany w nocy na któreś z kolei przesłuchanie, po wejściu do pokoju śledczego zobaczyłem obok pieca kaflowego długi kij wyszczerbiony na końcu od częstego używania na więźniach. Struchlałem na myśl, że zaraz do reszty połamię się na mnie. Usiadłem na krześle zgodnie z przepisami (na rozkaz śledczego) i czekając na pytania zacząłem przyglądać się memu oprawcy.

Był to człowiek młody (około 30 lat), raczej przystojny, o inteligentnym wyrazie twarzy i zadbanej powierzchowności. Miał stopień lejtnanta i miły sposób bycia. Charakterystyczny był jego nieprzyjemny i śmieszny zarazem tik twarzy. Właśnie z powodu tego tik, nie wytrzymując przedłużającego się i męczącego milczenia, zacząłem się nagle histerycznie śmiać. Nie mogłem się absolutnie opanować. Mój śmiech był początkowo cichy, ale stopniowo stawał się coraz głośniejszy. Śledczy patrzył na mnie ze zdumieniem, dziwiąc się niespotykanemu zjawisku. Nie zdarzyło się bowiem, aby przesłuchiwany miał odwagę śmiać się w obecności śledczego. Po dłuższej chwili zapytał mnie wreszcie:

– *Czewo śmiejesz!*

Należało odpowiedzieć natychmiast, ale odpowiedzieć tak, aby nie doprowadzić do wybuchu uzasadnionego, jak mi się zdawało, gniewu śledczego.

I oto przyszła mi na myśl jakaś głupia, ale wesoła historia z moich lat szkolnych. Odpowiedziałem mu natychmiast, że w tej chwili przypomniała mi się pewna przygoda, jaka spotkała mnie przed wojną, w moich latach szkolnych i na wspomnienie tej właśnie przygody roześmiałem się, za co bardzo przepraszam.

– *Nu dawaj, rozkazywaj, motet' byt i ja posmiejesz* (no, opowiadaj, może i ja pośmieję się).

Zacząłem mu ze strachem opowiadać, jak to pewnego dnia w godzinach popołudniowych wracając do domu, spotkałem swojego starszego o parę lat kolegę, który mieszkał w tej samej dzielnicy.

- Dokąd idziesz? – zapytał.
- Do domu – odpowiedziałem.
- Chodź ze mną do kina, wyświetlają nowy fajny film.
- Nie mam forsy – odparłem.
- Ja funduję – odpowiedział.
- Dobra, idziemy.

I poszliśmy. Idąc z nim zauważyłem, że kolega lekko utyka. Spojrzałem na jego nogi i zobaczyłem, że na nogach ma nowe meszty.

- Kto ci zafundował takie fajne meszty? – zapytałem.
- Mój stary (ojciec) – odparł. – Trochę mnie cisną.
- Bo nowe – odpowiedziałem – później rozchodzą się.

Szybko dotarliśmy do kina, kolega kupił bilety, zajęliśmy miejsca. Sala kinowa była zatłoczona, wszystkie miejsca zajęte. Po chwili rozpoczęto projekcję. Jak sobie przypominam, film był amerykańskiej produkcji, akcja rozgrywała się na Dzikim Zachodzie w czasach pierwszych osadników. Trupy w ciągłej strzelaninie padały gęsto, wszyscy widzowie z zainteresowaniem śledzili przebieg akcji. I mnie również film interesował, lecz w pewnym momencie zaczął dokuczać mi pęcherz moczowy, coraz bardziej odczuwałem potrzebę wyjścia i ulżenia sobie. Jak tu wyjść, kiedy na ekranie takie interesujące sceny, ciągle coś się dzieje, szkoda mi opuścić każdej chwili, a tu ten nieznośny pęcherz coraz bardziej naciska. Co tu robić? Aż wreszcie przypomniałem sobie, że kolega zaraz po zajęciu miejsca, aby ulżyć obolałym stopom, zdjął nowe buciki i schował je na podłodze pod fotelem. Szybko zdecydowałem, w miarę dyskretnie, schyliłem się, podniosłem jego jeden bucik i z niezmierną ulgą napełniłem go, po czym cichutko i ostrożnie położyłem na miejsce. Nikt na moje powolne ruchy nie zwrócił uwagi, tym bardziej, że siedziałem z brzegu, a więc z jednej strony nie miałem w ogóle sąsiada, tylko po drugiej stronie obok siedział mój kolega, który jak wszyscy widzowie patrzył z przejęciem w ekran. I ja od chwili, gdy ulżyłem sobie, już spokojniej mogłem oglądać film. Jak wszystko, co przyjemne i dobre ma zawsze swój koniec, tak i ten nader ciekawy dla młodzieży film zbliżał się ku końcowi. Zacząłem powoli zastanawiać się jak wytłumaczyć mój niecny czyn koledze. Zdawałem sobie doskonale sprawę, że nie ujdzie mi to „na sucho”. Kolega był starszy ode mnie i tym samym silniejszy, na dodatek z natury był bardzo gwałtowny i porywczy, lubił się bić i nigdy nikomu, nawet małej urazy nie przepuścił płazem. To, że stanę honorowo „na placu boju” nie wchodziło w grę. Nie miałem absolutnie żadnych szans. Nie uśmiechało mi się przyjscie wieczorem do domu posiniaczonym i pobitym – gdzie ponowną porcję „lania” zafasowałbym od swojego ojca, który nie tolerował żadnych moich wybryków. W tej sytuacji pozostawała jedyna niezawodna metoda – ucieczka. Tak też i uczyniłem. Tylko film się skończył, jeszcze światła nie zapalili, ja już stałem w drzwiach za kotarą oczekując z niecierpliwością na ich otwarcie. Gdy tylko światła zostały zapalone i otworzono drzwi – ja już byłem na zewnątrz. Przebiegłem szybko na drugą stronę ulicy

i biegnąc nieomal przez cały czas „skrótami” w niedługim czasie dotarłem do domu. Długo unikałem spotkania z tym kolegą. Jeżeli przypadkowo zobaczyłem go z daleka, natychmiast skręcałem w pierwszą lepszą uliczkę lub inny zakątek, byle tylko się z nim nie spotkać. Minęło dość dużo czasu od „przygody” w kinie, aż pewnego razu mojemu koledze jakoś udało się zejść mnie od tyłu, klapnął mnie po ramieniu i z uśmiechem powiedział:

- Nie uciekaj, nic ci nie zrobię za twój kawał. Wówczas gdybym cię dorwał, na pewno byłbyś biedny. Teraz to już sprawa zapomniana. A tak na marginesie, to muszę ci powiedzieć, że zmoczenie mojego buta przez ciebie dobrze mu zrobiło. Skóra wówczas rozmokła i po wciągnięciu bucika na nogę przestał mnie on uwierać.

I tak mi się „upiekło”. Zakończyłem swoje opowiadanie i czekałem ze strachem na reakcję śledczego. W trakcie mojego opowiadania patrzyłem na niego uważnie, widziałem, że słucha mnie, nie przerwał mi ani razu. Gdy skończyłem wybuchnął nagle głośnym śmiechem i klepiąc się dłońmi po kolanach wykrzykiwał:

- *Nu, job' twoju mat', poblahodarył ty jemu za kino* (no ... podziękowałeś mu za kino). *Nu, jeślib on tiebia togda dorwał, nu i sodrał by iz tiebia korzu* (no, jeśli on by ciebie wówczas dorwał, no zdarłby z ciebie skórę). *Nu, molodiec, czto ty togda udrał*, ha, ha, ha (no, jesteś chwatem, że wówczas uciekłeś).

Widocznie opowiadanie moje spodobało się. Śmiał się razem ze mną tylko każdy z nas z czegoś innego. Odetchnąłem, burza została zażegnana. Tym razem udało się. Samo przesłuchanie trwało stosunkowo krótko, ograniczyło się tylko do spisania danych personalnych i tego, co zeznałem na poprzednim przesłuchaniu.

Po skończeniu śledztwa oficer wyjął paczkę papierosów, jakichś *trafiejnych* (zdobycznych) niemieckich, podsunął mi na skraj swojego biurka od mojej strony i powiedział:

- *Kury*, a ja się trochę prześpię, *no smotry* (no, patrz się), jak będzie ktoś nadchodził korytarzem, masz mnie natychmiast obudzić – po czym wyjął nagan z kabury, schował do szuflady swojego biurka, szufladę zamknął na klucz i powiedział:
- *Ty nie wzdumaj kakuju niebut głupost, nagan i tak nie imiejit patronów* (ty nie pomyśl o jakimś głupstwie, nagan nie ma naboju) – następnie oparł się o

biurko i natychmiast zasnął.

Siedziałem spokojnie nad słuchując, czy ktoś nie idzie. Po jakimś czasie śledczy obudził się, przetarł oczy pytając mnie, czy na korytarzu był spokój i czy nikt się nie kręcił, wstał, zawołał dyżurnego, któremu kazał odprowadzić mnie do celi.

Tak też szczęśliwie zakończyło się to tak groźnie zapowiadające się przesłuchanie.

W więzieniu obowiązywała co 10 dni łaźnia. Naczelnikiem łaźni był skośnooki Azjata, przez którego pewnego razu zostałem pobity. Oprócz pilnowania łaźni, pełnił on od czasu do czasu dyżur na naszym korytarzu. Podczas jego służby, wychodząc z celi na dziesięciominutowy spacer podniosłem z podłogi na korytarzu kartkę, myśląc, że to gryps podrzucony nam przez jakiegoś więźnia z innej celi. Jak się później okazało, kartka była umyślnie podrzucona przez Azjatę. Za karę zostałem wówczas uderzony przez niego i pozbawiony spaceru po więziennym podwórzu.

Do łaźni schodziło się w podziemia gmachu, w których obok drzwi wejściowych do łaźni, według opowiadań więźniów robotników, mogących poruszać się po całym wewnętrznym gmachu więziennym, znajdowała się cela śmierci – tam wykonywano wyroki na ludziach skazanych przez sąd wojskowy na śmierć. Czasami, wchodząc do łaźni widzieliśmy odzież leżącą na podłodze przy tamtych drzwiach.

W celi nr 9, gdzie siedziałem przez całe pięć miesięcy, to jest w czasie trwania śledztwa, w dzień grywaliśmy w szachy zrobione przez więźniów z chleba, spacerowaliśmy po celi, bawiliśmy się w popularnego wówczas „napoleona” lub – jak kto woli – „dupaka”. Książek żadnych nie było i czytanie czegokolwiek było surowo zabronione.

W tej celi doczekałem końca wojny, ale nie był on końcem mego uwięzienia.

Razem ze mną siedział także jeden Belg, który doszedł do 9-tki nieco później. Nazywał się Maksymilian Blondiyo. Był strasznie wycieńczony głodem a oprócz tego chorował na żołądek. Zetknąłem się z nim jeszcze później w więzieniu na Brygidkach. Pracował tam już po zasądzeniu (otrzymał pięć lat więzienia za przynależność do organizacji TOD (Niemiecka Budowa Zaplecza Wojennego – Technische Organization Deutschland). Na Brygidkach korzystaliśmy z jego pomocy – dostarczał nam do celi tytoń w zamian za chleb.

Wkrótce śledztwo moje zostało zakończone. Czekałem na wyrok sądowy.

W kilka tygodni po moim ostatnim przesłuchaniu, wiosną 1945 r., pewnego dnia przed południem, wszedł do celi strażnik i wywołał mnie oraz porucznika Cybulskiego,

rozkazując nam przy tym zabrać swoje osobiste rzeczy. Zaprowadził nas do dużej sali znajdującej się w górnej części gmachu, gdzie zobaczyłem swych kolegów z oddziału leśnego AK. Jak się okazało, była to sala „sądowa”.

Było nas razem jedenastu. Po chwili weszli: prokurator, sędzia i adwokat. Rozprawa trwała bardzo krótko. Sędzia odczytał wyrok w języku rosyjskim, którego wówczas nikt z nas nie rozumiał (tłumacza nie było). Adwokat nie odezwał się ani słowem. Prokurator mówił coś, czego nie byliśmy w stanie zrozumieć. Pytaliśmy, o co chodzi. Okazało się, że otrzymaliśmy już wyroki, a to, co powiedział sędzia było właśnie ich przedstawieniem. I tak porucznik Cybulski otrzymał dziesięć lat, jego zastępca Bronisław Marecki również dziesięć, moi starsi koledzy po osiem lat, a ja jako najmłodszy siedem lat *isprawitielnych trudowych łagierej* (wychowawczych pracowniczych obozów).

Wszyscy zostali zasądzeni z art. 54, paragraf 2 (zdrada ojczyzny) i paragraf 54 – 11 KK (dodatkowo było podkreślone „uzbrojona grupa przeciw sowieckiemu rządowi” (*prużonnaja grupировka protiv sowieckoho prawitielstwa*). Odwołania od wyroku nie było, jak nam później wyjaśniono. Tak zakończyło się śledztwo i sąd.

Do Sądu Grodzkiego, gdzie przesiedziałem pięć miesięcy, już nie wróciliśmy. Samochodem ciężarowym, na skrzyni, przykryci plandeką zostaliśmy przewiezieni do Brygidek w Drohobyczu. Tam przebywali już zasądzeni więźniowie. W czasie, gdy siedziałem w budynku Sądu Grodzkiego, było tam podobno dwa tysiące więźniów politycznych. Ilu Polaków i ilu akowców – trudno powiedzieć.

Wyrokiem na siedem lat zakończył się pierwszy etap mojego wojennego życia. Aby zdać sobie sprawę z tego, czym on był dla młodego chłopca, trzeba uzmysłowić sobie, jak wyglądało nasze życie na wolności, zanim zamknięto nas w czterech ścianach, bez żadnej nadziei na wyjście – wiadomo bowiem, co to jest sowieckie ministerstwo bezpieczeństwa.

My, wówczas zupełnie młodzi chłopcy, byliśmy wychowywani przed wojną i w czasie okupacji (na tajnych kompletach) przez wspaniałych nauczycieli, którzy na lekcjach języka polskiego i historii opowiadali nam o młodym, odrodzonym po pierwszej wojnie światowej państwie polskim; o wspaniałych Polakach, którzy potrafili dokonywać cudów przy organizowaniu młodego państwa po tylu latach niewoli, a także o tych Polakach, którzy w XIX w. tysiącami umierali na dalekich wschodnich rubieżach Europy. Nie pamiętam nazwisk wszystkich nauczycieli, którzy z takim poświęceniem, narażając życie własne i swoich najbliższych, prowadzili dla nas tajne komplety.

Wymienić mogę tylko kilku z nich: mgr Zofia Kral, mgr Antoni Kral i mgr Ostrowska (łaciniczka). Najczęściej spotykaliśmy się w mieszkaniu pp. Kralów, którzy mieszkali w pobliżu centrum Borysławia (na Wolance), tam było nam, mieszkającym w różnych dzielnicach miasta, najwygodniej schodzić się na naukę. Nie zważając na ogromne niebezpieczeństwo, jakie groziło im w wypadku doniesienia przez konfidentów (których wówczas nie było brak), nauka w ich mieszkaniu kontynuowana była systematycznie, z podziwu godną dyscypliną. Miłość ojczyzny, którą wpajali nam nasi nauczyciele, patriotyzm – to pozwalało nam przetrwać w tych nieprawdopodobnie ciężkich warunkach, jakie panowały w sowieckich więzieniach. Miewaliśmy oczywiście chwile straszliwego załamania, zastanawialiśmy się, czy warto tak się męczyć, czy nie lepiej skończyć z sobą, lecz chęć życia, a także nadzieja, że przetrwamy tę niedolę oraz ciekawość, jaki będzie tego koniec, brały górę.

Bywały w więzieniach i obozach wypadki psychastenii (choroba nerwowa), które niejednokrotnie kończyły się tragicznie. Dlatego jednym z najważniejszych więziennych przykazań było „nie dumaj”. Nie można było myśleć o sytuacji, w której człowiek się znajdował, nie można było jej analizować, filozofować, albowiem każdy jest indywidualnością, każdy inaczej podchodzi do życia. Osoby pobudliwe, nerwowe, bardzo wrażliwe ciężko przystosowują się do więzienia i źle znoszą izolację od świata zewnętrznego. Są kłótlive, powodują zatargi, robią z błahostek awantury i niepotrzebne spory. Ludzie flegmatyczni, o spokojnym charakterze, uczuciowo chłodni, w więzieniu szybciej przystosowują się do panujących warunków i stosunkowo lepiej znoszą izolację więzienną.

W dużych celach, wśród większej liczby więźniów łatwiej było przeżyć dzień. Rozmowy, rozmaite gry, do wyrobu których używało się więziennego chleba (szachy, warcaby), ratowały nas przed rozstrojem nerwowym. Najgorzej było w izolatkach i ciemnicy (karcerze), do których dyżurni wsadzali więźniów za drobne nawet przekroczenie rygoru więziennego. Na szczęście w izolatkach nie siedziało się zbyt długo, należało zrobić miejsce dla innych, a tych zawsze było pod dostatkiem. Jakąż radością był powrót więźnia z karceru do wspólnej celi.

Rozdział IV – Brygidki w Drohobyczu

Zanim wejdziemy w mury więzienne „Brygidek”, należy wyjaśnić, w jaki sposób odbywał się kontakt ze światem zewnętrznym w więzieniu Sądu Grodzkiego i w Brygidkach. Otóż istnieje wiele sposobów. Wymienię niektóre z nich, najczęściej wówczas przez nas stosowane. Mieliśmy pozwolenie naczelnika więzienia na otrzymywanie z domów (od rodzin swoich lub znajomych) raz na dwa tygodnie tak zwanej *peredaczy*, to znaczy paczki z żywnością i zmianą bielizny osobistej. Przesyłki te były doskonałą formą kontaktu ze światem zewnętrznym, z ludźmi wolnymi, którzy byli na bieżąco powiadamiani o tym, co się z nami dzieje. My natomiast otrzymywaliśmy informacje dotyczące najważniejszych ostatnich wydarzeń. Gdy należało przekazać nam pilnie jakąś wiadomość, osoby dające nam paczki przekupywały strażników, którzy przekazywali nam przesyłki częściej, trzy, cztery razy w ciągu dwóch tygodni. Takie załatwienie sprawy kosztowało jeden, dwa litry wódki lub dobrego samogonu. Ceny były rozmaite, do uzgodnienia między zainteresowanymi.

Przed wejściem w mury więzienne byliśmy poddawani szczegółowej rewizji osobistej, sprawdzano także nasz bagaż podręczny (torba, plecak, worek), trudno więc było coś przemyścić. Strażnicy szukali przede wszystkim papieru, ołówków, scyzoryków, obrączek, zegarków itp. Wszystko to zabierano do depozytu. Oczywiście nikt nigdy nie otrzymał zabranych mu rzeczy z powrotem, po wyjściu na wolność. Rozbieraliśmy się do naga i wszystkie rzeczy były szczegółowo przeglądane.

Otrzymując przesyłkę należało potwierdzić jej odbiór na papierze dostarczonym przez strażnika, który równocześnie pożyczal ołówek i stojąc przy więźniu obserwował go, a następnie potwierdzenie odbioru zwracał osobie przekazującej paczkę. Pisać należało po rosyjsku lub ukraińsku. Wiedząc, który strażnik był bardziej ludzki, prosiło się go, by pozwolił pisać po polsku, tłumacząc się nieznajomością tamtych języków. W drodze wyjątku pozwalał pisać po polsku, krótko i zwięźle, bo takie były wymagania.

Pisano zgodnie z wymogami konspiracji, ale teksty te nietrudno było rozszyfrować. Ponieważ strażnik nie umiał czytać po polsku, najczęściej udawało się przekazać odpowiednią wiadomość. Pisano na przykład: „Przesyłkę otrzymałem w całości, dziękuję, grafit przyślij cebulę w środku jedzenia, bo bolą mnie zęby”. Oznaczało to: „przyślij grafit włożony w cebulę”.

W wielu wypadkach należało powtarzać kilka razy, nim ktoś z rodziny lub

znajomych przysyłających paczkę domyślił się, dlaczego to samo zdanie wciąż się powtarza. Przesyłali niejednokrotnie różne lekarstwa na uśmierzenie bólu zęba, a grafitu nie. Wreszcie z radością znajdowaliśmy w środku cebuli grafit.

Oddając strażnikowi pisemne potwierdzenie odbioru, pisane po polsku, należało przełożyć mu tekst na rosyjski. Tłumaczyło się więc przeinaczając odpowiednio słowa. Gdy już był grafit, można było zacząć regularną tajną korespondencję. Pruło się wówczas mankiety i kołnierze od koszuli, na stronie wewnętrznej pisało się list i zaszywało z powrotem. Aby osoba z zewnątrz mogła się domyślić, gdzie szukać grypsu, zostawiało się na końcu dłuższą nitkę, która przy prasowaniu musiała być zauważona. Wówczas odpruwano kołnierz czy mankiety. Często wszystko było sprane i zatarte, lecz po jakimś czasie powtarzająca się sytuacja z nitką musiała zwrócić uwagę rodziny. Tak nawiązywał się kontakt. Należy pamiętać, że osoby mające kontakt z więźniami są bardziej uczulone i spostrzegawcze, sprytne i dociekliwe, dlatego po jakimś czasie domyślają się, o co chodzi.

Drugim środkiem wykorzystywanym do korespondencji była chustka do nosa. Dawne męskie chustki miały szerokie obrąbki. Wystarczyło odpruć kawałeczek jednego rogu i napisany na bibułce papierosowej gryps złożyć i wsunąć w chusteczkę. Nawet jeżeli osoba z zewnątrz nie domyśli się, że może być w chusteczce wiadomość, to na pewno gryps znajdzie, bo w praniu bibułka zwinie się w kuleczkę lub wałek, co będzie można zauważyć w czasie prasowania. Jeśli nawet wiele tak wysłanych grypsów zawiodło, to jednak w końcu po jakimś czasie odkrywano tajemnicę i można było prowadzić korespondencję.

W wypadku odkrycia grypsu przez nadzór więzienny, wstrzymywano (zależnie od decyzji śledczego lub naczelnika więzienia) na jakiś czas zezwolenie na przekazywanie paczek. Oprócz tego więzień szedł na co najmniej trzy dni do karceru.

W więzieniu wszelkiego rodzaju przybory do pisania, kawałki blach, z których robiono ostrza, igły, lusterka, szpilki należało skrzętnie chować, by nie dostały się w ręce strażników.

Rewizje w celach robiono niespodziewanie, w nocy lub w dzień. Za znalezienie zakazanych rzeczy groziły różnego rodzaju kary (karcer, pozbawienie zezwolenia na otrzymywanie paczek, pozbawienie możliwości wychodzenia na spacer itp.).

Więzienie w Brygidkach nie zrobiło na mnie szczególnego wrażenia, chociaż było większe i bardziej ponure. Po przeprowadzeniu, jak zwykle, szczegółowej rewizji oraz sprawdzeniu danych personalnych, jak również odbiciu dziesięciu palców rąk w

ankietach i sfotografowaniu, rozproszono nas do różnych cel. Przy sprawdzaniu danych personalnych pouczono mnie, że od tej chwili (czyli po wyroku) *jawlajesz sia politicheskim zakliuczonnym* (jesteś politycznym więźniem) i zawsze zapytany o nazwisko przez wolny personel więzienny muszę dodawać bez pytania *skazan na siem let isprawieliwnych trudowych lagier ej po statie 54, 2, orużonnaja grupirowka protiv sowieckoho prawitielstwa*.

Odprowadzono mnie długim korytarzem na Ul piętro do celi nr 222. Była to cela mała, przed wojną przeznaczona dla jednej osoby, tzw. pojedyńka. W 1945 r., kiedy mnie w niej posadzili, byłem dwunasty. Było bardzo ciasno, spacerowaliśmy po celi wszyscy razem, chodząc gęsiego w koło, jeden za drugim. Cela nasza mogła mieć około 12 m² powierzchni. Byłem w tej celi jedynym Polakiem wśród dziesięciu banderowców; jedenasty spośród nich był Ukraińcem ze wschodniej Ukrainy, sowieckiej, pozostali natomiast z województwa lwowskiego i tarnopolskiego. Byli to ludzie młodzi, od 21 do 35 lat. Ukraińiec ze wschodniej Ukrainy miał około 60 lat, wyglądał na człowieka schorowanego. Dziesięciu z nich zasądzonych było na 10 lat, jeden na 20.

W Brygidkach odsiadanie wyroku mniej męczyło niż w Sądzie Grodzkim. Panował tam względny spokój, już nie wzywano na przesłuchania i nie obawialiśmy się kar cielesnych, jakie stosowano podczas śledztwa. Oczekiwaliśmy na transport na Wschód.

Jak w każdej celi, tak i w tej były szachy i warcaby zrobione przez więźniów z chleba. Grami skracaliśmy sobie czas. Spośród Ukraińców, w szachy potrafił grać tylko jeden *sotnik* (nazwiska nie pamiętam), grywałem z nim całymi godzinami. Bardzo grzeczny i miły był Ukraińiec ze wschodniej Ukrainy. Chorował on na żołądek i ciągle skarżył się na bóle brzucha. Bardzo często stukał do drzwi i prosił straż więzienną o jakiegokolwiek lekarstwa przeciwbólowe. Niestety, strażnicy bardzo nie lubią, jak się ich o coś prosi, dając im w ten sposób dodatkowe zajęcie. Kilkakrotnie zwracali uwagę naszemu choremu, że jak będzie nadal natarczywy w pukaniu, to sprawią mu wreszcie lanie. Ukraińiec nasz nie bardzo ich słuchał i dalej stukał domagając się leczenia. Takie targi trwały około miesiąca.

Pewnego dnia, przed wieczorem otworzyły się nagle drzwi naszej celi, a w nich ukazali się dwaj strażnicy i dwa typy w białych fartuchach: jeden z wiadrzem napełnionym niebieskim płynem, drugi z hegarem. Trzymając w ręku gumowego węża spytali słodziutkim głosem:

- Kto w tej celi jest chory?
- Ja – odparł nasz starzec.
- Jak długo chorujesz?
- Dwa lata – dodał chory.
- A co cię tak boli?
- Żołądek.
- Czy leczyleś się na wolności? – Nie.
- Dlaczego?
- Bo nie było lekarza w naszym powiecie.
- A co ty tam możesz mieć na żołądku, że on cię tak boli, z pewnością obżerasz się za dużo, a...?

Po tej indagacji wszyscy czterej zaczęli rzeć ze śmiechu. Nasz współtowarzysz miał wygląd raczej kościotrupa i na obzarcuucha wcale nie wyglądał: był chudy, wysoki, o twarzy wyschniętej, bladej, pełnej zmarszczek i blizn po ospie.

Po tej „kurtuazyjnej” rozmowie jeden ze strażników kazał położyć się starcowi na podłogę, ten zaś zaczął ich prosić, że hegar wraz z płynem, który mają w wiadrze, jest mu niepotrzebny, że on ma wrzody na żołądku i prosi tylko o jakieś lekarstwa przeciwbólowe. Nie pomogły prośby, jeden z „lekarzy” – tak kazał się tytułować, najwyższy z nich, w narzuconym na mundur białym kitlu – krzyknął:

- Kładź się draniu, zaraz ciebie wyleczymy!

Po tym kiwnął na strażników. Obaj rzucili się na starca, obalili na podłogę, jeden usiadł mu na plecy, przyciskając głowę rękoma do podłogi, drugi usiadł mu na nogi, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Lekarz wetknął węża w odbytnicę starca, pomocnik zaś dolewał płyn z wiaderka do hegara. Starzec jęczał, ja patrzyłem przerażony i równocześnie zdziwiony, że do tak chudego człowieka można wlać tyle płynu i że to zmieściło się w tak chudym ciele. Po skończonym zabiegu wszyscy czterej wyszli na korytarz, zatrzasnęli drzwi, przez które słychać było ich głośny rechot. Po chwili odsunęli zasłonę z wizjera i zauważyliśmy, że na zmianę zagląдают do naszej celi. Tymczasem nasz chory współwięzień przy pomocy swoich współziomków powoli wstał i poprosił ich, aby pomogli mu dojść do *paraszy* (beczka zastępująca muszlę klozetową, kanalizacji na Brygid – kach nie było). Siedząc na beczce, starzec stękał i kłął na przemian: *a cztob wy podochli sobaki, a cztob wasza mat' podochła piered narożenijem takich sobak, a wy swoloczi, mierzawcy, sobaki bieszennyje* (A żebyście

zdechli psy, a żeby wasza matka zdechła przed narodzeniem takich psów, a swołocz, dranie, psy wściekle). Zaczęliśmy go wszyscy uspokajać i uprzedzać, że oni stoją na korytarzu i patrząc przez wizjer słuchają. Nic nie pomogło, rozeźlony starzec krzyczał i wyzywał dalej strażników i *wraca* (lekarza). Przez drzwi słyszeliśmy, jak ich śmiechy przez długi jeszcze czas rozbrzmiewały na korytarzu. Szczerze mówiąc, ja i dwóch jeszcze nieco starszych ode mnie „rezunów”, śmialiśmy się z tego tragicomicznego przedstawienia, kryjąc się przed starszymi współtowarzyszami celi. Pomimo nieprzyjemnej dla starca sytuacji, wszystko to od początku do końca było bardzo śmieszne. Chory aż do samego wieczora nie schodził z *paraszy*.

W kilka dni po przedstawieniu z „wrzodowcem” zachorowałem na świerzb. Na wezwanie dyżurnego przyszedł więzienny lekarz i zabrał mnie do innej celi (abym nie zaraził swoich współtowarzyszy), szumnie nazywanej szpitalem. Dał mi maść, którą w jego obecności musiałem się natrzeć. Powiedział też, że przyjdzie za dwa dni. Kazał położyć się na podłodze (łóżek w Brygidkach nie było, spaliśmy na gołej podłodze, przykrywając się własną odzieżą) i wyszedł z dyżurnym głośno zatrzaskując drzwi.

W celi tej zastałem tylko jedną osobę, również chorą na świerzb. Był to Ukrainiec ze wschodniej Ukrainy, starszy ode mnie o trzy lata. Ponieważ miałem ze sobą trochę jedzenia (podanego z domu), spytałem czy chce jeść. Kiwnął głową, że tak, że jest głodny i zaczął mi się przyglądać. Zjedliśmy razem kolację i mój współtowarzysz zaczął mnie wypytywać. Byłem zaskoczony, że nic nie wiedział o AK. Wyjaśniłem, co to za organizacja, opowiadałem, gdzie walczyłem i za jaką ojczyznę. Tłumaczyłem mu, jak umiałem (wówczas nie znałem jeszcze rosyjskiego), co to znaczy mieć niepodległość, a co to być zależnym od obcego, wrogiego nam, mocarstwa, jakim jest Związek Sowiecki.

W rewanżu ów Ukrainiec opowiadać zaczął o sobie. Na imię miał Mikołaj (nazwiska nie pamiętam), pochodził z Kijowa, tam się urodził i tam ukończył 10 klas szkoły. Z zawodu był złodziejem. Byłem zaskoczony. Nigdy nie miałem do czynienia z tego rodzaju ludźmi, a ponadto czymś szokującym dla mnie było przyznanie się tak bez ogródek do złodziejskiego „fachu”. Był rok 1945, naród polski pomimo tak długiej okupacji niemieckiej i sowieckiej nie był zdegenerowany, społeczeństwo nie było zepsute i gardziło złodziejami. Jak wynikało z rozmowy, Mikołaj dostał za kradzież 3 lata, ale spodziewał się wcześniejszego zwolnienia, ponieważ w ustroju sowieckim amnestie dla złodziei i innych wyrzutków społecznych są rzeczą częstą. Przy okazji Ukrainiec „pocieszył” mnie, że rząd sowiecki nie udziela amnestii więźniom

politycznym, nie ma się co łudzić.

Mój nowy współtowarzysz ze „szpitalnej” celi wprowadził mnie swoimi opowiadaniem w świat przestępczy. Jest to zjawisko w życiu społecznym Rosji sowieckiej tak specyficzne, że warto poświęcić mu nieco uwagi. W ciągu mego jedenastoletniego pobytu w ZSRR spotykałem się ze złodziejami na co dzień, spałem z nimi pod jednym dachem bez przerwy przez pięć lat. Jest to dostatecznie długi okres, aby można było poznać ich mentalność, psychikę, zwyczaje, niepisane prawa ich podziemnego świata, dyscyplinę, której wszyscy złodzieje muszą się bezwzględnie podporządkować, jak również i ich własny podziemny „sąd”, któremu bezapelacyjnie podlegają. Prawdziwym złodziejem jest ten, kto kradnie od najmłodszych lat lub urodził się z rodziców złodziei. Żulikami (złodziejami) stają się przeważnie wychowankowie z domów dziecka, młodzi chłopcy, którzy uciekają z różnych powodów z domów rodzicielskich, włóczędzy, opuszczone dzieci (*bezprizorniki*), i tym podobny element.

Świat złodziejski dzieli się na *karmanszczyków* (kieszonkowców), *kwartirnych* (mieszkaniowych), *gosudarstwiennych* (państwowych). Wszyscy oni uważają siebie za prawdziwych ludzi (*nastojaszczich ludiej*), wyższej rangi (klasy). Reszta to *freje* (frajerzy) ludzie, którzy istnieją tylko po to, aby złodzieje mogli ich okradać, aby pracowali na złodziei.

W więzieniach i obozach złodzieje nadają ton. Jest to mafia tak znakomicie zorganizowana, że wystarczy trzech-czterech żulików, aby sterroryzować barak liczący 40 – 50 więźniów nie złodziei. Więzienie i lagier uważają oni za swój rodzinny dom (*rodnoj dom*) ponieważ, jak twierdzą, w więzieniach przeżywają większą część swojego życia. Na wolności są tylko gośćmi. Po opuszczeniu więzienia nie idą do pracy – od pracy są *freje*, a ponieważ trzeba żyć, należy nadal kraść.

Sowieckie sądownictwo jest dla złodziei bardzo tolerancyjne, wyroki są stosunkowo małe, a częste amnestie dla tego rodzaju przestępców przyczyniają się do rozkwitu złodziejskiego procederu w kraju „przodującej techniki”. Za to podziemne sądy świata przestępczego są bezwzględne. Najwyższym sędzią zostaje złodziej najstarszy lub o najdłuższym stażu oraz taki, który posiada przywódcze predyspozycje i zdobył sobie wśród swoich koleżków ogólne poważanie i szacunek. Ów „sędzia” ma prawo w stosunku do innych żulików stosować karę chłosty, karę pozbawienia praw złodziejskich (co znaczy, że tak ukarany delikwent jak gdyby wyłączony zostaje spod ich opieki i pozostaje na zwyczajnych prawach *freja*, inaczej mówiąc nie ma już żadnych praw, a nawet może też być zasądzony na karę śmierci, jeśli zdradzi klan

złodziejski lub popełni inne ciężkie przewinienie). Wyrok wykonuje wyznaczony przez sędziego człowiek lub grupa ludzi, którzy grają wówczas w karty o głowę innego złodzieja. Przegrywający musi wykonać wyrok. W więzieniach i obozach grają w karty nałogowo, przegrywając absolutnie wszystko do ostatniego łacha, pozostając niejednokrotnie w samych kałesonach lub porwanych kąpielówkach. Prawdziwemu złodziejowi nie wolno przegrywać chleba, który stanowi w więzieniach i obozach podstawę wyżywienia – *krounoj pajok* (krwawa pajka, pajka chleba stanowiąca o życiu łagiernika, podstawa egzystencji człowieka w obozie).

Złodzieje potrafią być mistrzami oraz sztukmistrzami w grze karcianej. Oczywiście, równocześnie znakomitymi oszustami. Między złodziejami zdarzają się wypadki, że przed rozpoczęciem gry obaj partnerzy wbijają w nary obok siebie nóż jako znak, że obaj zobowiązują się grać uczciwie, w wypadku złapania drugiego na oszustwie, ma on prawo użyć tego noża przeciwko oszukującemu.

Oszukują oczywiście wszyscy. Rzecz polega jedynie na tym, aby robić to sprytnie i nie dać się *złapać* na oszustwie. Karty są „domowego” wyrobu, tzn. najczęściej z gazety polewanej woskiem (materiał do ich „produkcji”, czyli gazetę i wosk, złodzieje dostają od dyżurnych w zamian za odzież ukradzioną lub odebraną frejom). Niektórzy złodzieje potrafią być prawdziwymi żonglerami tych kart. Potrafią wykonywać nimi przeróżne piękne sztuczki, między innymi potrafią położyć sobie całą talię kart na ramieniu, karty stoją jedna za drugą (jak domino ustawione do zawalenia) i tak manewrować poszczególnymi kartami, aż cała talia zjeżdżając z ramienia na rękę, z ręki na tułów, następnie z tułowia na podstawionej nodze jest łapana zgrabnym ruchem ręki ze stopy, a konkretnie z pięty. W karty grają całymi dniami i nocami, przegrywają odzież nie tylko własną, ale i cudzą (frajerów), którym ją odbierają, by rozliczyć się z partnerami. Przegrywają także nawet swoje lagrowe kochanki. Złodzieje w więzieniach i obozach nie pracują, zabrania im tego ich złodziejskie niepisane prawo (w przeciwieństwie do polskich złodziei, którym prawo złodziejskie pracować nie zabrania, powołuję się na rozmowę z dr Zbigniewem Bożyczką, kryminologiem z Wydziału Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego, przeprowadzoną w 1962 r.).

Złodzieje nie zajmują się polityką, obojętny jest im ustrój panujący w kraju, w którym żyją. Do złodziejskiej mafii nie mogą należeć mordercy, bandyci, chuligani. Wszyscy oni mogą być przez społeczność złodziejską tolerowani, mogą z nimi prowadzić różnego rodzaju ciemne interesy, lecz nie mogą należeć do klanu.

W wielu obozach i więzieniach złodzieje nawiązują kontakty handlowe z

obsługą i nadzorem więziennym. Inaczej mówiąc, aby zdobyć więcej pożywienia, dostać chleba, cukru lub margaryny, żuliki przekazują skradzione przez siebie rzeczy więźniów politycznych strażnikom, którzy następnie sprzedają je innym wolnym ludziom, zarabiając na tym 50 – 60%, lub też zatrzymują dla siebie. Dzięki takim kontaktom od złodziei zawsze można było dowiedzieć się kiedy przyjdzie transport nowych więźniów, czy też o przygotowywanym do wysyłki *etapie* (transporte), jak również innych ciekawych wiadomości ze świata zewnętrznego. Wśród przestępczego elementu w obozach i więzieniach często spotykało się tak zwanego „sukę”. Suka to były złodziej, który za jakieś przewinienie (np. zdradził swoją mafię, podjął pracę w obozie lub donosił nadzorowi, co się dzieje w barakach) został wykluczony z mafii złodziejskiej. Złodziejowi nie wolno było przebywać pod jednym dachem z suką. Musiał on zamordować zdrajcę lub sam ginął w bójce, zamordowany przez sukę.

Po kilku dniach leczenia oraz rozmów z Mikołajem (rozmów z pewnością pouczających) powróciłem do swojej celi. Dzień do dnia był tutaj bardzo podobny, nie było takich napięć nerwowych, jak w Sądzie Grodzkim, a dni i noce mijały na szczęście spokojnie. Jediną atrakcją były rozmowy z moim kolegą, o którym już wspominałem, Belgiem Maksymilianem Blondijo, skazanym na 5 lat wyroku i pracującym teraz na podwórzu więziennym. Widywałem go czasami przez pozostawioną dla dostępu powietrza szparę w zakratowanych i zabitych deskami oknach. Jeżeli nie było strażników blisko drzwi i na podwórzu, można było zamienić z nim kilka słów (będąc w Niemczech nauczył się mówić po polsku od Polaków przebywających na przymusowych robotach), a nawet dokonać handlu wymiennego (do nitki przywiązywaliśmy chleb i opuszczaliśmy go z piętra na ziemię, w zamian dostawaliśmy od niego tytoń, który on przywiązywał do końca nitki, a my wciągaliśmy przez okno do celi).

Z moimi współtowarzyszami wszystko już przegadaliśmy, zresztą obecni moi współlokatorzy byli wyjątkowo nieprzyjemni. Oprócz starca ze wschodniej Ukrainy i sotnika, pozostali banderowcy byli rzeczywiście w pełni tego słowa „rezunami”. Pochodzili z zapadłych wsi województwa tarnopolskiego i, o ile sobie przypominam, dwaj z Bieszczad. Czasami w nocy opowiadali sobie o swoich przygodach w lasach z Lachami, lub też jak podpalali polskie wsie. Byli pewni, że ja śpię, tymczasem wszystko słyszałem, niejednokrotnie obawiając się podświadomie, że mógłbym być w nocy przez nich zamordowany.

Sotnik, z którym grywałem w szachy, pewnego dnia w przypływie szczerości

poskarżył mi się, że ma żal do Polaków z oddziału leśnego, ponieważ w jakiejś potyczce kula wystrzelona przez polskiego partyzanta trafiła go w penis i połowę wyrwała (w łaźni podczas kąpieli sprawdziłem, czy nie kłamał, rzeczywiście wszystko się zgadzało). Mówił, że wolałby w rękę dostać i stracić ją, aniżeli w to miejsce. No cóż, i tak bywa. Serdecznie mu współczułem, miał chłopak pecha.

Powoli cela nasza pustoszała, więźniów wywoływano i wysyłano do transportu. Zostałem wreszcie sam. Parę dni przed opuszczeniem celi rozmawiałem przez okno z jakimś Polakiem, który zasądzony był na 5 lat za podpisanie listy *volksdeutsche*; przedstawił mi się jako lotnik. W celi z drugiej strony siedziały dziewczęta, Ukrainki. Z jedną z nich rozmawiałem; była z partyzantki ukraińskiej, miała wówczas 18 lat i, o ile sobie przypominam, na wolności mieszkała w Medyce. Rozmawiać można było w ten sposób, że głowę przyciskało się do kraty z odpowiedniej strony, w zależności od tego, z kim chciało się porozumieć. Należało równocześnie uważać, aby na korytarzu, w pobliżu drzwi, nie było strażnika. Można było również rozmawiać leżąc na podłodze, wieczorem po apelu, przyciskając usta do szczeliny tam, gdzie drewniana podłoga łączyła się ze ścianą. Jeżeli zaś chciało się odebrać wiadomość z sąsiedniej celi, należało do szczeliny przyłożyć ucho.

Za przyłapanie na tego rodzaju rozmowach groziła kara do trzech dni karceru i wstrzymanie na kilka tygodni *peredaczy*, jeżeli naturalnie więzień otrzymywał je z domu lub od znajomych.

Rozdział V – Wyjazd do Lwowa i dalej...

Nadszedł wreszcie dzień, w którym wezwano mnie, abym zabrał swoje rzeczy i wyszedł na korytarz. Ucieszyłem się. Wiedziałem, że na pewno idę do transportu. Siedzenie w celi, gdzie brak świeżego powietrza, brak ruchu, ciągle patrzenie na jedne i te same twarze, stawało się już nie do zniesienia. Wszyscy marzyliśmy o transporcie, chociaż każdy z nas zdawał sobie sprawę, że tam dokąd nas wywiozą, na pewno nie będzie wesoło, a tu przynajmniej mamy ciepło, a i jedzenie dzięki pomocy z domu jest niezłe. Było nam już jednak wszystko jedno, byle coś się działo, byle wyrwać się z murów więziennych.

W asyście strażnika więziennego zszedłem na podwórze więzienne, gdzie już formowano kolumnę, aby przejść na dworzec kolejowy. Stawaliśmy po pięć osób w jednym rzędzie i trzymając się pod ręce oczekiwaliśmy sygnału „marsz”. Na Brygidkach przesiedziałem cztery miesiące i dziesięć dni.

Wymarsz z Brygidek miał miejsce we wrześniu 1945 roku. Przed samą komendą „marsz” przeliczono nas po raz któryś z kolei i pierwszy raz w życiu usłyszałem wygłoszone przez naczelnika kolumny więźniów i zarazem przełożonego wszystkich strażników krótkie ostrzeżenie. Brzmiało ono następująco: *Wnimanije, partia brygady, za niewypolnienija trebowanija konwoju i pry popytkie pobiegu, konwój prinimajet oruzija bez predupreznienija, poniatno?* (Uwaga kolumna, za niespełnienie rozkazu konwoju i próbę ucieczki konwojenci użyją broni bez uprzedzenia, zrozumiano?) *Poniatno* – należało odpowiadać. Zdanie to przez długich sześć lat słyszałem dzień w dzień, rano przed wymarszem do pracy i wieczorem po pracy, przed powrotem do baraków.

I tak kolumna składająca się z kilkuset osób ruszyła powoli na dworzec kolejowy. Na bocznicy dworca drohobyckiego, po dokładnym przeliczeniu, zostaliśmy wprowadzeni do *tielatnikow* (wagonów bydłowych). Po kilku godzinach postoju na dworcu pociąg ruszył do Lwowa

Po przyjeździe do Lwowa konwojenci odryglowali drzwi, kazali nam wysiąść i pokrzykując: *Dawaj, dawaj po skorej*, ustawili nas w jednym szeregu po pięć osób, a po wielokrotnym przeliczeniu i kolejnym ostrzeżeniu naczelnika konwoju, ruszyliśmy zwartą kolumną. Maszerowaliśmy przez ulice Lwowa. W końcu doszliśmy do obozu rozdzielczego. Niestety, nie potrafię podać nazwy ulicy, przy której znajdował się ów

punkt. W punkcie tym oczekiwało się czasami nawet po kilka miesięcy na transport w głąb Rosji.

Jesienią 1945 r. właśnie w tym obozie przejściowym, bardzo poważnie zachorowałem na dezynterię. Miałem wysoką temperaturę, byłem głodny, marzyłem o napieniu się wody (nie dawali jej w dowolnej ilości, podawali tylko kubek *kipiatoku* raz dziennie), musiałem często biegać do ubikacji. To była największa tragedia. W pomieszczeniu, w którym się znajdowałem (była to ogromna sala), ludzie leżeli pokotem na podłodze, czasami nie było po prostu gdzie stanąć, trzeba było chodzić po ludziach. Krzyczano i przeklinano. Ponieważ dosłownie ciekło ze mnie (krew z kałem), nie nadążałem z wychodzeniem do toalety, która zresztą ciągle była oblegana przez chorych, takich jak ja. Zacząłem więc podkładać pod siebie ręczniki i chusteczki, które miałem z domu. Jak długo trwała ta mordęga, nie pamiętam.

Rodzina moja po raz ostatni podała mi paczkę zaraz na samym początku mego pobytu we Lwowie, był to mój ostatni z nimi kontakt. Nie widziałem ich przez wiele lat. Zapasy te szybko się wyczerpały, musiałem żyć na głodowej porcji więziennej *pajki* (wyżywienia).

W punkcie etapowym we Lwowie grasowali zupełnie bezkarnie złodzieje i bandyci rosyjscy. Odbierali oni więźniom politycznym paczki żywnościowe i odzież. Strażnicy NKGB zupełnie nie reagowali na skargi, zażalenia poszkodowanych, rozmyślnie tolerowali tę bezkarną grabież, ponieważ razem ze złodziejami dzielili się zdobyczami. W dzień i w nocy nie było spokoju, wciąż rozbrzmiewały krzyki rabowanych, okradanych i bitych. Tłok, spanie na betonowej podłodze, brak opieki lekarskiej i żywności przyczyniał się do wzrostu zachorowań i dużej śmiertelności wśród więźniów. Zaczęliśmy tęsknić za jakąkolwiek zmianą, chcieliśmy by nas wywieziono wszystko jedno dokąd, byle nie egzystować w tak ciężkich warunkach.

Przyszła wreszcie kolej i na nas. Zostaliśmy wyprowadzeni z obozu długą kolumną, po pięć osób w jednym szeregu. Trzymając się pod ręce (to było dobre, ponieważ dzięki temu można było podtrzymywać chorych, słabych, nie mogących iść o własnych siłach), wyruszyliśmy na główny dworzec kolejowy, gdzie na bocznicę stały przygotowane dla nas wagony towarowe (*tielatniki*). Konwojenci uzbrojeni w automaty popędzali nas okrzykami „marsz!, marsz! *nie rozciągajwsia!*” (nie rozciągać się). Kolumnę naszą, składającą się z tysiąca ośmiuset osób zamykało NKGB z psami (wilczurami).

Jesienne słońce grało niemiłosiernie. Po jakimś czasie dowlekliśmy się do

boczniczy kolejowej. Tam kazano nam usiąść na ziemi przed wagonami towarowymi i czekać na swoją kolej. Byłem chory, miałem gorączkę, marzyłem o szklance wody. Jeden z pilnujących nas konwojentów uległ mojej prośbie i za podarowanie mu koszuli podał mi garnuszek wody ze znajdującego się nie opodal kranu. Woda była zimna, rzuciłem się na nią zachłannie, wypłem jednym duszkiem.

Wpędzono nas wreszcie do najbliższego wagonu bydłowego. Wepchnięto tam dziewięćdziesiąt osób. Okna naszego *tielatnika* zabito deskami oraz obciążnięto od zewnątrz drutem kolczastym. Wewnątrz było strasznie ciasno i duszno. Leżeliśmy na podłodze przyciśnięci jeden do drugiego, obracając się na komendę. Na środku wagonu ustawialiśmy (na zmianę) dwóch ludzi, którzy wachlując kocami „odświeżali” powietrze. Miałem ogromne szczęście, ponieważ leżałem w miejscu, gdzie w bocznej ścianie, tuż przy podłodze, znajdował się niewielki otwór po śrubie, przez który wpadało nieco świeżego powietrza.

Wreszcie transport ze skazańcami ruszył w daleką drogę. Karmili nas raz dziennie, dając pół litra rzadkiej zupy lub czasami zamiast niej jedną suszoną rybę pokrytą warstwą grubej soli, po zjedzeniu której miało się straszne pragnienie, a wody pitnej nie można się było doprosić. Ludzie, nawet ci, którzy dotychczas byli zdrowi, zaczęli chorować. Codziennie rano i wieczorem otwierano drzwi wagonu otoczonego wówczas przez uzbrojonych konwojentów, spędzano nas na jedną stronę wagonu a drugą dokładnie przeglądano, opukiwano drewniane ściany wagonu i rewidowano nasze tobołki. Później skrupulatnie nas przeliczano. Każdy więzień musiał przebiegać na drugą stronę wagonu i w tym czasie był bity przez dwóch oprawców młotkami używanymi do opukiwania wagonów (młotkami tymi sprawdzano, czy deski w wagonach nie zostały przez więźniów wyłamane). Młotki miały długą, sześćdziesięciocentymetrową rączkę, a wykonane były z twardego drewna (z dębu). Ta „zabawa” powtarzała się dwa razy dziennie aż do końca tej piekielnej podróży.

Byłem młody, lekki i szybko potrafiłem się poruszać. Pewnego razu, gdy nadeszła moja kolej przy liczeniu, pochylając się, szybko przeskoczyłem na drugą stronę i tym samym unikałem uderzeń młotka. Niestety, moja radość była krótka. Jeden z liczących przestał bowiem liczyć i kazał mi wrócić na poprzednie miejsce a za karę otrzymałem podwójną porcję razów. Więcej już swoich sztuczek nie próbowałem.

Droga nasza na wschód przebiegała ze Lwowa przez Winnicę, Kijów, Charków, Kursk, Wyżynę Środkoworosyjską, Woroneż, Wyżynę Nadwołżańską, wzdłuż Wołgi do Kujbyszewa, Orianienburg, przez Uralsk i rzekę Ural do Orska, następnie przez

rzekę Iszym, Bramę Turgajską do Celinogradu (Kazachstan) i Karagandy, następnie do Karabasu w województwie karagandyjskim, położonego w stepach kazachstańskich na pogórzu kazachskim, około pięciuset kilometrów od granicy chińskiej. Trasę tę, wynoszącą około 4500 km przebyliśmy w ciągu dziewiętnastu dni.

Przez otwór od śruby obserwowałem olbrzymie tereny, które mijaliśmy. Jadąc ze Lwowa w stronę Winnicy, stosunkowo często spotykaliśmy wioski, szczególnie na terenach dawniej należących do Polski. Za granicą polsko-rosyjską sprzed 1939 r., stopniowo było ich coraz mniej. Gdziekolwiek widać było chaty ze słomianymi strzechami i uprawne pola (często też odłogi). Tak było aż do Kijowa.

Minęliśmy Kijów i rzekę Dniepr, w końcu dotarliśmy do Charkowa. Począwszy od Winnicy, cały czas jechaliśmy terenem nizinym. Z Charkowa skręciliśmy na północ, w kierunku Kurska. W Kursku trzeba było wynieść z naszego wagonu ciała dwóch zmarłych z wycieńczenia i głodu Ukraińców pochodzących z Tarnopola. Zostali oni załadowani na samochód ciężarowy stojący na bocznicę stacji.

Po kilku dniach przejechaliśmy piękne góry Ural stanowiące granicę między Europą a Azją. W wagonie naszym nadal panował nieznośny upał i duszno było nie do wytrzymania. Brak świeżego powietrza, brak jedzenia i wody do picia fatalnie odbijały się na zdrowiu i samopoczuciu. Wszyscy byliśmy wykończeni. Brak jakiegokolwiek ruchu (było tak ciasno, że nie mogliśmy nawet „rozprostować kości”) przyczynił się do tego, że wszyscy staliśmy się apatyczni i obojętni na to, co się wokół działo – nawet na uderzenia młotków w deski wagonu (jeśli w czasie takiego uderzania miało się głowę przy ścianie wagonu to można było nabawić się strasznego bólu głowy). Konwojenci przy każdej *prowierkie* z wściekłością znęcali się nad więźniami nie tylko fizycznie, ale i moralnie, wykrzykując obelgi w rodzaju: „faszyści”, „zdrajcy ojczyzny”, „hitlerowcy” itp.

W Magnitogorsku znowu pożegnaliśmy jednego Ukraińca. Jak jego rodacy zmarł z wycieńczenia. Nie znałem go, nie wiem dokładnie skąd pochodził, w każdym razie z naszej zachodniej Ukrainy.

Jechaliśmy już po stepach Kazachstanu. Tu po raz pierwszy w życiu zobaczyłem pasące się wolno wielbłądy jednogarbne i dwugarbne. Chodziły zupełnie wolno po stepie, tak jak u nas bydło na łąkach. Pilnował ich tylko jeden pastuch na koniu.

Podróż nasza zbliżała się ku końcowi. Dojeżdżaliśmy do Karagandy, wojewódzkiego miasta Kazachstanu. W Karagandzie, podczas liczenia więźniów, jednego z naszych współtowarzyszy niedoli konwojent uderzył młotkiem po głowie.

Człowiek ten upadł i nie podniósł się już więcej. Była to czwarta osoba z naszego wagonu, która zmarła podczas tej dziewiętnastodniowej „podróży” do Karagandy. Ile było jeszcze ofiar w pozostałych wagonach, nie wiem. Sądzę jednak, że nie było ich mniej niż u nas (inne wagony były równie zatłoczone). W Karabasie, kiedy po wyładowaniu nas z wagonów zostaliśmy zmieszani z innymi więźniami, doszło do mnie, że w trakcie tej jazdy z różnych przyczyn (głód, choroba, pobicie, wycieńczenie) zginęło trzydzieści dziewięć osób.

Rozdział VI – Karaganda, Karabas, Del-Del

Karaganda w języku kazachskim oznacza „czarny węgiel”. Nazwa ta wzięła się stąd, że jest to miasto przemysłowe, w którym są kopalnie rudy żelaznej. Z miasta tego, po kilkugodzinnym postoju na dworcu, wyruszyliśmy w dalszą „podróż” i w niedługim czasie dojechaliśmy do Karabasu (Karabas – „czarna głowa”). Pociąg z więźniami wjechał na bocznice, tuż pod ogromny lagier rozdzielczy, gdzie wyładowaliśmy się z wagonów i stojąc po pięć osób w szeregu, czekaliśmy na dalsze rozkazy.

Po przeliczeniu wpuszczono nas do baraków. Lagier ten składał się z kilku oddzielnych, stojących równolegle baraków. Wszystko to otoczone oczywiście było podwójnym drutem kolczastym wysokości około trzech metrów. Baraki-ziemianki były wbudowane w ziemię na głębokość około półtora metra, reszta wznosiła się nad ziemią. Ściany baraków zrobiono z *samanów* (*saman* – rodzaj cegły służącej do budowy nie tylko baraków obozowych, ale również domów indywidualnych, jakie budowali więźniowie dla naczelników obozów, komendantów, strażników i innych wolnych ludzi). Wykonywano je z gliny zmieszanej ze słomą i nawozem krowim. Masę tę, podlaną odpowiednią ilością wody, więźniowie mieszały nogami w specjalnej jamie. Czasem wyręczały ich w tej pracy woły pociągowe, które poganiane przez *izwoszczyków* (furmanów, poganiaczy) deptały glinianą papkę chodząc dookoła jamy. Dobrze wymieszaną masę wynoszono z jamy łopatami na nosiłki, a nimi do specjalnych drewnianych form, w których przesychały na upalnym kazachskim słońcu. Produkcja takich cegieł trwała jeden dzień – cegły rano uformowane, wieczorem gotowe były do użytku. Słońce w lecie niemożliwie prażyło, temperatura dochodziła do 40°C, a nawet je przekraczała. Próby *samana* dokonywało się rzucając taką wypaloną kostką o ziemię. Jeżeli taka cegła wytrzymała uderzenie i nie rozsypała się, można było coś z niej zbudować.

Wewnątrz baraku nie było podłogi, zastępowało ją tzw. „klepisko” – zwyczajnie udeptana ziemia. Na klepisku stały zbite z żerdzi piętrowe nary, na narach deski, na nich z kolei rozesłane były „maty z kamyszu” (*kamysz* to roślina rosnąca nad stawami kazachskimi), na których każdy więzień miał swoje „leże”. Najwygodniejsze były nary górne, ponieważ najmniej sypało się na nie śmieci (np. pył z przetartych, starych mat kamyszowych). Pewnym utrudnieniem było jednak wdrapywanie się na górę, zwłaszcza, gdy więzień był u kresu sił fizycznych. Wszystkim bez wyjątków dokuczały

niesamowite pluskwy, których wszędzie było pełno, spadały nie tylko z „pierwszego piętra”, ale i z sufitu (dlatego nazywaliśmy je *paraszutistand* – spadochroniarzami). Obok drzwi wejściowych znajdowała się beczka z *kipiatkom*. W punkcie przerzutowym w Karabasie przebywałem pięć dni. Jeść dawali dwa razy na dobę: rano 30 dkg chleba (pajok), który wsypywano nam do czapek specjalnym czerpakiem (chleb ten się rozsypywał, albowiem był wypiekany z jakiejś mieszaniny, która w ogóle nie „trzymała się”, było w niej wszystko prócz mąki) i wieczorem 15 dkg *pajki* oraz pół litra wody gorącej, zamulonej zgniłą kapustą i burakami.

Była jesień 1945 roku. Dnie jeszcze gorące, wieczory i noce bardzo zimne (temperatura dochodziła do -10°C). Odzieży zimowej nie mieliśmy, a podczas *prowierki* (liczenie przed apelem) trzymano nas na dworze po trzy cztery godziny dziennie. Byliśmy wyczerpani długą jazdą, głodem, chłodem i chorobą. Któregoś dnia zaprowadzono nas do łaźni (myliśmy się w kilkunastoosobowych grupach) i tu zobaczyłem po raz drugi spotkanego we Lwowie w obozie przejściowym pewnego niemieckiego generała (nosił spodnie z czerwonymi lampasami). Zaniemówiłem, wtedy był to człowiek bardzo wysoki, o ogromnej tuszy i potężnym brzuchu, teraz, po kilku tygodniach wyglądał jak szkielet, a z przodu, tam gdzie kiedyś był brzuch, zwisała mu niesamowicie długa skóra, robiąca wrażenie fartuszka przewieszzonego w pasie. Co z nim później się stało nie wiem, nigdy go już nie widziałem.

W czasie pięciodniowego pobytu w Karabasie poznałem wspaniałych Polaków z AK: Henryka Urbanowicza z Sambora (wyrok 10 lat lagru), Jana Włodarczyka z okolic Lidy (woj. wileńskie, 10 lat lagru), Józefa Kajzera (nie pamiętam dokładnie skąd pochodził, najprawdopodobniej gdzieś z woj. kieleckiego, wyrok 10 lat lagru).

Nim rozstaniemy się z Karabasem, opiszę zajście, które tam miało miejsce. W obozie znajdowały się dwa baraki, położone niedaleko od naszych, odgródzone gęstym drutem kolczastym jeden od drugiego. W jednym z nich mieszkali urki (złodzieje), a w drugim suki. Oba były zamykane na sztabę *żelazną* zabezpieczoną z zewnątrz kłódką. Któregoś dnia zauważyłem, że na wieżyczkach pojawili się dodatkowi strażnicy z ręcznymi karabinami maszynowymi. Domyśliliśmy się, że coś się będzie działo niedobrego. I rzeczywiście. Dwa dni później wywołał nas z baraku niesamowity wrzask i przekleństwa. Jak się okazało, złodzieje wyłamali drzwi w swoim baraku wybiegając przez nie. Następnie jedna grupa zaczęła rzucać na druty kolczaste różnego rodzaju szmaty, a kolejna zaczęła po nich przelazić. W ten sposób chcieli się dostać do baraku, w którym zamknięci byli suki (nie należy zapominać, że oba baraki były wewnątrz

obozu). W końcu większość złodziei dotarła do drzwi baraku z sukami i zaczęła je wyłamywać, inni zaś wleźli na dach, aby przez górną jego część dostać się do środka. Większość tych ludzi uzbrojona była w siekiery, kilku w łopaty i łomy. Dotarcie do suk nie zajęło im wiele czasu. Zaczęła się rzeź. Suki bronili się dzielnie. Jatka ta trwała dostatecznie długo, aby po obu stronach było po kilkunastu zabitych i wielu rannych. Dyżurni specjalnie ociągali się z interwencją. Chcieli, by walczący wzajemnie się wymordowali. Następnego dnia strażnicy zlikwidowali barak z sukami, wywożąc niedobitków do innego obozu. Narzędzia mordu złodziejom dostarczali wolni dyżurni (za odzież i pieniądze). W ten sposób *naczalstwo* pozbywało się kłopotów z nadwyżką agresywnych przestępców.

Piątego dnia wyczytano mnie z listy ponad tysiąca więźniów. Zebrano sporą kolumnę, sprawdzono według nazwisk, przeliczono i skoro świt popędzono nas do różnych obozów znajdujących się w rozmaitych osadach rozsianych na obszarze całego stepu kazachskiego. Dla wielu ludzi marsz ten okazał się tragiczny: wycieńczeni głodem, wyczerpani długim siedzeniem w więzieniach, schorowani nie wytrzymali ciężkiego pochodu, padali w drodze. Co z nimi robiono, nie wiem, nie wolno nam bowiem było oglądać się. Kolumna maszerowała dość szybko, popędzana ciągłymi wrzaskami konwojentów. Z tyłu dodatkowo pilnowały nas jeszcze psy. Pochód trwał od świtu do późnego wieczora. Po drodze zatrzymywaliśmy się w maleńkich, liczących czasami zaledwie kilka lepianek osadach, gdzie dawano nam gorącą wodę i 45 dkg chleba na dobę. Po przespaniu nocy na słomie, rankiem znów ruszaliśmy w drogę. Spośród dużych osad minęliśmy Dolinkę, Karagogę i inne, których nazw nie pamiętam. Po kilku dniach marszu, na postoju, z kolumny naszej wywołano trzydzieści osób, w tym i mnie. Zboczyliśmy z głównej drogi w stepie i po jakimś czasie znaleźliśmy się w osadzie nazywanej Del-Del (w języku kazachskim oznacza to: nie tędy – nie tamtędy).

Osada Del-Del składała się z kilku maleńkich domków (maleńkich szarych lepianek naziemnych) oraz położonego w odległości około pięciuset metrów baraku z małym podwórzem, ogrodzonego drutem kolczastym, z budką wartowniczą na zewnątrz. Pomieszczenie to było przeznaczone dla nas – ZAK-ów (*zakluczionnyje* – więźniowie). W domkach znajdujących się z dala od naszego baraku mieszkali natomiast:

- komendant naszego obozu (w randze starszego lejtnanta) – niejaki Tkaczenko, wraz z rodziną;
- naczelnik naszego obozu oraz całej osady, o nazwisku Tiulikow, również z

rodziną;

- strażnicy z rodzinami.

Była tam też kuchnia wraz z piekarnią, *larok* (kiosk) dla wolnych obywateli oraz barak dla więźniów rozkonwojowanych, tzn. aresztantów, którzy mieli do odsiedzenia niskie wyroki lub kończyli już karę (pracowali oni przy hodowli krów i koni).

Osada ta liczyła około dwustu mieszkańców, w tym tylko czterdziestu ludzi wolnych. Umieszczono nas w baraku za drutem kolczastym, w którym znajdowało się około sześćdziesięciu osób. Razem było nas około dziewięćdziesięciu więźniów z różnymi wyrokami (od pięciu do dwudziestu lat) za rozmaite przestępstwa.

Muszę nadmienić, że w stepach kazachskich, a przynajmniej w województwie karagandińskim, osad takich, oddalonych od siebie od 15 do 60 kilometrów było bardzo dużo, około kilkudziesięciu. Są to dane przybliżone, pochodzące z relacji tubylców wolnych, stale tam zamieszkujących zesłańców oraz z moich własnych obserwacji.

Nasza osada zajmowała się wyłącznie hodowlą bydła, w związku z czym należało gromadzić siano na zimę oraz opał.

Dzięki różnym pracom melioracyjnym, wiosną na stepach gromadzi się wodę ze stopionego śniegu, służącą później do nawadniania okolicznych obszarów, na których rośnie przepiękna trawa.

Klimat w środkowym Kazachstanie jest kontynentalny, lata są tam upalne (temperatura sięga 45°C), niemal bezdeszczowe, zimy natomiast bardzo zimne (termometry mogą pokazywać nawet -40°C), mroźne. Latem (aż do późnej jesieni), w dnie bezwietrzne dokucza tzw. moszka (mikroskopijnej wielkości owad), która dostaje się wszędzie: za koszulę i spodnie, włazi natarczywie do oczu, uszu i nosa, gryzie niesamowicie ciało aż do krwi.

W zimie natomiast, od czasu do czasu pojawiają się tzw. *purgi*, tzn. zamiecie śnieżne tak wielkie, że w biały dzień nie widać nic, nawet na odległość ręki. Bardzo często zdarzały się wypadki, iż cały transport składający się z kilku sań błędził i ginął – wszyscy zamarziali. Dopiero pod koniec zimy czy na początku wiosny, kiedy masy śniegu stopniały, odnajdywało się martwych ludzi oraz konie lub byki pociągowe.

Kazachstan to olbrzymie połacie ziemi bardzo rzadko zaludnionej. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widać tylko step i step. W pewnych osadach, w rejonie, w którym przebywałem, w czasie roztopów (przez zimę może napadać do dwóch metrów śniegu) powstawały gigantyczne jeziora. Woda, która nie mogła szybko wsiąknąć w ziemię, rozlewała się na olbrzymim obszarze, tworząc swego rodzaju wewnętrzstepowe morza.

Po naszym przybyciu (było to w zimie), pracowaliśmy przy melioracjach. Wstawaliśmy o 6⁰⁰, na śniadanie dostawaliśmy gorącą wodę i 30 dkg chleba (zakalec wielkości 6x6 cm). Później następował *rozwód* (rozdzielenie brygad do poszczególnych prac). Po wysłuchaniu stereotypowego ogłoszenia naczelnika obozu (*wnimanija partia brygady, pry popytkie pobiegu, konwój prinimajet orużja bez predupreždijenija – poniatno?*) i naszej odpowiedzi (*poniatno*) padała komenda „marsz!”. Brygada składająca się z około siedemdziesięciu więźniów, zmarzniętych i głodnych, szła do pracy na cały dzień aż do późnego wieczora. W barakach pozostawali jedynie inwalidzi, chorzy i złodzieje, a także *dniewalny* (dyżurny porządkowy, zazwyczaj stary zarówno wiekiem, jak i stażem obozowym więzień). Do miejsca, w którym pracowaliśmy, mieliśmy około pięciu kilometrów. Przy czterdziestostopniowym mrozie kopaliśmy rowy melioracyjne. Praca była katorżnicza, bardzo ciężka. Najpierw należało odrzucić masy śniegu, następnie przekopać się przez zamrzniętą ziemię, aby wreszcie łopatą i kajłem robić rowy melioracyjne. Zmarzniętą ziemię rozkruszało się przy pomocy klinów żelaznych, młotów i łomów. Pracowaliśmy aż do zmroku. Dopiero na sygnał brygadiera lub naczelnika konwoju *sobierajsia domoj* (zbieraj się do domu) kończyliśmy pracę. Wracaliśmy do obozu, gdzie przygotowany był dla nas chleb (45 dkg), pół litra wody ze zgniłą kapustą oraz 150 g rzadkiej kaszy z czarnego jęczmienia, nazywanej popularnie *karyje gładki* („czarne oczka”). Po zjedzeniu tych głodowych porcji rzucaliśmy się na nary, aby odpocząć. Tak przez kilka długich zimowych miesięcy w przybliżeniu wyglądał każdy nasz dzień. Wśród nas byli przedstawiciele różnych nacji: Litwini, Łotysze, Estończycy, Ukraińcy, Rosjanie, Czeczeni Ingusze, jeden Grek, ja i jeszcze jeden Polak. Wszyscy byliśmy więźniami politycznymi, skazanymi na kary od 5 do 20 lat *isprawitielnych trudowych lagieriej* (wychowawczych pracowniczych obozów).

Beznadziejność naszego położenia i nieznana przyszłość pogłębiały nasze kiepskie samopoczucie. Niedziel i innych świąt (oprócz 1 maja i święta rewolucji październikowej) nie uznawano. Trzeba było tylko pracować i wykonywać normę. Niewykonanie jej pociągało za sobą natychmiastowe obniżenie *pajka*, czyli porcji chleba (*sztrafnoj pajok*, czyli porcja karna – 30 dkg chleba mniej i tylko gorąca woda). Ponieważ więźniowie i tak byli wykończeni pracą i głodowymi racjami pożywienia, ograniczenie takie było, praktycznie rzecz biorąc, skazaniem na zagładę. Więźniów takich nazywano wówczas *fitilom* (człowiek, któremu niedaleko do śmierci, *fitil* – dosłownie: knot, lont, coś co tylko się żarzy, tli i lada moment może zgasnąć) lub też

dochodiagą (dochodzący, tzn. jeszcze żyje i jest ciepły, lecz to życie niedługo będzie trwało).

W Del-Del spotkałem między innymi człowieka z grupy Trockiego. Siedział w obozie od 1930 r., czyli już szesnaście lat. Był bez wyroku i nie miał żadnych szans na wyjście na wolność. Był u nas dniewalnym. Pewnego razu został mocno pobity przez współwięźniów, ponieważ podczas przynoszenia zupy z kuchni, wypijał po drodze (razem ze swoim współnikiem) część tak zwanej *balandy* i wyławiał z niej kawałki kapusty, wrzucając w to miejsce krowie odchody, co po rozmrożeniu powodowało wstrętny zapach i było nie do spożycia (pomimo głodu).

W obozie tym spotkałem też Polaka, który w ZSRR znajdował się już od 1940 roku. Był on pospolitym przestępcą, zwyczajnym polskim złodziejem i siedział za kradzież. Z ciekawości spytałem go dlaczego nie zgłosił się do armii gen. Andersa, przecież była to szansa na wydostanie się z tego piekła. Odparł mi z uśmiechem, że on jest złodziejem, że do wojska niech idą frajerzy, że patriotyzm i polityka go nie obchodzą, a jemu dobrze jest tam, gdzie może coś ukraść. Byłem zdumiony tymi słowami, ale cóż, i tacy ludzie się zdarzają.

W 1945 roku, 24 grudnia, czyli w rok po moim aresztowaniu, jak w każdy dzień pracowałem do zmroku. Dopiero wieczorem, po robocie, w baraku przypomniałem sobie, że to tylko jeden rok minął, a ja już taki wykończony jestem tą pracą ponad siły. Zastanawiałem się, czy starczy mi woli przetrwania i sił na następne sześć lat więzień i obozów.

Mijał dzień za dniem. Nauczyłem się obliczać wyrok. Każdy przeżyty dzień zaliczało się *dalej*, czyli przeżyty i to moje szczęście. Wszyscy tak sobie odliczali i cieszyli się, że już bliżej końca wyroku. O tym, czy puszczą na wolność, czy nie – nie myślano wcale, martwienie się tym odkładano na później. Wieczorami, w chwilach wolnych, wszyscy rozmawiali o jedzeniu i o wolności. Starsi Rosja nie wspominali carskie, dobre czasy, inni mówili o tym, jak wyglądało ich życie przed zajęciem ich ziem przez armię sowiecką.

Wreszcie nadeszła tak długo oczekiwana przez nas wiosna 1946 roku. Śnieg gwałtownie topniał, a słońce coraz mocniej przygrzewało. Dnie stawały się dłuższe i tym samym musieliśmy więcej pracować. Wracaliśmy do baraków później, gdyż zaplanowane przez *naczalstwo* roboty musiały być jeszcze przed zupełnym zniknięciem śniegu ukończone. Coraz częściej odwiedzał nas w pracy naczelnik i *komandir*. Obaj kręcili się między więźniami i z okrzykami *dawaj, dawaj, szywiliś poskorej* (ruszaj się

szybciej) zmuszali nas do zwiększenia tempa pracy.

Roboty przy melioracji dobiegały końca. Rano, kiedy wychodziliśmy do pracy, śnieg był zamrznięty, a temperatura poniżej -10°C . W ciągu dnia słońce podgrzewało coraz mocniej i śnieg niknął w oczach. Nasze walonki już przed południem były zupełnie mokre, rozlażyły się w wodzie zmieszanej ze śniegiem. Stopy mieliśmy przemarznięte i poranione do krwi tak, że nie można było w ogóle chodzić. Więźniowie przeklinali ciężką, katorżniczą wręcz pracę i nieludzkie warunki. Stare, połatane walonki i zniszczoną prawie doszczętnie odzież otrzymaliśmy jeszcze jesienią. Wszystko to wiosną się rozlażyło, albowiem wiecznie mokre ubrania i buty dosłownie gnęły. Płaszczki, po wyglądzie których łatwo mogliśmy się zorientować, że stanowiły niegdyś własność żołnierzy rosyjskich, jak też węgierskich i niemieckich, miały wyraźne ślady kul. Były podarte zanim myśmy je otrzymali, podobnie zresztą jak nasze walonki. Te ostatnie *dniewalny* co wieczór odnosił do suszarni. Niestety, nigdy nie zdążyły wyschnąć. Każdego ranka zakładaliśmy więc mokre obuwie.

Było wśród nas wielu chorych. Ci, którzy byli zupełnie wycieńczeni i nie mogli się poruszać, leżeli na narach, całkowicie pozbawieni opieki. W obozie nie było żadnego lekarza. Jedyne pielęgniarka, „zesłanka” posiadała tylko jodynę.

Prace melioracyjne wreszcie zakończyliśmy. Po kilku dniach woda, szeroko zalewająca step, spłynęła do przygotowanych zbiorników. Oznaczało to dla nas koniec dalekich marszów do pracy. Ale tylko tyle. Nie dali nam nawet chwili wytchnienia po tak katorżniczej pracy. Wnet zaczęliśmy wyrabiać *saman*. Robiliśmy to nie opodal naszego baraku. Praca ta była bardzo ciężka. Jak wszędzie trzeba było wykonywać tu określoną normę. Z głodu zaczęły puchnąć nam nogi. W zimie jakoś „trzymałyśmy się”, chyba mróz nas do tego zmuszał, wiosną, przy palącym słońcu całkiem się „rozlażyliśmy”. Zmniejszono nam też wówczas racje pokarmowe, motywując to przednówkiem. Zabrakło kucharzowi zmarzniętej i zgniłej kapusty, którą jedliśmy w zimie. W zamian dostawaliśmy zgniłe buraki i kartofle. Pomyje jakie nam dawano były tak wstrętne, że pomimo głodu nie mogliśmy tego jeść.

Dziewięć najcięższych chorych osób wywieźli wtedy z obozu na furach zaprzężonych w woły. Podobno mieli ich leczyć w powiatowym szpitalu. Nigdy już do nas nie wrócili i nigdy ich później nie spotkałem.

Dnie przy ciężkiej i mozolnej pracy były podobne jeden do drugiego. Upał i suche powietrze bardzo nam dokuczały. Nawet nie zauważyliśmy, jak wiosna zmieniła się w lato. Zaczęły się najdłuższe dni w roku. Po pracy, ale jeszcze przed wieczorem

siadaliśmy na ziemi przed barakiem w zonie i rozmawialiśmy. Oczywiście tylko na jeden temat – jedzenie. Tęsknym wzrokiem patrzyliśmy w step. Gdy powiał silniejszy wiatr, wzrastało wśród nas podniecenie, zastanawialiśmy się, czy będzie trąba powietrzna. Kilka razy widzieliśmy ją, jak tańczyła po stepie i znikła w dali. Tak bardzo pragnęliśmy, aby przeszła przez pobliską osadę i nawiedziła naszą zonę. Bywało, że nasze życzenia się spełniały i trąba, mała i nieszkodliwa przynosiła nam skarby porwane ze śmietników w osadzie. Rzucaliśmy się wtedy, popychając się i bijąc szukaliśmy okurków z papierosów, kawałków gazet lub innego papieru. Ludzie wolni mieszkający w osadzie byli biedni i niewiele mogliśmy uzyskać z ich śmietników, ale nawet to, co do nas docierało, miało odpowiednią wartość w prowadzonym na „wielką” skalę handlu wymiennym. Nasza nędza, bieda ludzi z osady, to było zrozumiałe, ale stan posiadania naszych strażników zawsze mnie, Polaka, wprawiał w zdumienie.

Strażnikom brakowało dosłownie wszystkiego. Raporty ze stanem liczebnym obozu pisane były grafitem lub kredą na kawałku dykty. Jedna taka deseczka starczała na wiele miesięcy. Każdego wieczora, po dyżurze, strażnik ścierał szkłem swoje całodzienne zapisy dotyczące więźniów, ich liczby rano, w południe i wieczorem (w czasie pracy także nas liczone, bez ustawiania w szeregu). Papieru nie było w ogóle, nie było też gazet O książce nikt nawet nie wspomniał, zresztą nikt by nie czytał z powodu braku czasu i zmęczenia. Podejrzewam również, że gdyby nawet pokazała się w zonie jakakolwiek książka, byłaby natychmiast rozerwana na kartki, które miałyby służyć do robienia skrętów papierosowych. O tytoń było trudno. Machorka krupczatka (korzenie tytoniowe i łodygi) była równie niedostępna jak papierosy lub inny tytoń. A jednak handel wymienny należał do naszych ulubionych zajęć. Można było bardzo korzystnie sprzedać np. daszek od czapki, jeżeli był z tektury. Daszki miały swoją cenę, oczywiście nie w pieniądzach, bo posiadanie takowych było zakazane, ale w towarze. Za daszek otrzymywało się 650 g chleba. Szczęśliwy nabywca daszka dzielił jego tekturę na cienkie listki papieru, a te z kolei na kawałki wielkości bibułki papierosowej i tak uzyskane bibułki do skrętów sprzedawał (wymieniał) na sztuki, zarabiając na tym. W obozie wszystko było przedmiotem handlu. Do najbardziej poszukiwanych i cenionych przez ludzi wolnych rzeczy należały przedmioty pochodzenia europejskiego, zachodniego.

Zachodnia Europa według tutejszych wyobrażeń zaczynała się na zachód od Ukrainy Zachodniej, która przed wojną należała do Polski, na północy od granic wschodnich z 1939 roku. Od ubrania, przez buty, chusteczki do nosa a nawet agrafki i

guziki, wszystko, co europejskie, można było sprzedać. Ludność kazachska cieszyła się każdym drobiazgiem. Często nie wiedzieli, jak nabytą rzecz używać, do czego ona służy. Kiwali z podziwem głowami, co też za cuda wyrabiają *kapitalistyczne strony* (kapitalistyczne państwa).

Patrząc na nich i widząc ogromny podziw w ich oczach przypominały mi się opisy pierwszych wrażeń podróżnych, którzy spotkali na swojej drodze ludzi pierwotnych.

Handel z wolnymi prowadził tylko *dniewalny* mający swojego zaufanego strażnika, przez którego kontaktował się ze światem. Wszystko dla nas miało wartość. Nie tylko tytoń i papier czy tektura do skrętów, ale również zboże i kamienie do jego rozcierania na krupę lub mąkę.

Zapałki były szczytem marzeń. Nie pamiętałem wtedy, kiedy widziałem je po raz ostatni, jeszcze chyba w Boryslawiu na wolności. W naszej, liczącej około dziewięćdziesięciu osób społeczności, tylko jeden więzień Pers miał krzesiwo. Prowadził on też handel przyborami do rozniecania ognia, miał gilzy od kul karabinowych, niezbędne do zatykania skręcanej waty, na końcu której miał zawsze utrzymywać się nagar; można też było u niego dostać krzesiwo, a także kawałki stalowych metali, pomocnych przy nieceniu ognia (pocierało się je o krzesiwo i w ten sposób wytwarzały się iskry). Ali Radżab był z zawodu złodziejem, umiał również przy pomocy deseczek i patyków (przez tarcie) rozniecać ogień. Ta „technika” wytwarzania ognia przypominała mi więzienie w Drohobyczu, kiedy siedziałem w celi szpitalnej ze złodziejem, od którego nauczyłem się niecić ogień w podobny nieco sposób: brało się watę najgorszego gatunku (najlepsza była ta z tak zwanych *buszłatów* lub kufajek rosyjskich), robiło się trzy cienkie warstewki, zwiјаło się je razem w tak zwany wałeczek, rulowało się je kładąc każdą watkę w odwrotnym kierunku i w dłoniach kilkakrotnie przyglądało się. Tak zrulowaną watę kładło się na drewnianą podłogę i przyciskając deseczką z góry, tarło się tak długo, dopóki nie poczuło się zapachu spalenizny. Po tym żarzącą się watę szybko się rozrywało i dmuchając w obie połowy, wywoływało się płomień. Przy tarcu waty deseczką należało uważać, by zbyt długo nie pocierać, gdyż można było zadusić wytwarzający się żar. Należało to robić z wyczuciem, aby w porę zerwać wałeczek z watki. Taki sposób rozniecania ognia służył mi przez wszystkie lata mojego pobytu w obozach i więzieniach sowieckich.

Życie „towarzyskie” zaczynało się w baraku po zapadnięciu zmroku. Wówczas to zapalano kaganek składający się z miseczki glinianej, w której była nafta a w niej

zanurzony knot zrobiony z kawałka bawełnianej szmaty. Kaganek ten kopcił niesamowicie, ale dawane przez niego nikle, bo nikle, ale światełko, nie pozwalało na rozbicie sobie nosa przy chodzeniu po baraku. Odwiedzano się wzajemnie, przychodziło się do kolegi, który „rezydował” na innej narze, czasem nawet częstowano się gorącą wodą lub papierosem (gdy handel „dobrze poszedł”) i rozmawiało się o minionym dniu, jedzeniu na wolności różnych smacznych potraw i na koniec cieszą się, że kolejny dzień mamy z głowy (*dałoj*).

Życie wlokło się monotennie i bez złudzeń co do lepszego jutra, z daleka od świata cywilizowanego. Świadomość w czyich rękach się znaleźliśmy, do końca odbierała wszelką nadzieję na powrót do normalnego życia. Brak jakichkolwiek wiadomości z wolnego świata do reszty dobijał człowieka. Jeszcze w Drohobyczu dowiedziałem się, że wojna już się skończyła (siedziałem wówczas w Sądzie Grodzkim) i praktycznie na tym skończył się mój kontakt z krajem i rodziną. Nic poza tym nie wiedziałem, a było już przecież lato 1946 roku.

Do późnej jesieni wyrabialiśmy *saman* dla tamtejszego budownictwa. Zaczęto też coś przebąkiwać o zmianie obozu. Sam naczelnik powiedział do brygadiera, że już wszystkie prace w tym *posiołku* (osadzie) zostały wykonane, w związku z czym zostaniemy wysłani do innego obozu, do innych robót. Przed każdym transportem lub przejściem do innej osady a w ogóle przed wszelkimi zmianami, zawsze targały nami sprzeczne uczucia. Zastanawialiśmy się, jak to będzie gdzie indziej. Tutaj było ciężko i źle, ale tam może być jeszcze gorzej (nie ma tak źle, żeby nie mogło być jeszcze gorzej), tutaj przyzwyczailiśmy się do ludzi, do swojego miejsca i do tej nędzy, a jak będzie w tym nowym miejscu? Nikt nie wiedział nic konkretnego.

Pragnęliśmy jak najszybciej otrzymać odzież. Panowały już chłody, a nasze demobilowe ubrania były w strzępach. Baliśmy się, że wyślą nas bez ubrań – to, co mieliśmy cieplejszego na początku lata zabrali nam do przechowalni. Praktycznie mieliśmy tylko przydziałowe porwane kalesony i własne koszule. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni chodziliśmy boso. Pod koniec zaczęto wydawać nam *kazionne* (państwowe) koszule, a wreszcie, któregoś zimnego już dnia, dostaliśmy starą odzież.

Następnego ranka naczelnik *posiołka* oraz *komandir zwoda* kazali się nam przygotować do wymarszu. Nikt nie wiedział dokąd pójdziemy. Naczelnik wyczytał z listy czterdzieści nazwisk, w tym również i moje. Ustawiliśmy się piątkami i, jak zawsze w takich okolicznościach, usłyszeliśmy starą, dobrze znaną nam rosyjską modlitwę: *Wnimanija, partia brygady, za niewypołnienije trebowanija konwoju, konwój*

prinimajet oruzja bez predupreždienija. Poniatno? – poniatno odpowiedzieliśmy i powoli cała brygada ruszyła w nieznane.

Tak pożegnałem mój pierwszy obóz. Adres jego brzmiał:

Del-Del Karagandińskaja Oblast',

dolinskoje pocztowoje otdielenije pocztowej jaszczyk LK 246/613

Kazachskaja ZSRR Azja.

Rozdział VII – Carepka

Szliśmy, a raczej wlekliśmy się przez step do wieczora drogą przetartą przez jeżdżące od czasu do czasu *podwody* (furmanki). W dzień słońce niemiłosiernie prażyło, nie było nawet małego wiatru, który rozgoniłby moszkę, natarczywie dokuczającą nam w czasie pochodu. Około południa podeszliśmy pod olbrzymich rozmiarów stóg siana, który „mówił”, że gdzieś niedaleko musi się znajdować osada. Strażnicy pozwolili nam usiąść w jego cieniu i odpocząć. Sami też byli zmęczeni marszem i upałem. Po dwugodzinnej przerwie ruszyliśmy dalej. W czasie marszu nie napotkaliśmy nic ciekawego, jak okiem sięgnąć tylko step i step. Pod wieczór na horyzoncie zaczęły się ukazywać jakieś zabudowania. Wkrótce doszliśmy do celu.

Była to nasza nowa osada, nazywająca się Carepka. W porównaniu z Del-Del była duża, liczyła, jak przypuszczam, około ośmiuset mieszkańców.

Doszliśmy pod sam obóz, który znajdował się w środku osady. Po przeliczeniu nas i przeprowadzeniu osobistej rewizji wpuszczono całą naszą grupę do zagrodzonego drutem kolczastym obozu.

W drzwiach baraku stało kilkunastu złodziei, którzy już w czasie rewidowania nas przez strażników obserwowali, co kto ma godnego uwagi. Ktoś, kto posiadał coś zdatnego jeszcze do użytku, jakąś koszulę, buty z cholewami czy też zwykłe buciki, bieliznę, natychmiast był przez złodziei okradany. Próbujących walczyć bito, a nawet kaleczono nożem.

W baraku tym znajdowało się około dwustu ludzi, w tym stu złodziei zawodowych, którzy w dzień i w nocy grali w karty, kłócili się, bili, przeprowadzali nad sobą sądy, niesamowicie hałasowali i nie dawali wypocząć innym, pracującym ciężko cały dzień. Jeżeli któryś z *frajerów* spróbował poskarżyć się strażnikowi lub komuś z wolnego *naczalstwa*, był wówczas niemiłosiernie bity i prześladowany przez złodziei. Strażnicy zresztą nawet nie wchodzili do naszego obozu, bali się, że zostaną okaleczeni lub pobici przez złodziei.

Carepka to było według mnie istne piekło na ziemi. Na czele obozowej bandy stał Lońka zwany „*Kulciapy*” (Bezręki). Prawie codziennie wydawał on wyroki na swoich podwładnych. Złodzieje ci chłostani byli przez kamratów. Trzech złodziei w mojej obecności skazano na wyłamanie ręki za to, że próbowali okraść swojego kompana. Wyrok oczywiście został natychmiast wykonany. Nieszczęśnik taki kładł

rękę między szerokie szpary nar, wykonujący skakał na nią, rozlegał się krzyk – ręka była już złamana a delikwent tarzał się z bólu po ziemi i przeklinaj cały świat.

Po kilku dniach mego pobytu w tym obozie, rozeszła się wieść, że wieczorem ma być narada starszych złodziei, z „*Kulciapym*” na czele. Jej tematem był transport więźniów mający za kilka tygodni przyjechać z dalekiej północy. W transporcie tym miał znajdować się *suka*, na którego złodzieje polowali już od paru lat, a który – jak mówiono – należał do silnych i z tak zwanym *duszkom* (niczego i nikogo się nie bał, był zdolny do wszystkiego, przygotowany w każdej chwili na śmierć). Po długiej i dość burzliwej naradzie ustalono, że zabić *sukę* ma złodziej o pseudonimie „Cygan”. Był on rzeczywiście Cyganem, pochodził z Polski, w czasie rozmowy powiedział mi, że jest z zachodniej Ukrainy (rozmawiałem z nim po polsku). Wybór padł na niego ponieważ był silnym i roslym mężczyzną i miał jeszcze wiele lat do odsiedzenia (18). Sąd skazywał go często na dodatkowe kary (przedłużenie wyroku zasadniczego) za różnego rodzaju wybryki popełniane w obozie, poza tym wiedziano, że za to morderstwo dostanie nie więcej niż dwa lata, a to już niewielka różnica – osiemnaście czy dwadzieścia lat, i tak trzeba siedzieć i tak – jak mawiali więźniowie. Do pomocy przydzielili mu młodego, dwudziestoletniego chłopca, który zasądzony był na pięć lat (za jakieś włamanie do mieszkania). Pomoc ta była niezbędna, ponieważ wszyscy zdawali sobie sprawę, że „Cygan” sam może nie podołać.

Po kilkunastu dniach przyjechał transport, a w nim oczekiwany delikwent. Złodzieje nie mogli się już doczekać, kiedy „sprawiedliwości” stanie się zadość i wyrok zostanie wykonany. Inni więźniowie chcieli, aby to „widowisko” wreszcie się odbyło, albowiem po nim *naczalstwo* mogło zorganizować nie planowany transport i część złodziei wysłać do innego obozu. Tym samym u nas zrobiłoby się nieco spokojniej.

Przyjechało ich dwóch – *suka* oraz młody chłopak, który pomagał mu nieść jego worki podróżne (miał ich trzy, co świadczyło o bogactwie, wiadomo w jaki sposób zdobytym – kradzieże, gra w karty). Strażnik dyżurny, stojący na zewnątrz bramy wejściowej, przyjmujący nowego, nawet nie robił mu rewizji, ponieważ bał się go i nie chciał ryzykować swoim życiem i zdrowiem. Z uwagi na ostatnie ciepłe promienie jesiennego słońca część lagierników wygrzewała się na podwórzu przed barakiem i tym samym wszystko widziała.

Nowy rzeczywiście był potężny. Mierzył około dwóch metrów wzrostu, był to szeroki w barach, o długich rękach, dobrze zbudowany mężczyzna. Miał buty z cholewami, co również świadczyło o bogactwie (nawet na wolności o buty skórzane

było bardzo ciężko), spodnie długie i szerokie, ciemne, wpuszczone w cholewy, zza cholew wystawały długie rączki od noży (można więc było się domyślić, że ostrza też do krótkich nie należą). Koszula jego była jasna, długa na *wypusk*, opasana cienkim rzemieniem, którego koniec zwisał z boku.

Strażnik wpuścił ich do naszego obozu, szybko zaryglowując za nimi żelazną bramę. *Suka*, rozglądając się na wszystkie strony, wszedł ostrożnie do baraku, za nim jego sługa (młody chłopak nie należący do klanu złodziejskiego, *frej*), a za nimi wszyscy ciekawscy *freje*. Po tym ostrożnym wejściu (na początku nigdy nie wiadomo, kto panuje – *suki* czy złodzieje, na wszelki wypadek trzeba więc się mieć na baczności), wyrzucił z rogu baraku trzech frajerów, zajmując ich miejsca. W ten sposób za plecami miał dwie ściany, co zapewniało mu pewne bezpieczeństwo, przynajmniej od tyłu. Rozesłał swój koc i zaczął powoli rozglądać się po baraku. Przestępcy natychmiast potrafia wśród setek frajerów zarówno w obozie, jak i na wolności, rozpoznać ludzi „z branży”. Po kilku minutach obserwacji doskonale więc wiedział, że jest to lagier rządzony przez złodziei, reszty też się domyślił.

Starzy złodzieje przestrzegają pewnych konwenansów. Aby nie uchybić zwyczajowi, „Cygan” wybrany tymczasowo gospodarzem, podszedł do *suki* i pozdrawiając go zaproponował tradycyjnie grę w karty: *nu cztoż, pobalujemsia?* (no cóż, pobawimy się). Oczywiście propozycja ta została przyjęta. Obaj usiedli na narach po turecku, małą poduszkę służącą za stół położyli między sobą, wyjęli noże, wbili je w deski nar na znak uczciwości w grze i zaczęli. „Mopsik” (taki pseudonim miał chłopiec mający pomóc „Cyganowi”) kręcił się w pobliżu ze schowaną za koszulą siekierą, czekając na okazję, aby uderzyć znienacka. Od tyłu nie mógł go podejść, ponieważ były tam ściany baraku, z boku na nary nie chciał wchodzić, aby nie budzić podejrzeń, spacerował więc tylko przed grającymi. Chłopak, który przyjechał razem z *suką*, nie był w ogóle brany pod uwagę, by mógł próbować stanąć w obronie *suki*, ponieważ był to zwyczajny *frej*, a zatem po co miałby ryzykować własne życie albo dodatkowy wyrok sądowy. Jak wszędzie, tak i w obozie, grających zawsze otaczają ciekawscy, złodziejom i frajerom wolno kibicować i obserwować. Tym razem jednak gapie wiedząc, czym się ta gra może skończyć, woleli trzymać się z daleka. W obozach bardzo często się zdarza, że oglądając jakąś grę w karty przy okazji można zostać poturbowanym, ponieważ bójki i sprzeczki są tam na porządku dziennym. Brak kibiców jednak przy tej grze wzbudził prawdopodobnie podejrzenia i był szczególnym powodem wielkiej ostrożności *suki*.

Po półgodzinnej grze „Cygan” nerwowo nie wytrzymał, sięgnął ręką po wbity w

nary nóż i z przekleństwem na ustach chciał uderzyć sukę w twarz czy też w szyję. Zaatakowany zdążył uchylić się i nóż zjechał „Cyganowi” w bok, raniąc tylko napadniętego silnie, ale nie śmiertelnie. Tymczasem uchylający się suka sięgnął po swój nóż, ale nie zdążył go wyjąć z nar, bo „Mopsik” czający się z siekierą, zamachnął się chcąc trafić go w głowę. Nie wiadomo, czy cios „Mopsika” był źle wymierzony, czy też unik zaatakowanego pomógł mu, dość że cios zamiast w głowę trafił sukę w ramię, odcinając je nieomal zupełnie. Suka wstał jednak o własnych siłach, oparł się o róg baraku i z nożem w rękę czekał na atak „Cygana”. Ten, po nieudanej pierwszej próbie również zerwał się z siedzenia i z okrwawionym nożem zbliżył się do stojącego i mocno krwawiącego suki. Uływ krwi szybko osłabiał sukę, który zaczął powoli pochylać głowę w dół. Korzystając z tego Cygan raz po razie uderzał go swoim nożem w kark. Po chwili okrwawione ciało zważyło się na nary.

Zaraz po morderstwie dwóch innych złodziei wyniosło trupa na dwór i krzycząc: *dyżurny ubieraj miertwieca* (strażnik zabierz martwego) rzucili ciało pod bramę zony. Wkrótce przybyło trzech strażników, złożyli ciało do drewnianych taczek i wywieźli za obóz. Rzeczy zabitego złodzieje oddali „*Kultiapemu*”. Krew z nar po zamordowanym zmyli frajerzy i *dniewalny*, a po chwili wszystko toczyło się już jak zazwyczaj.

Po kilku dniach, nie wchodząc nawet do zony, komendant obozu odczytał wyrok „Cyganowi”, który, jak przewidywano, otrzymał dwa lata za zabójstwo. Śledztwa nie było żadnego, ponieważ jeszcze w dniu morderstwa „Cygan” dobrowolnie przyznał się do winy. O „Mopsiku” jako współniku oczywiście nikt nie wspomniał – taka była umowa między mordercami.

Przez cały czas naszego pobytu w Cerepcie, wykonywaliśmy różne prace fizyczne. „Szczęściarze” przebierali zgniłą i zmarzniętą kapustę (mogli się przynajmniej najeść kaczanów z kapusty), inni pracowali w kamieniołomach. Ja wówczas nie pracowałem, nie miałem sił, zbuntowałem się, dostawałem za karę *sztrafnoj pajok* (30 dkg chleba) i tym się zadowalałem.

Zima, jak zawsze mroźna i długa, mijała bardzo powoli. Do „piekła” przyzwyczailiśmy się, zresztą sami zdziczeliśmy. Podobni do upiorów rozglądaliśmy się tylko za jedzeniem. Oczekiwaliśmy na tych, którzy wrócą z pracy. Jeżeli strażnicy nie odebrali przy rewizji kaczanów, rozkoszowaliśmy się jedzeniem przyniesionym przez „szczęściarzy”.

Jak zwykle przed każdym transportem, na wiosnę 1947 r., zaczęły krążyć pogłoski, że kto ma I lub II kategorię, zostanie wysłany na północ do kopalni węgla czy

rudy, a III kategoria pójdzie do innej osady do prac ogrodniczych. Właściwie wszyscy marzyliśmy o pracy w tak zwanych „polewnych” (nawadnianych) ogrodach, w których zawsze można było zdobyć coś do jedzenia.

Któregoś ranka przyszedł na *rozwód* komendant, kierownik kadr oraz kilkunastu strażników. Zaczęło się wyczytywanie nazwisk. Wywołano dwadzieścia pięć osób, w tym również mnie, i po raz pierwszy zdarzyło mi się, iż na moje zapytanie dokąd idziemy bez butów i bez odzieży, naczelnik odpowiedział mi, że on nam butów i odzieży nie da, bo nie ma, ale musimy wytrzymać, bo tam, gdzie idziemy będzie nam dobrze, że będziemy tam mieli lekką pracę i lepsze jedzenie. Starsi więźniowie zaczęli krzyczeć, że kłamie jak wszyscy naczelnicy. On jednak przysięgał (*bożył się*), że mówi prawdę.

Zastanawiając się co nas czeka, wyruszyliśmy w drogę. Opuszczaliśmy Cerepkę bez żalu. Zaraz po rozpoczęciu marszu znaleźli się tacy, którzy pracowali już w ogrodach. Zaczęli więc opowiadać, jak to tam dobrze, że można na polach ukraść kartofle, ile to można zjeść marchwi i cebuli itp. Ślinka ciekła nam na samą myśl o takich specjałach.

Jak na razie rok 1947 zapowiadał się obiecująco. Wydostaliśmy się z piekła, szliśmy pracować (prawdopodobnie) do ogrodów, gdzie praca jest lekka i jedzenie dobre.

Wlekliśmy się ślimaczym tempem. Gromada nasza liczyła dwadzieścia pięć osób, wszyscy byliśmy słabi i wycieńczeni. Strażnicy, względnie ludzcy nie grozili nam, nie strzelali, psy nas nie gryzły. Jednym słowem – „samo szczęście”.

Ponieważ byliśmy wykończeni, jak sam naczelnik konwoju powiedział: *wy pochożyje do miertwieców* (podobni jesteście do trupów), strażnicy pozwalali nam często odpoczywać. Podczas którejś przerwy w marszu zaobserwowałem, że w rejonie tym latało bardzo dużo dzikich kaczek, a step w wielu miejscach pokryty był szuwarami (*kamysz*). Wiedziałem, że są to doskonałe miejsca na zakładanie tam gniazd przez dzikie kaczki. Szuwary ciągnęły się kilometrami. Prawdopodobnie były tam również stawy, których wówczas nie mogłem odróżnić od stepu, ponieważ i tak wszystko zalane było wodą. Po południu, sugerując się słońcem gdzieś około 18⁰⁰, zauważyliśmy osadę. Zanim jednak do niej doszliśmy, napotkaliśmy w stepie niewielkie budowle, w większej części zrujnowane. Jak wyjaśnił mi Kazach, jeszcze parę lat wstecz była to mała osada kazachska. Na jednym z domków siedział teraz olbrzymi orzeł i przyglądał się z zainteresowaniem naszej brygadzie. Wcale nie był wystraszony. Dopiero gdy cała grupa

podeszła do niego na odległość kilku metrów, ptak wzniósł się powoli w powietrze. Był to wspaniały widok. Orzeł dostojnie machając skrzydłami powoli się od nas oddalał. Obserwowaliśmy go aż do momentu, w którym znikł nam zupełnie z oczu. Podejrzewam, że wielu z nas bardzo mu zazdrościło.

Rozdział VIII – Karagoga

Marsz nasz dobiegł końca. Jak się okazało, była to Karagoga – nieduża osada. Składała się z niewielkiego baraku, ogrodzonego drutem kolczastym (od razu domyśliliśmy się, że to nasz *rodnoj dom*), długiego budynku stajni na około trzydzieści koni i obory (znajdowały się tam woły). W niedalekiej odległości było jeszcze kilka pomieszczeń zamieszkałych przez strażników, wolnych cywilów, naczelnika obozu, który nazywał się Bandarenko, oraz pomieszczenia dla więźniów, którzy mieli szczęście być rozkonwojowani, tzn. nie byli zamykani w zonie za drutami kolczastymi, pracowali, poruszając się bez nadzoru strażników konwojentów.

Jak później dowiedzieliśmy się, w odległości około 3 km od naszej osady była ferma mleczna. Były tam rozkonwojowane więźniarki, które pracowały jako stajenne i dojarki. Osada ta należała do Karagogi i była przedmiotem marzeń wielu więźniów z uwagi na możliwość dostania od dojarek mleka, kaszy lub innych produktów żywnościowych.

W Karagodze spotkałem trzech Japończyków. Jeden z nich nazywał się Dżon Konno, w Japonii był komendantem policji, skazany został przez władze sowieckie na 15 lat. Lubiliśmy się, kiedyś Dżon złapał węża w stepie, wysuszył go na słońcu, wbijając patyk w ziemię, do którego przymocował uprzednio posolonego węża. Po kilku godzinach na skutek silnych promieni słonecznych wąż skurczył się i wysuszył. Po spróbowaniu go Dżon stwierdził, że jest zdatny do spożycia. Zaprosił mnie na tę wspaniałą ucztę. Usiedliśmy po turecku, Dżon węża pokrajał na maleńkie plasterki. Rozkoszując się jego smakiem zjedliśmy go, chwając Boga, każdy po swojemu, za ten wspaniały dar natury.

W niedalekiej odległości od naszego małego baraku był drugi barak, tej samej wielkości co nasz. W baraku tym, ogrodzonym poczwórnym drutem kolczastym, znajdowała się brygada składająca się z 40 osób. Byli to „katorżnicy”, więźniowie również polityczni jak my, tylko że my mieliśmy w wyroku dodatkowo napisane *isprawitielnych trudowych lagierej*, co znaczy: wychowawczych roboczych obozów, oni zaś oprócz wyroku mieli napisane: katorżnych robót, czyli najcięższych robót i wzmoczonej dyscypliny (najniższe wyroki były od 15 do 25 lat).

Chodzili oni codziennie do pracy w kamieniołomach. Znaczeni byli numerami, które nosili na bluzach, z tyłu na plecach i z przodu na czapkach. Numery były

namalowane czarną farbą na białym materiale, wielkości 10 x 20 cm. Przed wyjściem do pracy strażnicy zakładali im kajdanki, które przed pracą zdejmowano im, a po pracy znowu zakładano. Nie wolno im było chodzić po podwórzu obozowym, po przyjeździe z pracy byli natychmiast zamykani w baraku na kłódkę. Było to na wiosnę 1947 r. – cara już nie było, katorżnicy niestety zostali.

Następnego dnia po przybyciu poszliśmy do pracy i przez około półtora miesiąca kopaliśmy rowy do nawadniania pól. Nasi sąsiedzi katorżnicy zostali tymczasem poinformowani pocztą obozową (pantoflową), że w niedługim czasie zostaną wywiezieni na Kamczatkę. Wkrótce wiadomość obozowa sprawdziła się. Któregoś dnia rano nasi sąsiedzi katorżnicy dostali tak zwany *suchoj pajok* (suchy prowiant) na 3 dni z góry i wymaszerowali w step w nieznanym kierunku. Poszli prawdopodobnie do Karabasu, do obozu rozdzielczego, a stamtąd już pociągiem na daleką północ. Więcej o nich nic nie słyszeliśmy. My natomiast po zakończeniu prac przy rowach irygacyjnych zaczęliśmy chodzić do pracy do kamieniołomów, na miejsce więźniów z numerkami KTR (katorżnik).

Od jakiegoś czasu do naszego małego obozu zaczął przychodzić codziennie komendant strażników oraz naczelnik obozu pełniący równocześnie funkcję naczelnika całej osady, pytali każdego więźnia za co siedzi, na ile lat jest zasądzony, jak długo siedzi, ile ma jeszcze do końca wyroku, czy był kiedykolwiek w obozie rozkonwojowanym itp. Domyśliliśmy się, że potrzeba im ludzi do pracy w stepie przy sianokosach lub w ogóle w osadzie, a nie mają na tyle strażników, aby każdego więźnia oddzielnie pilnował, dlatego też zastanawiali się kogo z nas można rozkonwojować i wypuścić z zony do pracy bez konwoju. Przy takich decyzjach, jak wypuszczenie więźnia za zonę bez konwoju zawsze długo zastanawiali się ponieważ zachodziła obawa, że nagle rozkonwojowany więzień może zachłysnąć się „wolnością” i próbować zbiec. Wprawdzie wszystkim wiadomo było, że taki więzień daleko nie ucieknie, bo i dokąd, skoro wokół setki kilometrów step i step, skąd wziąć żywność na drogę, pierwszy napotkany wolny tubylec natychmiast doniósłby o uciekinierze (dostawali za to cukier, mąkę i krupę), nadto brak dokumentów bez których w Związku sowieckim ani na krok ruszyć się nie można. Natychmiastowy alarm postawiłby na nogi wszystkie ochrony strażnicze, jakich po stepach w osadach było pełno. Do najbliższej granicy Chin było około 700 – 800 km. Gdyby nawet jakimś cudem udało się przekraść przez tę granicę, to najprawdopodobniej Chińczycy albo zwróciliby Sowiecom więźnia, albo posadziliby do swojego więzienia za szpiegostwo czy też inną sprawę. Artykuł

odpowiedni znajdzie się zawsze, byle człowiek tylko był. Ze zdenerwowaniem przeto oczekiwaliśmy na decyzję, kogo wypuszczą za zonę i ilu, kto z nas będzie tym szczęściarzem i za drutami zacznie żyć, do jakiej pracy przydzielą i gdzie. Jak zwykle, system sowiecki: nic nie mówić, działać przez zaskoczenie, nawet w pozytywnym kierunku jest u nich stosowany.

Któregoś, jak zwykle pięknego, słonecznego dnia, bo wszystkie dni letnie w tych okolicach są słoneczne, bezdeszczowe i piękne, przyszedł komendant i naczelnik Bandarenko z listą. Wyczytał 10 osób, które uszczęśliwione wyszły za druty kolczaste pracować bez strażników. Radość ich była uzasadniona w pełni dlatego, że nie byli już zamknięci w obozie, czyli do pracy chodzili już bez konwoju. Przy takiej okazji można w osadzie zdobyć dodatkowe pożywienie: trochę owsa, z którego można przyrządzić doskonały kisiel lub kaszę, jakieś krupy itp. Wystarczyło odrobinę sprytu i zaradności, zresztą głód jedno i drugie wyrobi w człowieku. Ja byłem bardzo zmartwiony i zły, że mnie nie wypuścili za zonę. Praktycznie rzecz biorąc, miałem mniejszy wyrok do odsiedzenia; był już przecież rok 1947, tzn. siedziałem już ponad dwa lata, a do odsiedzenia pozostało mi jeszcze tylko niecałe 5 lat. W stosunku do innych było to niewiele. Na moje zapytanie dlaczego mnie nie wypuszcza do pracy za zonę, komendant krótko wyjaśnił: ty występowałeś z bronią w rękę przeciwko Sowieckiemu Rządowi, była was cała grupa, to znaczy, że ty jesteś niebezpieczny. Na koniec dodał: u ciebie w aktach zapisane, że chciałeś mieć kapitalistyczną Polskę, a tak nie można, Polska musi być nasza, sowiecka, bo wy naród bogaty i was trzeba rozkułaczyć (odebrać majątki). W odpowiedzi zagroziłem mu, że od dnia następnego nie pójde do pracy i nie będę chodził tak długo, dopóki mnie nie rozkonwojuje i nie puści za zonę. Nie zmartwił się tym, powiedział, że pójde do karceru na *sztrafnoj pajok*. Następnego dnia zgodnie z moją zapowiedzią nie poszedłem do pracy: za to zamknięto mnie w ciemnicy (karcerze), gdzie jedynym otworem przepuszczającym powietrze i odrobinę światła, był otwór znajdujący się na dachu.

Dość miałem już tych głodnych lat. Od kiedy wyjechałem z Drohobycza, nie jadłem do syta chleba, ani żadnej innej strawy. Marzeniem moim największym było przynajmniej raz najeść się zwyczajnej kaszy. Czułem, że gdyby wypuścili mnie za zonę, dałbym sobie doskonale radę i zdobyłbym odrobinę dodatkowego pożywienia dla siebie. Postanowiłem więc nie chodzić do pracy dopóki nie postawię na swoim, dopóki mnie nie wypuszczą. Wiedziałem, że w karcerze nie będą mnie trzymali dłużej niż trzy dni, tym bardziej że karcer (izolatka) znajdował się za zoną w stajni, a więc był trudny

do pilnowania. Siedząc tam i rozmyślając o wszystkim i o niczym, drugiego dnia zauważyłem, jak przez otwór w górze wlatuje kromka chleba, usłyszałem też głos jakiejś dziewczyny *dzierżyś pacan* (trzymaj się chłopcze). Tak było przez trzy dni. Jakaś dobra, zbawcza ręka zasilala mnie dodatkowym chlebem. Jeden raz chciałem zamienić z nią kilka słów, lecz usłyszałem tylko, że rozmawiać nie może, bo boi się strażnika, który często przechodzi koło izolatki i sprawdza kłódkę (czy jej ktoś nie wyłamał). Po tych trzech dniach wypuścili mnie z izolatki i zaprowadzili do lagru. Nazajutrz znowu nie poszedłem do pracy, tym bardziej, że przestałem się bać izolatki (byłem w niej systematycznie dokarmiany przez kogoś, kogo jeszcze nie znałem).

Po jednym dniu w baraku znowu zamknęli mnie do izolatki. W sumie przesiedziałem tam wówczas dziewięć dni z dwiema jednodniowymi przerwami (jeden dzień po każdej trzydniowej „serii”).

Chciałbym w tym miejscu wyjaśnić, dlaczego komendant straży czy naczelnik obozu (tylko oni mają prawo skazać więźnia na karcer) chcąc kogoś ukarać, nie posadzą go od razu na pięć dziesięć dni, lecz karę dawkują: trzy dni, przerwa, trzy dni, znowu przerwa itd. Otóż należy pamiętać, że więzień odbywający karę w lagrze jest wycieńczony głodem, pracą i niedostatkiem. Kierownictwo doskonale zdawało sobie sprawę z tego i liczyło się z tym, że przeciętny więzień jest w stanie taką karę przetrwać. Wiedziało równocześnie, że dłuższy pobyt w karcerze to niechybna śmierć dla zamkniętego nieszczęśnika. Ten jeden dzień „wypoczynku” w baraku, a co za tym idzie zwiększone racje żywnościowe i gorąca woda do picia to niejako pobudzało więźnia do życia, dodawało mu sił do dalszego odbywania kary. Zarządzającym obozem (więźniom również) wiadomo było, że sowieccy lekarze dobrze obliczyli, jak długo i na jakiej racji żywnościowej więzień może „przetrzymać”, ile mu potrzeba, aby *sustrzestwować* (egzystować, istnieć), aby po prostu nie umrzeć.

W moim przypadku komendant i naczelnik wcale nie byli zainteresowani tym, aby mnie wykończyć (zabić mnie mogli w każdej chwili), chcieli mnie tylko zmusić do pracy, ponieważ brak im było ludzi. Gdyby chcieli mnie zgładzić, zastosowaliby inne środki. Kierownictwa sowieckich obozów, mające zwykle długoletnią praktykę, doskonale wiedziały jak wykończyć człowieka bez bicia i zadawania mu dodatkowych kar cielesnych.

Po dziewięciu dniach przesiedzianych w izolatce, pewnego poranka zaraz po wyjściu więźniów do pracy przyszedł do mnie komendant i naczelnik. Zdziwili się bardzo, że ja jeszcze chodzę, bo na ogół lagiernicy karmieni więziennym chlebem są

bardzo słabi. Gdy w dodatku ktoś otrzyma karę ograniczenia racji pokarmowych, to po trzech, sześciu czy dziewięciu dniach delikwent taki nie może sam się podnieść. Ja zaś czułem się dobrze, byłem wyspany i wypoczęty, no i co tu dużo mówić, tęskniłem za izolatką, za dodatkowym chlebem, którego porcja ważyła dwukrotnie więcej niż to, co dostawałem z przydziału. Nie będę ukrywał, że tęskno mi też było za moim tajemniczym wybawcą.

Moi „goście” zapytali mnie, czy następnego dnia pójdę do pracy. Oczywiście odparłem, że nie. Stwierdziłem, że w zonie nie będę pracował nawet przy lekkiej robocie. Mogę pracować tylko poza zoną. Zamykanie mnie w izolatce nic nie da, szkoda sobie nawet głowę zawracać. Pokiwali głowami i wychodząc powiedzieli, iż się zastanowią. Z niecierpliwością oczekiwałem następnego ranka. Wreszcie nadszedł. Przyszli znowu ci dwaj „bogowie”, wywołali mnie przed barak, kazali zabrać swoje rzeczy i oznajmili, że przy najmniejszym podejrzeniu o sianie buntu wśród rozkonwojowanych, wywoływanie awantur czy namawianie do ucieczki, zamkną mnie natychmiast z powrotem do zony. Uradowany i szczęśliwy opuściłem bez żalu otoczony drutami lagier.

Praca rozkonwojowanych więźniów była o tyle lepsza, że za plecami skazanego nie było strażnika z karabinem, można było swobodnie poruszać się w obrębie osady i na przylegających doń polach. Jeśli miało się odrobinę sprytu i szczęścia, można było zdobyć też trochę dodatkowej żywności, a o to głównie mi chodziło. Po wyjściu zza drutu kolczastego i krat, przydzielono mi pracę w stajni przy koniach – byłem chłopcem stajennym. Zadanie, które mi dano polegało na wynoszeniu nawozu ze stajni i czyszczeniu czterech ogierów, które były tylko i wyłącznie do dyspozycji naczelnika i służyły mu do wyjazdów w pole, by kontrolować robotników oraz do wyjazdów służbowych do innych osad. Pozostałe konie, tak zwane robocze, były czyszczone przez tych z furmanów (izwoszczików), którym zostały przydzielone. Pracowałem 24 godziny na dobę, w dzień na polu grabiłem siano, a w nocy musiałem czyścić stajnię. Gdy szybko uwinąłem się w stajni, mogłem przespać się dwie do czterech godzin. Dożywiałem się owsem ukradzionym z przydziału dla koni. Zdobyłem dwa kamienie (w zamian za owies dostałem je od kolegów z zony, którzy chodzili na roboty do kamieniołomów), wyźłobiłem w nich pilnikiem i młotkiem rowki, suchy owies brałem w garść i sypałem na duży kamień pocierając mniejszym. Z długiego i bardzo żmudnego tarcia robiła się krupa, która po wyflukaniu z plew oraz kamieni i po ugotowaniu, zdatna była do konsumpcji. Inni więźniowie pracowali przy koszeniu

trawy, zwożeniu jej i składaniu w ogromne sterty długości do trzydziestu metrów, szerokości 20 i wysokości 12 m. W układaniu tych skird wyspecjalizowali się Czeczeni (kaukascy górale). Jeszcze inni więźniowie kosili na moczarach *kamysz*, który służył jako opał. Wyrabiano z niego także maty – materace na nary. Składano go również w olbrzymie sterty, oczywiście po uprzednim wysuszeniu. Inwalidzi oraz ludzie słabi i chorzy wyrabiali z krowiego nawozu tak zwany *kiziak*, służący (po wysuszeniu i zmieszaniu ze słomą) jako doskonały opał.

Po pewnym czasie spotkałem mojego wybawcę, dziewczynę, która dokarmiała mnie, gdy byłem w izolatce. Jak się okazało, pochodziła z Moskwy a nazywała się Tamara Isfandziarowna. Była *bytowyczką* zasądzoną za pospolite przestępstwo. Wyrok miała niski – trzy lata. Wkrótce skończyła odsiadywanie wyroku i pożegnaliśmy się. Przed tym jednak pracowaliśmy jeszcze razem przy grabieniu siana. Wspólnie też kradliśmy króliki, które hodował dla siebie na mięso oraz na futerka naczelnik obozu (karmił je owsem zabranym z przydziału dla koni). Króliki owe zabijaliśmy, patroszyłem je w pracy w stepie, skórę i kości zakopywaliśmy dla zatarcia śladów a mięso pieczone na ogniu smacznie zjadaliśmy. Były to wspaniałe uczty. Przez wiele lat wspominałem je w innych obozach.

Do moich obowiązków służbowych (jako stajennego) należało codzienne ranne pojenie koni. Pojenie koni roboczych nie nastęrczało żadnych trudności. Trzymając je za uzdy jedną i drugą ręką, prowadziłem do wodopoju po kilka zwierząt od razu, później zaprowadzałem je do stajni i w odpowiednich boksach przywiązywałem. Były one bardzo spokojne i uległe. Gorzej z ogierami naczelnika. Te duże, silne, wypoczęte konie wierzgały, niespokojnie kręciły się, trudno było w ogóle je utrzymać. Najczęściej zakładałem więc na przednią wargę konia rzemień i gdy zaczynał on sprawiać kłopoty, ścisnąłem rączką rzemień, który zaciskał mocno wargę konia powodując ból (koń od razu uspokajał się). Któregoś dnia, nie chcąc wracać pieszo z wodopoju, wskoczyłem na grzbiet ogiera, by powoli dojechać na nim do stajni. Ledwie na nim usiadłem, zerwał się gwałtownie i ruszył galopem w kierunku stajni. Nie mogłem go zatrzymać, ponieważ nie był zauzdany. Struchlałem na myśl o niskim wejściu do stajni (poprzeczna belka drzwiowa była akurat na wysokości moich piersi). Zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że przy takiej prędkości zmiecie mnie z grzbietu konia, gdy uderzę o belkę. Nim zdążyłem pomyśleć, jak zeskoczyć z pędzącego konia, byliśmy już przed stajnią. Nagle ogier zatrzymał się, a ja z rozpędu spadłem na dach stajni. Nie wierzyłem swemu szczęściu. Pisk klaczy i rzenie ogiera, który wbiegł spokojnie do stajni i zaczął

buszować po boksach z klaczami, szybko doprowadziły mnie do opamiętania. Z trudnością zeskoczyłem z dachu, złapałem rozjuszony zwierzę i wprowadziłem go do jego boksu.

Drugą nieprzyjemną przygodę z koniem miałem w boksie ogiera. Wkładając mu siano za drabinę, ukłułem go niechcący widłami w brzuch. Przestraszone i obolałe zwierzę wierzgnęło tylnymi nogami. Na szczęście stałem na tyle blisko niego, że zostałem tylko mocno odepchnięty i wyłamując ciężarem swego ciała drzwi, wypadłem z nimi na zewnątrz.

Wspaniałe były moje przejażdżki konne wierzchem po stepie, które urządziłem, aby ogiery nie zastały się w stajni. Pędząc tak, modliłem się jedynie, aby koń nie złamał nogi w niewidocznej jamie, na nierównościach stepowych. Piękne były te „moje” konie. Szczególnie dwa spośród czterech. Jeden nazywał się Diktar. Był to potężnie zbudowany kasztan, który zawsze kręcił się niespokojnie przy dosiadanu go i gryzł, nim zdążyłem na niego wskoczyć (miał po prostu łaskotki). Gdy już siedziałem na nim, natychmiast się uspokajał. Jeszcze jedną jego wadą było to, że miał bardzo wrażliwą, delikatną skórę w bokach pyska i dlatego prawie zawsze wędzidło raniło mu pysk aż do krwi (mimo że starałem się pociągać wędzidłem nadzwyczaj delikatnie). Drugi ogier był przeciwieństwem Diktara. Nazywał się Aga, był ciemny, prawie czarny, szczupły, z grzywą krótko obcięta. Szyję nosił zawsze pięknie wygiętą, głowę trzymał lekko wzniesioną i wysuwał ją do przodu. Często zaprzęgano go do lekkiej dwukółki. Właśnie przy owym zaprzęganiu sprawiał mi wiele kłopotów, trudno było ustawić go między dwoma dyszlami, zawsze przechodził przez dyszel. Jak go ustawiałem pośrodku, stał spokojnie dopóki nie schyliłem się po dyszel, gdy schylałem się po drugi Aga przestępował przez pierwszy i wszystko trzeba było zaczynać od nowa. Wesolek z niego był wielki, ale czasem tymi swoimi zabawami potrafił doprowadzić mnie do łez wściekłości.

Kiedy głód zaczynał mi doskwierać a w posiołku nie było możliwości zdobycia dodatkowego jedzenia, dowiadaliśmy się z kolegą od tubylców, wolnych Kazachów, kiedy pastuchy będą przepędzać owce na inne pastwiska. Gdy nadchodził taki dzień, szliśmy w step i tam zakopywaliśmy się u dołu, przy samej ziemi, w olbrzymie skirdy świeżego siana. Przepędzane owce, czując siano, całym stadem oblegały skirdę. Wychylaliśmy się wtedy ze swoich kryjówek, chwytałyśmy każdy jedną sztukę, podrzynaliśmy im gardło, wciągaliśmy do skirdy, a sami chowaliśmy się. Po kilkunastu minutach nadchodzili pastuchy, odpędzali owce od stogu i szli dalej popędzając swoje

stado. Owiec było zawsze kilkaset i nie wiem, czy po przyjsciu na miejsce prowadzący je orientowali się, że brakuje dwóch sztuk. Najprawdopodobniej nie. My za to mieliśmy jedzenia na kilka dni. Skórę, dla zatarcia śladów zakopywaliśmy w stepie. Uczty takie urządzaliśmy w stepie, piekąc mięso bezpośrednio na ogniu.

W naszej osadzie były również krowy, pilnowane i oporzadzane przez dziewczęta (więźniarki), które mieszkały w oddzielnych barakach. Dobrze je tam żywiono i – jak na tamtejsze warunki – ładnie ubierano. Miały mleko, śmietanę, a co sprytniejsze nawet masło.

Było nas trzech kolegów (lepszyc zabijaków): Rosjanin Sańka Gósiw, chłopak inteligentny, po maturze, syn jakiegoś bogatego Rosjanina, pięknie grający na gitarze, z zawodu złodziej kieszonkowiec; Kolka Rebko, też Rosjanin, ponurak, po dwóch klasach szkoły podstawowej i trzeciej korytarzowej (nie skończył trzeciej klasy, bo jak mówił nie starczało mu czasu na dojście z korytarza, na którym przesiadywał czekając na koniec lekcji, do klasy), również złodziej, tyle, że domownik (okradał mieszkania). Ja byłem ten trzeci – jak o mnie mówili – ten z dobrymi pomysłami.

Zdarzało się, że nie wszystkie dojarki (szczególnie te starsze), chciały dzielić się z nami swoimi zdobyczami (produktami mlecznymi). Z tego też powodu, na wspólnej naradzie, postanowiliśmy po prostu je okraść. W tym celu pewnego wieczoru po pracy Sańka wziął gitarę i w trójkę poszliśmy na plac, niedaleko od baraku, w którym mieszkały dojarki. Sańka zaczął grać, ja tańczyć trepaka a Kolka pogwizdywać. Po krótkiej chwili dołączyły do nas dziewczęta. Podczas tej „zabawy”, nie zauważony przez rozbawione dziewczyny Kolka, wszedł do ich baraku i szybko oczyścił półki z wszystkiego, co posiadało jakąkolwiek wartość handlową. Z workiem pełnym zdobyczy pobiegł następnie w step, ukrył tam ukradzione rzeczy i wciąż nie zauważony dołączył do nas. Gdy zorientowaliśmy się z Sańką, że niebezpieczna robota została wykonana, postanowiliśmy przedstawienie skończyć. Rozbawieni i zadowoleni rozeszliśmy się. Nie zdążyliśmy nawet przejść dwudziestu metrów, gdy krzyk, pisk i wrzask rozległ się od strony żeńskiego baraku. Dziewczęta zorientowały się, że zostały okradzione. My mieliśmy alibi. Na pytanie kto to zrobił nigdy nie znaleziono odpowiedzi. Złodziei nie złapano, wszystko rozeszło się po kościach. Wkrótce o całym incydencie zapomniano.

Dopiero po miesiącu zaczęliśmy oddawać dziewczętom niektóre rzeczy. Większość sprzedaliśmy w Karagandzie za pośrednictwem wolnego strażnika. Od tamtego czasu do końca mojego pobytu w Karagodze wszystkie dziewczęta dożywiały nas, jedne z wdzięczności za oddaną odzież, inne ze strachu przed ponownym

okradzeniem.

Wiosną, kiedy masy śniegu topnieją, step zamienia się w olbrzymie jezioro. Jak okiem sięgnąć, wszędzie woda. Po kilku dniach jednak woda wchłaniana jest przez ziemię, nieco dłużej pozostają jedynie stawy zarośnięte „kamyszem”, w których gnieźdzą się dzikie kaczki. Pamiętam, jak wiele razy stałem w tych szuwarach bosy, po kolana w zimnej wodzie, uzbrojony w tyczkę zakończoną z jednej strony wbitym gwoździem i oczekiwałem na kaczki krążące nad jeziorkiem. W momencie, gdy opuszczały się na wodę i szuwały, zbliżałem się cichutko i najbliższą starałem się upolować, rzucając prowizorycznym oszczepem. Czasami udawało mi się to, ale najczęściej powracałem do baraku z pustymi rękoma i żołądkiem. Wiosną można było też, przy odrobinie szczęścia, znaleźć w szuwarach gniazda a w nich jaja dzikich kaczek. Był to dodatkowy, luksusowy pokarm dla więźniów, swoisty rarytas.

Pewnego razu w koniuszni udało mi się (razem z kolegą) zbierać całe wiaderko wróblích jaj. Zaczęliśmy je oczyszczać ze skorupki i wrzucać do wiaderka z kaszą, ale praca szła mozolnie, ponieważ jajka były bardzo małe. Zdenerwowany kolega (Kazach) wsypał resztę jaj do kaszy w skorupkach oświadczając, że żołądek skorupki strawi, a jeśli coś będzie w zębach chrzęściło to nawet dobrze, bo przynajmniej się oczyszcza. Zmieszaliśmy więc wszystko co mieliśmy i zjedliśmy z apetytem. Była to wspaniała uczta.

Pracując jako furmani przy grabiach ciągniętych przez klacze, mieliśmy co dzień świeże kobyłe mleko, które wlewaliśmy do kaszy. Zdobycie owego mleka nie nastroczało trudności – Kazach odpędzał knutem źrebięta, mówiąc że dla nich jest woda i trawa a sam doił klacz. Kaszę gotowaliśmy w stepie, stawiając kociołek na kamień i okładając jego boki zeschniętym krowim łajnem, które spala się nie wydzielając dymu. Po około czterdziestu minutach posiłek był gotowy.

Pewnego dnia, gdy wypoczywałem na skoszonych, wyschniętej trawie usłyszałem odgłos przypominający tętent koni. Dźwięk stawał się coraz wyraźniejszy. Wstałem więc i zacząłem nasłuchiwać, mierząc wzrokiem ogromny step. Dopiero po kilku minutach dostrzegłem w oddali sylwetkę wspaniałego, pędzącego azjackiego jelenia. Był to cudowny widok – swobodny, ogromny jeleń biegnący z dumnie uniesioną głową o imponującym porożu. Jeleń ten był dla mnie symbolem wolności i piękna natury. Zaraz po jego przebiegnięciu poszedłem w kierunku, w którym on galopował. Bez trudu znalazłem jego ślady, w miejscach zetknięcia się jego racic z ziemią pozostały bowiem głębokie wgłębienia.

Lato szybko minęło i nastąpiła ciężka, długa zima. W tym czasie również pracowałem przy koniach, tylko że zamiast grabienia siana, woziłem do osady opał (kamysz z pól), którym opalano kuchnię więzienną. Korzystali z tego opału także wolni osadnicy. Przy wożeniu kamyszu musieliśmy się nieźle napracować. Wyjeżdżaliśmy kilkoma saniami zaprzęgniętymi w woły. Musiało nas być co najmniej dwóch. Jechaliśmy po głębokim dziewiczym śniegu. Zawsze towarzyszył nam Kazach albo ktoś, kto doskonale rozpoznawał teren i potrafił znaleźć odpowiednią skirę z opałem, zupełnie zasypaną białym puchem (w lecie widać ją było z daleka, teraz nawet dobry obserwator miał problemy ze znalezieniem jej). Niejednokrotnie po całodziennym poszukiwaniu powracaliśmy do osady zmęczeni, zmarznięci i wygłodniali, a na dodatek bez opału. W takiej sytuacji następnego dnia znów musieliśmy wyruszać na poszukiwania. Gdy już udało nam się znaleźć jakąś skirę, to najpierw łopatomi odwalaliśmy zmarznięty śnieg a następnie widłami (często też samymi rękami) wydzieraliśmy kamysz, który później ładowaliśmy na sanie. Do osady wracaliśmy przeważnie wieczorem. Oczekiwali tam na nas z niecierpliwością zmarznięci więźniowie a także wolni osadnicy. W taki sam sposób inni więźniowie dostarczali siano dla krów, koni i byków pociągowych.

24 grudnia 1947 r. spotkała mnie niemiła przygoda, która na szczęście dla mnie skończyła się dobrze. Owego ranka, skoro świt, do stajni przyszedł *zaugórz* (zarządzający całym gospodarstwem), który był bezpośrednim moim zwierzchnikiem i dostałem od niego polecenie, abym niezwłocznie zawiózł padłego konia do rakarni, znajdującej się w Cerepcie, odległej od naszej osady o ok. 20 kilometrów (z tej to osady przyszedłem do Karagogi). W drodze powrotnej miałem jeszcze wstąpić do magazynu i załadować na sanie trzy worki mąki (miałem je przywieźć do Karagogi). Wyruszyłem więc w drogę saniami ciągniętymi przez parę koni i w towarzystwie zdechłego trzeciego. Pogoda była piękna, mróz ok. -25 °C. Po około dwóch godzinach jazdy byłem już w Carepcie, gdzie wyładowałem zamrożonego konia a rakarz podpisał mi odbiór, po czym wyruszyłem do magazynu po mąkę. Wszystkie formalności związane z wyładunkiem oraz załadunkiem i czekanie zajęły mi około trzech godzin. Tak też z Carepki wyjechałem około 15⁰⁰. Zaraz po tym niebo zaczęło się pokrywać ołowianymi chmurami, wróżyło to nadchodzącą *purga* (burzę). Nieubłaganie nadchodziła zimowa zamięć. Od niesionego przez zimny i silny wiatr śniegu, zrobiło się zupełnie ciemno, drogi już nie było widać, kierowałem więc końmi na wyczucie i oczywiście zbłądziłem. Konie zboczyły z drogi i pogrążyły się w śniegu coraz bardziej, posuwałem się bardzo

wolno. Wyczuwałem, że zblądziłem. W pewnej chwili zwierzęta zupełnie stanęły, nie chciały iść dalej. Aby zbadać przyczynę takiego ich zachowania, zszedłem z sań i trzymając lejce w dłoni, po omacku zacząłem poszukiwać nieznanej mi jeszcze przeszkody. W końcu udało mi się ustalić, że jest nią ogromny stóg siana. Od razu przekonałem się, że zblądziłem na dobre. Zdałem sobie sprawę z tego, iż w tej sytuacji uratować mnie mogą jedynie konie, ich instynkt. Niewiele myśląc wziąłem zwierzęta za uzdę, zawróciłem, siadłem na saniach i całkowicie zdałem się na moich towarzyszy. Nie pomyliłem się. Mądre zwierzęta dość szybko odnalazły zasypaną drogę i po godzinnej jeździe ujrzałem migocące światełka osady. Niezmiernie szczęśliwy stanąłem w progach mojego baraku, w którym czekał już na mnie kociołek gorącej wigilijnej kaszy, przygotowany przez „Chachła” (tak nazywaliśmy Ukraińców z welykiej Ukrainy) Wasyla, który pamiętał o moich świętach i moich imieninach.

Prace zimową porą były równie ciężkie jak w lecie, dodatkowo utrudniał je mróz i burze śnieżne. Oprócz przywożenia z zaśnieżonego stepu opału do osady, musiałem codziennie oczyszczać z lodu długie na kilka metrów koryto (poilem w nim konie) i odrzucać zaspy śnieżne nagromadzone wokół stajni i na jej dachu. Męczące bardzo było wynoszenie wiadrami z niewielkiego zbiornika znajdującego się wewnątrz stajni gnojówki, którą musiałem wylewać na nawóz z tyki stajni. Próbowałem namówić naczelnika osady, by zezwolił mi przebić otwór w ścianie i skrócić w ten sposób sobie drogę do gnojownika. Nie zezwolił, mówiąc że tak jest od lat i tak ma być dalej, zresztą – jak dodawał jakby na usprawiedliwienie – musiałyby w tej sprawie pisać do swojego *Naczalstwa* o pozwolenie a oni, ażeby zezwolić na to, musieliby przyjechać i zobaczyć *etu nowość'* (tę innowację). Przy okazji zrobiliby zapewne kontrolę, a po co komu kontrola – jeszcze by coś znaleźli i wszyscy mieliby kłopoty. No cóż, przyznałem mu rację i dalej harowałem, biegając z wiadrami i „jeżdżąc” z taczkami dookoła stajni.

Naczelnik osady, Bandarenko, oprócz królików hodował kilka sztuk lisów. Aby je nakarmić, przychodził do stajni, gdzie gnieździły się masy wróble. Zabijał je przy pomocy knuta (krótka drewniana rączka z długim skórzanym biczyskiem), wznecając przy tym popłoch wśród koni. Urywały się one z uwięzi, rozbrykane, spłoszone waliły kopytami w boksy, łamiąc przegrody. Musiałem łapać rozbrykane konie, ustawiać na odpowiednie miejsca i uspokajać. Porozbijane boksy musiałem naprawiać, co było bardzo uciążliwe i czasochłonne. On zadowolony zbierał zabite i poranione wróble i zanosił je do swojego mieszkania, gdzie w zimie trzymał również kury (przy okazji zawsze kazał sobie załadować do worka owsa z przydziału dla koni). Tak w ogóle to

wszyscy, od wolnego naczelnika począwszy, na więźniach skończywszy, kradli. Robili to, by przeżyć.

Człowiek wygłodzony miewa najprzeróżniejsze pomysły na to, jak zdobyć jedzenie. Na realizację wielu z nich w normalnych warunkach nigdy by się nie zgodził. Ja, aby częściowo się dożywić, zacząłem obserwować kuchnię i tak szukać nowych pomysłów. Gotowano w niej pokarm nie tylko dla nas, ciężko pracujących mężczyzn, lecz i dla dojarek, które w dowolnych ilościach miały mleko, śmietanę a nawet masło. Zawsze dziwił się, dlaczego one pobierają z kuchni więziennej jedzenie, skoro mają takie smakołyki. Po co im ta obozowa *balanda* czy też *szlumka*, jak pogardliwie nazywaliśmy zupę, w której po zlanu wody, na dnie miski pozostawała łyżka lub w najlepszym razie dwie łyżki krupy. Przecież mogłyby nam – głodomorom, oddawać swoje porcje. Zapytane o to dziewczęta odpowiadały, że muszą mieć urozmaicone jedzenie, bo jedna mleczna potrawa szybko może się przejeść. Prawdopodobnie miały rację.

Wróćmy jednak do moich obserwacji. Kuchnia składała się z dwóch pomieszczeń. W pierwszym, mniejszym, przed paleniskiem siedział tzw. *koczegar* (palacz) i stale podsuwał do paleniska *kamysz*. Ponieważ opał ten szybko się spalał, trzeba było bez przerwy podkładać nowy i od paleniska nie można było odchodzić. Jeśli by się bowiem zdarzyło, że ogień zgasł, kucharz, który był „Bogiem i Carem”, mógł po prostu zlać koczegara lub, co gorsze, wyrzucić go na *zbituju mordu*, a to równało się pozbawieniu koczegara atrakcyjnego stanowiska (wiadomo, że kucharz dokarmiał swoich pracowników). Tak więc, gdybym coś planował, koczegar nie stanowiłby zagrożenia, bo był wciąż zajęty.

Kucharz miał także pomocnika, którego nie lubiliśmy, bo nigdy nie chciał dawać *dobawki* (dokładki). Chociaż czasami *balanda* zostawała mu po obdzieleniu wszystkich więźniów, wołał ją wylać mówiąc, że *trawa budiet' lutsze rosti* (trawa będzie lepiej rosła), a wy *sobaki korieszki z niej grizitie* (psy korzenie z niej gryźcie). Nie widział on na jedno oko, ponieważ w jakiejś obozowej bójce mu je wybito, a na drugim miał bielmo i lekko niedowidział, ale zawsze twierdził, iż widzi lepiej od nas, mimo że mamy dwoje zdrowych oczu. Przeżywaliśmy go *ślepaja bladi* (ślepa prostytutka), co go doprowadzało do szału. Nie baliśmy się go, chociaż był z niego kawał chłopca; był po prostu niezgrabny, gruby, ciężki, w bójce bardzo powolny. My natomiast byliśmy chudzi i sprawni. Po słownej utarczce z nim, kiedy jedynym przekonywającym argumentem w dyskusji był duży blaszany czerpak do rozlewania

bałandy, w który to uzbrojony ruszał do ataku chcąc dowieść swoich racji, zawsze zdążyliśmy mu uciec, z daleka pokazując mu i krzycząc, dokąd może nam wejść razem ze swoim czerpakiem.

Sam „Jego Ekscelencja” kucharz był człowiekiem bardzo złośliwym, najprawdopodobniej z powodu swojego inwalidztwa. Nie miał on mianowicie jednej nogi. Amputowali mu ją w obozie na *Dalnom Wostokie* (Dalekim Wschodzie), ponieważ odmroził sobie podczas pracy palce u nóg i z tej przyczyny powstały jakieś komplikacje. Sam dorobił sobie w obozie kulę drewnianą i przywiązywał ją sznurami do uda. Kiedy był zły a rozgorzała jakaś bójka, nie mając nic lepszego do obrony lub ataku pod ręką, starał się wówczas szybko odwiązać swoją drewnianą nogę i miał doskonałą broń. Czasami pod wpływem własnego zdenerwowania zapomniał, że stoi na jednej nodze i puszczając to, czego się trzymał (zawsze musiał się o coś opierać) padał jak długi z odwiązaną drewnianą nogą w ręce. My zaś bardzo cieszyliśmy się z jego upadku i jego bezradności. Nie lubiliśmy go. Przeżywał nas faszystami i mówił przy tym zawsze, że jeżeli kiedykolwiek *popadnie* nam w zupie kawałek *ścierwa* (ochłapu), to będzie to od niego dla nas *krysa* (szczur) na *prikusku* (zakąskę). Lubił dodawać nam apetytu mówiąc, że w wolnych chwilach łapie myszy i szczury i dlatego od czasu do czasu trafia nam się prezent od niego. On z kolei wylewał resztki *bałandy* na gnój, twierdząc, iż musi podkarmiać „*krysy* i myszy, aby zupa była smaczniejsza”. Nazywaliśmy go *chromają krysa* (kulawy szczur).

Czwartym kuchennym robotnikiem był młody chłopak o imieniu Iwan, bardzo dobry człowiek. Niestety, w kuchni nie miał on nic do powiedzenia i sam nie potrafił załatwić dla siebie dodatkowej porcji żywności. Musiał podkraść, aby od czasu do czasu zjeść cokolwiek więcej.

Tak mniej więcej wyglądał „sztab kuchenny”. Niestety z żadnym z tych ludzi, mimo usilnych starań, nie udało się nam śmiertelnikom nawiązać „dyplomatycznych” stosunków.

Tyle o ludziach. W drugim kuchennym pomieszczeniu znajdowały się trzy kotły, obmurowane samanem lub cegłą. Z wierzchu przykryte były blaszanymi nakryciami na zawiasach. Od kotłów tych wychodziły czworokątne drewniane otwory, o średnicy ok. 25 cm, przez które ulatywała para. Przy ścianie stał stół z grubych ciosanych bali, przy stole ława, obok okna kilka półek z desek.

Po dokładnym obejrzeniu kuchni, plan zdobycia dodatkowej *bałandy* miałem gotowy. Postarałem się o naczynie *kotielok* (garnek blaszany o takiej objętości, że

mieścił się w czworokątnym „odparniku”, bo tak chyba można nazwać czworokątną rurę z desek), do którego przywiązałem kamień (aby pusty kociołek mógł się szybko zanurzyć w zupie) i sztywny drut do rączki (za kociołek zapłaciłem kowalowi dwie pajki chleba, drut mu zaś ukradłem, bo uważałem, że za kociołek przepłaciłem). Wieczorami, kiedy było już ciemno, wdrapywałem się na dach kuchni i cichutko spuszczałem kociołek przez odparnik do kotła (trwało to dobrą chwilę) i po napełnieniu wyciągałem go do góry. Na dachu zlewałem wodę (zupę) i wyjadałem z dna kaszę. Zanurzenie kociołka powtarzałem dwa do trzech razy za jednym takim „wypadem”, oczywiście nie złażąc z dachu. Potem zeskakiwałem cichutko, ostrożnie i zadowolony z siebie kładłem się spać.

W ten sposób dożywałem się przez trzy tygodnie. Pewnego dnia wpadłem. Wiedziałem, że prędzej czy później musi to nastąpić, była to tylko kwestia czasu. Owego pamiętnego wieczoru wyjadałem sobie w najlepsze kaszę, a tu nagle słyszę głos *chromaj krysy*: „Trzymajcie psa złodzieja! Na dachu kradnie *sobaka*! Ja go zabiję!” Oczywiście nie czekałem na spełnienie tej ostatniej groźby. Zerwałem się i chcąc zeskoczyć z dachu, pobiegłem w kierunku przeciwnym do wygrażającego kucharza, na drugi koniec dachu. Tam czekała mnie inna przeszkoda z dużym czerpakiem do zupy stał tam przycajony *slepaja blad'*. Czmychnąłem i stamtąd. W trzecim rogu czekał na mnie z widłami koczegar. W czasie mojej bieżaniny po tym dachu, na krzyk kucharza zbiegli się wszyscy więźniowie i dopingując mnie, krzyżąc gdzie mam uciekać, pokładali się ze śmiechu i wrzeszczeli, że mają bezpłatny cyrk. Faktycznie mogli się nieźle bawić – ja biegam przerażony po dachu (nie wypuszczałem z rąk kociołka), na dole kucharz krzyczy z pomocnikiem, który nie widzi o zmroku i kręci się w koło przeklinając i sapiąc (wielka tusza!), *koczegar* zawzięcie gania z widłami i pokazuje gdzie będzie mnie nimi kłuł a jeszcze na dodatek, z czwartej strony nie mniej przerażony ode mnie Iwan. Właśnie już miałem skoczyć w jego stronę, kiedy w ostatniej chwili zauważyłem, że kucharz siadł na ziemi i zaczyna odpinać swój drewniany kikut. Nie wiem, co mnie zmusiło do skoczenia w jego stronę, czy świadomość, że jest on bez nogi zupełnie bezsilny, czy po prostu chęć zrobienia większego wrażenia na współwięźniach. Skacząc z góry (ponad 2,5 m wysokości) słyszałem głos ryczącego z wściekłości kucharza *ubju, ubju faszysta*. Po zeskoczeniu zerwałem się natychmiast i przez nikogo nie zatrzymywany uciekłem do stojących przed barakiem kolegów. Późnym wieczorem, gdy w baraku wszyscy komentowali mój wyczyn, wszedł do nas kucharz (personel kuchenny nigdy nie wchodził do naszego

baraku, tak jak i my nie mieliśmy prawa wchodzić do baraku kucharzy, którzy mieszkali razem z tzw. *prydukami* (więźniami zajmującymi kierownicze stanowiska, faworyzowanymi przez *naczelstwo*), zerwałem się gotowy do bójki, ale szybko zorientowałem się, że przyszedł on w celach pokojowych – twarz jego była uśmiechnięta a za kucharzem siedział Wania z miską pełną kaszy (*karyje gładki* – kasza z czarnego jęczmienia). Kucharz przystanął na środku, wziął miskę z kaszą i podchodząc do mnie z uroczystą miną wręczył mi ją mówiąc „*Kuszaj, na zdrowie, to ode mnie za twój dobry pomysł kradzenia zupy*”. Po chwili rozgadał się. Opowiedział, iż przez pięć lat jego kariery obozowej różnie go okradano, ale nigdy w taki sposób. Dodał przy tym, że od następnego dnia mogę codziennie do niego przychodzić po porcję lepszej *balandy* (z samego dnia). Po tym uroczystym przemówieniu rozsiadł się na pryczy i zaczął mówić, jak to on odkrył moją kradzież. Po prostu podszedł do kotła chcąc posolić zupę, spojrzął, a tam coś czarnego w kotle pływa (kuchnia i pozostałe pomieszczenia obozowe były oświetlane kagankiem i panował w nich półmrok), pomyślał początkowo, że to szczur w jakiś sposób dostał się do kotła, ale zaraz uświadomił sobie, że zwierzę sparzyłoby się natychmiast we wrzątku. Postanowił więc złapać to czerpakiem. Nie udało się. Wystraszony zawołał pomocnika. Ten ostatni z kolei stwierdził, że to na pewno czort. Postali chwilę, a tu kociołek zaczął się podnosić (to ja chciałem go wyciągnąć z gara). Od razu wszystkiego się domyślili i wyskoczyli na podwórze łapać złodzieja. Na tym, śmiejąc się zakończył swoją opowieść i opuścił nasz barak.

Dokarmianie mnie przez kucharza nie trwało długo. Wkrótce zakończył on swój wyrok i wyszedł na wolność. Jego pomocnik, niestety, już mnie nie żywił. W kilka tygodni po incydencie z kociołkiem na dachu, po raz kolejny zrobiłem zamach na kuchnię. Nie planowałem tego i wcale się do tego nie przygotowywałem. Wracając z kolegą z pracy i przechodząc koło kuchni zauważyłem przez karmnik (małe okienko do wydawania więźniom pokarmu), że na stole, blisko otworu kuchennego, stoi miska z margaryną. W kuchni nie było kucharza, wetknąłem przez karmnik rękę, niestety, miska stała za daleko. Wówczas powiedziałem koledze, by wepchnął mnie głębiej za nogi, gdy ja włożę głowę w ten otwór. Zrozumiał mój plan i już po chwili sięgałem ręką po miskę. Dotknąłem ją jednak tylko palcami. Na mój znak kolega zaczął mnie wpychać dalej. Już miałem miskę w rękach, kiedy nadszedł niespodziewanie kucharz. Widząc co się święci, złapał za miskę a ja ze strachu zamiast krzyknąć, zacząłem wierzgać nogami, dając w ten sposób znak koledze, by mnie wyciągnął. On zaś, myśląc, iż ma mnie pchać dalej, zabrał się z energią do pracy. Krzyknąłem i dopiero wtedy szybko mnie

wyciągnął. Kucharz zabrał miskę z margaryną a my, korzystając z zamieszania, uciekliśmy do swojego baraku żli, że taka gratka przeszła nam koło nosa.

Wokół osady często krążyły wilki. Działo się tak zarówno w zimie, jak i w lecie. Pewnego letniego dnia wpadł do stajni naczelnik z dubeltówką w rękę i kazał szybko zaprzęgać *taczankę* (dwukołówkę), aby gonić wilki. Staralem się mu wyperswadować, uświadomić mu, że wilka nie dogoni na *taczance*, że lepiej jak osiodłam mu konia – jadąc wierzchem będzie miał większe szansę. Nie posłuchał. Zacząłem szybko zaprzęgać ogiera do dwukółki. Zajął mi to jak zwykle dobrą chwilę, bo ogier jak zawsze potraktował to jako zabawę. Naczelnik niecierpliwił się, z pośpiechu nie pozwolił mi zaprząć *czerezsiedielnika* (małe miękkie siodelko, które kładzie się na grzbiecie konia i przez które przeprowadza się sznur lub rzemień łączący dwa boczne dyszle pomagające w powożeniu), co miało fatalny wpływ na zachowanie konia. Wreszcie zniecierpliwiony naczelnik wskoczył na dwukołkę, ja zająłem miejsce furmana i pomknęliśmy za wilkami. Wilki spłoszone strzałami z dubeltówki naczelnika, który nie żałował naboju i strzelał na oślep, puciekały w popłochu. Naczelnik pudłował za każdym razem. Odległość między nami a wilkami zwiększała się z każdą chwilą, wreszcie zniknęły nam zupełnie z pola widzenia. Rozwścieczony naczelnik winą za niepowodzenie obciążył mnie. Trzy dni spędziłem w karczerze – ponoć źle powoziłem.

Wracając do wilków, gatunki żyjące w Kazachstanie są mniejsze niż nasze wilki leśne. Poza tym są bardzo mądre i sprytne, w stadzie niebezpieczne, jak zresztą wszystkie wilki na świecie. Latem Kazachy polowali na wilki jeżdżąc konno pod siodłem. Bywały wypadki, że wilk osaczony przez myśliwych, nie mający już szansy ucieczki, wpadał do najbliższej kałuży, moczył się w niej, tarzał w piasku i skacząc przed końskim łbem otrząsał się, chwilowo oślepiając konia piaskiem. Ten ostatni, spłoszony stawał dęba, niejednokrotnie zrzucał jeźdźca i na oślep uciekał. Wilk natomiast, korzystając z wywołanego zamieszania, również salwował się ucieczką.

Wkrótce po przygodzie z wilkami zostałem przez naczelnika osady wyrzucony ze stanowiska stajennego i za karę przydzielony do brygady robotników pracujących przy sianokosach. Pracowałem przy zwózce siana do ogromnych stogów. Rano trawa koszona była mechanicznymi kosiarkami ciągniętymi przez woły, po dwóch godzinach robotnicy grabili ją *wołokuszami* (trzymetrowe grabie ciągnięte przez woły) na niewielkie sterty i z tych stert my zwoziliśmy ją na dużych furach do tych olbrzymich stogów (jesienią i zimą zabierano siano z tych stogów dla bydła i koni).

Praca ta była bardzo ciężka. Przy bezwietrznej pogodzie słońce grało

nielitościwie a przy tym dokuczały moszki, które nadlatywały całymi chmarami, siadając na ludziach i zwierzętach. Dostawały się wszędzie, do oczu, za koszulę. Ciało człowieka po takim nalocie było pogryzione do krwi, opuchnięte i bolące. Zwierzęta też się męczyły, nie chciały stać spokojnie, czasami mocno pogryzione i zniecierpliwione brykały, łamiąc wozy i rwąc uprzęże (byki zaprzęgane były w tak zwane *jarma* – drewniane chomąta nasuwane na szyje).

Czasami dość miałem tej harowy i, aby trochę odsapnąć, nie obserwowany przez nikogo złaziłem z fury, podchodziłem do wołu i nachylając się nad jego uchem zaczynałem głośno bzykać bzzzzz. Oszalały ze strachu byk wyswobadzał się z jarma i uprzęży i gnał w step. Bzykanie moje podobne było do brzęczenia dużego bąka, którego woły panicznie się bały, ponieważ jego ukąszenie było bolesne. Gdy już wystraszyłem któregoś zwierzę, szedłem do brygadiera, aby mu zameldować, że oszalały ze strachu byk uciekł mi i muszę iść w step, by go odnaleźć. Otrzymawszy pozwolenie udawałem się na poszukiwania, co zwykle trwało do wieczora, kiedy to wypoczęci, ja i byk, wracaliśmy do obozu. Sposób ten, niestety, miał dwie wady. Nie można było po prostu stosować go za często, aby nie być podejrzanym o złośliwe uchylanie się od pracy oraz nie można było tak robić wtedy, gdy brygadier miał konia do swojej dyspozycji, bo wówczas mógł szybko znaleźć byka oraz jego opiekuna, wylęgających się na trawie.

Któregoś dnia wracaliśmy bardzo zmęczeni z pracy do osady. Powoziłem, jak zwykle, stojąc na *arbie* (dużym wozie drabiniastym). Za mną na *arbie* siedział Miszka (nazwiska nie pamiętam, więzień, marynarz z Leningradu) oraz jego kochanka Masza, osoba dosyć korpulentna. Chcąc być po pracy prędzej w baraku (*damoj*) i wypoczywać, pogoniłem knutem woły, które zaczęły biec truchtem, ale czymś widocznie przestraszone nagle przystanęły. Zaskoczony wypadłem z wozu pod przednie koło, które nagle szarpnięte przez byki przejechało mi przez pierś. Chcąc się szybko wydostać spod wozu i uniknąć kontaktu z cięższym tylnym kołem (na nim siedziały dwie osoby), błyskawicznie przeturlałem się, próbując wydostać się spod *arby*. Niestety, nie zdążyłem i tylne koło przejechało mi po plecach. Zabrakło mi powietrza w płucach, zacząłem się dusić. Przywieźli mnie do baraku i położyli na narach. Nie mogłem się poruszać. Po trzech dniach leżenia i wypoczywania wróciłem do pracy. Na szczęście obeszło się bez ciężkich komplikacji.

Niedaleko od mojego miejsca pracy przebiegała polna droga, która prowadziła do osady Carepka i dalej do osady Dolinka, i do Karabasu. Któregoś dnia, gdy pracowałem w stepie, zobaczyłem jak drogą tą jedzie parę wozów ciągniętych przez

woły robocze. Na wozach tych siedziało kilka osób. Nagle ktoś siedzący na wozie zawołał w moją stronę „Adam! Jesteśmy wolni, jedziemy do Polski i ty niedługo dołączysz do nas!” Struchlałem, niedowierzałem własnym uszom, a jednak ktoś kilkakrotnie powtórzył moje imię. Nie widziałem z tej odległości kto to był. Nie mogłem też (nawet jako rozkonwojowany więzień) podbiec bliżej (mogłem poruszać się tylko tam, gdzie musiałem, aby wykonać moją pracę). Obok mnie stał strażnik, który zapytany nie wyraził zgody na moje oddalenie się. Do dziś dnia nie wiem, kto to wtedy do mnie krzychał. „Spotkanie” to wywarło na mnie duże wrażenie, oni szczęśliwcy wyjechali, ja kilka dni chodziłem jak struty, nie mogąc przyjść do siebie. Dopiero po powrocie do Polski w 1956 r. zacząłem się dowiadywać, czy w 1947 r. jakiś transport z Polakami przyjechał z Kazachstanu. Dowiedziałem się, że był taki transport, jeden jedyny transport Polaków, którzy w tamtych czasach wrócili z ZSRR do kraju. Tak więc tym to transportem musiał powrócić do Polski i mój znajomy. Po długich i żmudnych poszukiwaniach uzyskałem wreszcie jego adres. Prawdopodobnie poznałem go w czasie jazdy do Kazachstanu, nazywał się Józef Osmakiewicz. Mieszkał w Nowym Sączu przy ulicy Krakowskiej 12/11. Po powrocie do kraju starał się przyspieszyć powrót do ojczyzny wszystkich Polaków więzionych na Wschodzie, pisząc listy i petycje do różnych urzędów i instytucji, a także korespondował z rodzinami zesłańców. Sam, niestety, jak powiedzieli mi jego znajomi, gdy przyjechałem do Nowego Sącza, krótko cieszył się wolnością – wkrótce po przyjeździe do Polski zmarł. Jego wspaniała postawa w pełni zasługuje na szacunek.

W osadzie Karagoga bardzo zaczął mi dokuczać nadpsuty trzonowy ząb. Kogoś takiego, jak dentysta w obozie tym nie można było uświadczyc. Zacząłem więc rozpytywać wśród więźniów o człowieka, który mógłby mi pomóc. Po kilku dniach moich usilnych poszukiwań podszedł do mnie Ormianin, oświadczając mi szczerze, że na wolności pracował jako robotnik w *gorodzkaj bolnicy* (miejskim szpitalu). Mając dużo czasu i – jak się chwalił – znajomych dentystów, lubił przyglądać się, jak oni usuwali zęby i to się jemu *oczeń nrawiłtoś* (bardzo podobało). Gdyby nie to, że posadzili go przez jakieś nieporozumienie, to na pewno by *postupił na wyższe ucziliszcze* (rozpoczął wyższe studia) i zostałby dentystą. Po tym wstępie oświadczył mi, że w ramach przyjacielskiej pomocy usunie mi ten bolący ząb za pajkę chleba. Spytałem go wówczas, czy robił .to już kiedykolwiek. Odparł że tak, w obozie, trzy razy (dwa razy dobrze mu poszło, za trzecim razem ząb ułamał się w trakcie rwania i durny pacjent uciekł nie pozwalając dokończyć „operacji”). Cóż miałem robić.

Zdecydowałem się, aby to on usunął mi tego zęba. Nie było po prostu innej rady, a ząb strasznie dokuczał.

Po tej rozmowie poszliśmy do kuźni położonej niedaleko naszych baraków. Pracował w niej kowal naprawiający maszyny rolnicze, sprzęt ogrodniczy. Do jego obowiązków należało też reperowanie uprzęży dla wołów, a także podkuwanie koni. Gdy pokrótce wyjaśniliśmy o co nam chodzi, wcale się nie zdziwił, a nawet zaoferował nam swoją pomoc. Tak też moi „dentyści” zabrali się do pracy. Najpierw, spośród wielu narzędzi wybrali odpowiednie *plaskohubcy* (szczypce), wygotowali je wraz z cienkim przebijakiem, obejrzeni raz jeszcze dokładnie mój ząb, orzekli, że wszystko *choroszo* (dobrze) pójdzie i rozpoczęli „operację”. Kazali mi usiąść na kole kosiarki, przywiązali mnie lejcami do tej maszyny *cztob durnota nie naszła na tiebia* (żeby durnota nie naszła na ciebie) – jak powiedzieli i zmusili mnie do otworzenia ust. Kowal był pomocnikiem mojego „dentysty” i równocześnie jego doradcą. Ormianin cieniutkim przebijakiem oddzielił dziąsło od zęba, następnie szczypcami uchwycił mocno ząb i kręcąc w lewo i prawo, przy okrzykach kowala *tiani jewo swołocz etakaja* (ciągnij jego, drania takiego) wyszarpnął zęba, o dziwo, z korzeniem. Radość całej trójki była ogromna. Z radości, że pozbyłem się tego zepsutego zęba, zapomniałem o wielkim bólu, jaki towarzyszył tej „operacji”. Byliśmy zmęczeni, ale szczęśliwi. Ormianin od tego czasu zyskał miano *nastojaszczewo charoszewo wracza* (prawdziwego dobrego lekarza). Kowal zasłynął jako wspaniały pomocnik i *charoszyj master od wsiewo* (dobry majster od wszystkiego). Ja, jak już wspominałem, pozbyłem się bolącego zęba. Przez te kilka miesięcy, jakie spędziłem jeszcze w tej osadzie, mój „dentysta” dwa razy usuwał zęby lagiernikom, przy wykorzystaniu tych samych narzędzi i tej samej „techniki”, z równie dużym powodzeniem.

Nastał czas, że przestałem pracować, gdyż mój brygadier bał się zmuszać mnie do pracy. Wyrobiłem sobie bowiem, dzięki sprytowi i prowadzeniu awanturniczego trybu życia, posłuch wśród więźniów. Miałem wówczas podopiecznego współwięźnia (Waśka), którym opiekowałem się, ponieważ był chory i moczył się podczas snu. Nie pozwalałem, aby go inni współtowarzysze niedoli krzywdzili, dzieliłem się z nim również zdobytą żywnością. Z wdzięczności za pomoc, był mi posłuszny i robił wszystko, co mu kazałem.

Brygadier Nalebajew (Tatar) nienawidził mnie i bał się wydawać mi jakiegokolwiek polecenia. Starał się natomiast dokuczyć mojemu podopiecznemu. Aby utrzymać Waśkę i siebie w formie i nie tracić sił, musiałem ciągle myśleć o zdobyciu

jedzenia. Pewnego razu dostałem od kogoś jęczmienia, więc dałem go mojemu podopiecznemu, by stał go na mąkę (na dwóch siekanych kamieniach żarnach) i upiekł dla nas placki na blasze położonej na ognisko. Wszystko to należało robić w ukryciu przed konwojentami, którzy po wykryciu takich kamieni odbierali je i tłukli, niszcząc nam jedyny środek do wytwarzania mąki lub krup, a właściciela zamykali do karceru na *sztajfnoj pajok*. Tak też Waśce poleciłem przygotowanie posiłku a sam poszedłem schronić się przed słońcem w cieniu skirdy. Kiedy po kilku godzinach wróciłem, zastałem Waśkę zrozpaczonego, jęczmień rozsypany, ognisko zdeptane a kamienie rozrzucone. Jak się okazało, podczas mojej nieobecności brygadier wyskoczył znienacka i wszystko podeptał, Waśkę uderzył i zabronił mu przygotowywania dla mnie posiłku. Wiedziałem doskonale, że ten czyn skierowany jest przeciwko mnie. Nie mogłem przymknąć na to oczu z uwagi na mój prestiż i autorytet w obozie. Czekałem aż zjawi się Nalebajew. Wieczorem przyjechał z kombajnem, zszedł z niego i zbliżając się w moją stronę krzyczał, przeklinał i groził, że mnie pobije. Był wyższy ode mnie i silniejszy, fizycznie bardzo dobrze zbudowany. Miałem wówczas 21 lat, byłem sprytny i bójka nie była dla mnie pierwszą (ciężkie życie mnie tego nauczyło). Zdawałem sobie doskonale sprawę, iż nie wolno mi dopuścić do tego, że mój przeciwnik złapie mnie w swoje ręce – wtedy na pewno przegrałbym. Walczyłem więc na dystans i chciałem z nagłego doskoku unieszkodliwić go. Cała brygada więźniów patrzyła na to widowisko, z zainteresowaniem oczekując rezultatu naszego starcia. W tym samym czasie zaczęła się do nas zbliżać pod nadzorem konwojentów trzydziestoosobowa grupa przestępców. Doskoczyłem do Nalebajewa uderzając go mocno pięścią w twarz i następnie w brzuch. Rzucił się więc na mnie. Z lekka oszołomiony objąłem go w pasie, podstawiłem mu nogę i w ten sposób udało mi się go przewrócić. Poderwałem się natychmiast z ziemi (padłem razem z nim) i leżącego zacząłem bić. Konwojent, widząc co się dzieje rzucił się na mnie z tyłu i zaczął mnie odrywać od brygadiera. W ferworze walki nie zwróciłem uwagi, że to konwojent i uderzyłem go. To go rozwścieczyło. Zdenerwowany wyciągnął pistolet z kabury i chciał strzelić. Wówczas więźniowie z brygady przestępców zaczęli wołać, abym wskoczył między nich, bo mnie konwojenci zastrzelą. Skorzystałem z ich rady. Natychmiast mnie okrążyli i w ten sposób zabezpieczyli przed rozeźlonymi strażnikami. Po chwili cała brygada i ja w niej ruszyliśmy do baraków za druty kolczaste. Na miejscu oddzielono mnie od nich i posadzono do karceru. Jak się później okazało, mój przeciwnik (brygadier) podczas bójki stracił jednego zęba i miał lekkie obrażenia. Ostatecznie wyszedłem z tej awantury zwycięsko.

Po trzech dniach karceru zostałem wezwany przez konwojentów na dyżurkę. Tam dopiero wytłumaczono mi „dosłownie” co znaczy podnieść rękę na wolnego *strilka*, a po tej „perswazji”, wyprowadzono mnie za zonę i z siedzącym na koniu konwojentem przepędzono 15 km pieszo, z powrozem na szyi (drugi koniec sznura przytwierdzony był do siodła konwojenta). W ten sposób dotarłem do innej osady, zwanej Kujanda (Dolina zajęcy), gdzie znajdowała się brygada karna. Przed barakiem przyjął mnie oficer dyżurny.

Rozdział IX – Kujanda

Osada ta wielkością zbliżona była do Karagogi. Zajmowano się w niej wyłącznie ogrodnictwem. Gdy do niej przybyłem, zaprowadzono mnie do obozu karnego, znajdującego się pośrodku osady, otoczonego drutem kolczastym. Obóz był stosunkowo duży. Siedziało w nim około trzystu skazańców politycznych oraz złodziei. Podobny był do obozu w Carepce, konkretnie mówiąc było to takie samo piekło na ziemi. Całą noc grali tu złodzieje w karty, bili się, terroryzowali i szantażowali innych. Strażnicy do baraku nie wchodzili za wyjątkiem oficera dyżurnego, który przeliczał nas rano i wieczorem. Na czele recydywistów stał najstarszy z nich, ogólnie szanowany przez złodziei Mikołaj (Ukrainiec ze wschodniej Ukrainy), mężczyzna około 35 lat, w obejściu kulturalny, zrównoważony, spokojny i w sądach swoich sprawiedliwy.

Po dwóch latach, będąc w innym obozie (*specobozie* – obozie o wzmożonej dyscyplinie) dowiedziałem się, że Mikołaj został skazany za jakieś swoje stare grzechy przez podziemny sąd złodziejski na karę śmierci – wyrok wykonano natychmiast

Po wejściu do baraku ulokowałem się na dolnych narach (tam było wolne miejsce). Jediną dobrą rzeczą, jaką wówczas posiadałem, był krótki, podarty kozuszek, koszuli nie miałem, spodnie były w strzępach. Zmęczony piętnastokilometrowym marszem momentami przechodzącym w bieg, powaliłem się na nary i wypoczywałem. Po chwili usłyszałem, że tuż nade mną dwóch złodziei gra o mój kozuch. Wiedziałem, że ten, który przegra przyjdzie zaraz do mnie, aby mi odebrać moją własność i spłacić nią swój dług. Nie myliłem się. Po pewnym czasie jeden z grających podszedł do mnie żądając kozucha. Odpowiedziałem mu, że go nie oddam, ponieważ jest to moja jedyna odzież. Chciał mi go zabrać siłą, zaczęliśmy się więc szantażować. Zakończyło się to normalną bójką. Byłem zwinniejszy od niego. Udało mi się zerwać deskę wiszącą obok drzwi wejściowych i uderzyć nią mojego przeciwnika. Jak się okazało, na jej końcu był gwoździec i tym gwoździem wybiłem złodziejowi oko. Padł pobity na ziemię i jęczał z bólu i żalu za utraconym okiem. Widząc to, jego koledzy (było ich kilkunastu) rzucili się na mnie. W kilka sekund powalili mnie na ziemię i mocno poturbowali. Tak jak mój przeciwnik, wyłem z bólu a moi oprawcy zabrali mi kozuch. Ponieważ nie byłem w stanie wgramolić się na nary, złodzieje chwycili mnie za ręce i nogi i rzucili na deski. Zaraz po tym rozeszli się po baraku. Tak to przywitałem się z moimi współwięźniami.

Wieczorem, jak zwykle, nastąpiło liczenie więźniów (*prowierka piered odbojom*

– sprawdzenie przed snem). Wszyscy wyszli na podwórze i ustawili się do liczenia. Przy pomocy dwóch moich sąsiadów i ja stanąłem w szeregu. Oficer dyżurny zauważył, że jestem mocno pobity i utrzymuję się na nogach tylko dzięki pomocy innych. Spytał więc, kto mnie pobił i za co. Oczywiście nie przyznałem się, że dostałem od złodziei, bo nie chciałem oddać kozuszkę. Wyjaśniłem, że spadłem z górnych nar. Oficer doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że kłamię. Wiedział również bardzo dobrze, że i tak nie jest w stanie ukarać złodziei, ponieważ mafia nie wyda mu winnego, aby ukarać go za pobicie jakiegoś tam freja. Machnął więc ręką i na tym zakończył zadawanie pytań. Przeliczył nas jeszcze raz (liczenie więźniów odbywało się zawsze po kilka razy w trakcie jednej *prowierki*) i pozwolił się rozejść.

Po *odboju*, kiedy starałem się wgramolić na moje leże, podszedł do mnie jeden ze sługusów herszta i oznajmił, że Mikołaj wzywa mnie do siebie na rozmowę. Z niechęcią powlokłem się do rogu baraku (pomagał mi posłaniec), gdzie na rozłożonych betach leżał „Pan życia i śmierci” wszystkich znajdujących się w tym budynku. Zaczęło się dokładne wypytywanie za co siedzę, ile mam wyroku, co to znaczy walczyć o własną i niepodległą ojczyznę, co to jest AK, ile mam jeszcze do odsiedzenia, w jakich obozach przebywałem itp. Po szczegółowym przesłuchaniu, Mikołaj kazał zanieść mnie na miejsce, oznajmiając, że jestem od tej chwili u niego w *zakonie*. Oznaczało to, iż nikt ze złodziei nie może mi zrobić krzywdy bez jego wyraźnego zezwolenia, że jeśli po wyzdrowieniu wdam się w bójkę ze złodziejem, to będzie to walka sprawiedliwa, jeden na jednego (żaden inny złodziej nie może pomóc swemu kamratowi, memu przeciwnikowi). Stałem się niejako równy im, przestałem być zwykłym *frejem*. Po powrocie na nary, zastałem mój kozuch na dawnym miejscu – herszt kazał go oddać, bo spodobało mu się, że nie wydałem jego podopiecznych.

Po kilku dniach samodzielnego kurowania się, zacząłem pracować. W ogrodach wrywaliśmy z ziemi cebulę, znosiliśmy ją w dużych koszach w jedno miejsce, a stamtąd zwożono ją do ogromnych magazynów. Ponieważ wszyscy byliśmy wygłodniali, z braku innego pożywienia, jedliśmy surową cebulę albo w całości, albo utartą w glinianych miskach i zmieszaną z solą (tak przygotowana mniej piekła). Zajadaliśmy się tym ze smakiem i płakaliśmy. Czasami, gdy trafili się bardziej ludzcy konwojenci, rozpalaliśmy mały ogień i przypiekaliśmy cebulę na ogniu, traciła wtedy ona swoją piekącą moc, ale za to była gorsza w smaku.

Pewnego razu, wracając całą brygadą z pracy, spotkaliśmy samochód ciężarowy wiozący z ogrodów pomidory. Auto jechało powoli, ponieważ droga pełna była jam i

wybojów. Wszyscy, jak jeden mąż, rzuciliśmy się na skrzynie z pomidorami. Co się wówczas działo, trudno opisać. Konwojenci, przerażeni całkowitym brakiem posłuchu, zaczęli dla ostrzeżenia strzelać w górę. Kierowca zatrzymał wóz i wystraszony zaczął uciekać. Więźniowie oblepieni poduszonymi pomidorami, przemoczeni ociekającym sokiem, połykali zachłannie pomidory. Chcieli najeść się jak najszybciej i możliwie do syta. Zaalarmowani strzałami, nadjechali z osady dodatkowi strażnicy, z naczelnikiem konwoju na czele. Wałąc nas nahajami gdzie popadło, nie bez trudu przywrócili porządek. Po przyjeździe do obozu, dowiedzieliśmy się od naczelnika, że za częściowe zniszczenie i zrabowanie pomidorów zostajemy na trzy dni pozbawieni gorącej tzw. zupy (woda z brukwią i burakami pastewnymi). Konwojenci nasi (jak nam się później skarżyli) ukarani zostali wpisaniem nagany do akt personalnych. Kierowca samochodu, za karę, że zatrzymał wóz i uciekł, powoził wołami na naszym *posiołku*.

Brygada nasza wykonywała różne prace ogrodowe. Byłem w niej jedynym robotnikiem, który nie wyrabiał normy ustanowionej przez *proraba* (zwierzchnik wszystkich brygadierów). Naczelnik osady postanowił więc mnie ukarać. Pewnego dnia, po ukończeniu pracy, cała brygada udała się na odpoczynek do baraku. Mnie zaś kazano zostać na miejscu i przywiązanego do pała, trzymano nagiego aż do późnego wieczora. Ręce miałem związane, nie mogłem nawet opędzać się od dokuczliwej moszki, a pod wieczór i komarów. *Strilok* pilnujący mnie bluźnił przy tym, ile mu sił starczyło, że przeze mnie też musi cierpieć i zamiast wypoczywać w baraku, pilnuje mnie i jest narażony na kontakt z żarłoczną moszką. Późną nocą wróciłem do baraku. Cały byłem we krwi, z ogromnymi bąblami na ciele, niesamowicie wycieńczony i chory.

W kilka dni później wyrósł mi na tylnej części ciała bardzo duży czyrak (wielkości pięści dorosłego człowieka). Miałem gorączkę i zwijałem się z bólu. Jakiś Rosjanin (współwięzień), którego nazwiska nie pamiętam (przypominam sobie tylko, że pochodził z Mandżurii i znał japoński), widząc moje męczarnie, wyraził chęć rozprawienia się z przyczyną tego bólu. Zgodził się wydusić czyrak, bo – jak stwierdził po oglądnięciu – dojrzał on do tego. Przyjąłem to z radością, gdyż była to jedyna szansa na uśmierzenie bólu. Stałem więc z wypiętym tyłkiem i mocno trzymając się za nary poddałem się zabiegowi. Mój wybawca zrobił to wspaniale. Ból był ogromny, ale warto było się poświęcić – byłem zdrów.

Pewnego dnia zachorowałem na anginę. Dosłownie dusiłem się, nie mogłem przełknąć własnej śliny. Bardzo cierpiałem, nie byłem w stanie nawet wypić *kipiatoku*.

Oslabłem więc do tego stopnia, że nie mogłem się zwlec z nar. Kolega leżący obok mnie, który zjadał za mnie mój *sztarfnaj pajok* (karna racja jedzenia), zorientował się, że chyba się już wykańczam i postanowił wyleczyć mnie sam. Na kolację otrzymywaliśmy wówczas *balandę* składającą się z gorącej brudnej wody i łyżki rybich ości. Właśnie owe ości okazały się cudownym lekarstwem na moją dolegliwość. Moi koledzy wzięli mnie po prostu po kolacji do *paraszy* (beczka na odchody) i kazali łyżką wpychać sobie do ust ości, a co gorsza, połykać je. Po przełknięciu pierwszej łyżki ości poczułem straszny ból w gardle i zacząłem pluć krwią (ości przekłuły wewnętrzny wrzód). Wkrótce poczułem się lepiej. Jeszcze tego wieczora wypilem trochę gorącej wody. Na drugi dzień coś zjadłem, a na trzeci poszedłem do pracy. Jednorazowy zabieg z ościmi był bardzo bolesny, ale i skuteczny. Od tamtej pory, o ile sobie przypominam, więcej nie chorowałem w obozie na anginę.

Pod koniec lata przyjechał bezpośrednio z Karabasu nowy więzień. Jak się okazało, był to Polak, aresztowany w 1948 r. w Krakowie, zawodowy wojskowy (kapitan). Na imię miał Stanisław, nazwiska jego niestety nie pamiętam. Przywitałem go serdecznie. Pytaniom nie było końca. Wówczas to dowiedziałem się, że Polska istnieje na mapach, co prawda rządzą w niej Moskale, ale jest, że zabrali nam nasze ziemie wschodnie, że zaraz po wojnie wszystko, co się dało wywozili z Polski. Pan Stanisław powiedział mi także, że przy polskim wojsku jest cała masa oficerów rosyjskich, że rządzą w Polsce jak w Rosji i wprowadzają bałagan i pijaństwo. Pana Stanisława zasądziło na 20 lat, ponieważ w dyskusji z oficerami polskimi twierdził, że niemieckie czołgi były zrobione z lepszego materiału i miały lepszą konstrukcję niż czołgi sowieckie. Chociaż był Polakiem i miał obywatelstwo polskie, sądził go sąd sowiecki i zaraz po ogłoszeniu wyroku (1948 r.), wywieźli go w głąb Związku Radzieckiego. Pan Stanisław był człowiekiem bardzo wesołym, lubił dużo opowiadać. Z przyjemnością rozmawiałem z nim po polsku (po rosyjsku jeszcze nie zdążył się nauczyć) i z radością (po trzech latach niesłyszania mowy polskiej) przysłuchiwałem się jego akcentowi, który wówczas wydawał mi się bardzo dziwny.

Pan Stanisław znał wiele wierszy na pamięć, między innymi Krystiana Ostrowskiego (18.11.1882). Parę jego wierszy, które utkwiły mi w pamięci, pozwolę sobie przytoczyć:

POCHODZENIE

Badacze różni nasz początek śledzą
Ten z Indii, ten z Kaukazu nas wywodzi.
Gdzie, jak i kiedy o tym nic nie wiedzą,
Lecz najpodobniej Lachów ród pochodzi
Od samojedów, bo się sami jedzą.

GALICJANIE

Spolszczony Niemiec cześć powszechną budzi;
Zniemczony Polak jest ostatni z ludzi;
A cóż, gdy przylgnie do moskiewskiej dziczy?
Już do ludzkości wcale się nie liczy;
Ci dwaj spadają, tamten się podnosi,
Najlepszy krąży na swej własnej osi:
Bo czy cię Pan Bóg, czy Jehowa spłodził,
Żyj i umieraj jakeś się narodził.

TRZY ZAGADKI

Dlaczego Moskał nas pokonał dumnych?
Bo słucha Niemców, podłych, lecz rozumnych.
Dlaczego Prusak za Moskalem chodzi?
Bo pierwszym zbójcy jest minister złodziej.
A czemu Francuz liże dłoń Moskala?
Bo na niej ruble świecą mu się z dala.

HISTORIA MOSKIEWSKA

Od dzikich stepów Moskwa nie odrodna
Pożarła Polskę i tym bardziej głodna;
A jak wilk wściekły co rozbojem płonie,
Połknąwszy Słowian, sama się pochłonie.

Zazwyczaj przed wszystkimi zmianami zachodzącymi w obozie krążą plotki, które prędzej czy później sprawdzają się mniej lub bardziej dokładnie. Tak też i było w 1948 roku. Jedni mówili, że nasz obóz mają zlikwidować a nas wszystkich wywieźć na

północ, inni, że wywozić mają tylko politycznych. Następni twierdzili, że ma być amnestia dla wszystkich więźniów, także politycznych. Ta ostatnia wiadomość była dla nas oszałamiająca. Zaczęła w nas kiełkować nadzieja, że odzyskamy wolność. Po cichu rozmawialiśmy ze sobą, co by to było za szczęście, gdyby pozwolili nam powrócić do naszych domów, jaka radość ze spotkania z najbliższymi, z wypoczynku, najedzenia się do syta, pracy w swoim zawodzie i wielu, wielu innych drobnych codziennych przyjemności. Starzy lagiernicy (siedzący po 10, 15 lat) jak zwykle „oblewali” nas zimną wodą i sprowadzali z obłoków na ziemię, do twardej i bezwzględnej rzeczywistości. Twierdzili, że jak długo istnieje rząd sowiecki, nigdy dla więźniów politycznych nie było amnestii, nie było i nie będzie. Radzili prostodusznie, abyśmy te wspaniałe wiadomości powybijali sobie młotkami z głowy, abyśmy przestali się łudzić. Amnestia w Kraju Rad obejmuje tylko prawdziwych kryminalistów, złodziei, morderców, złoczyńców. Jeszcze inni mówili, że więźniowie polityczni mają być oznakowani numerami na plecach bluz, rękawach, nogawkach, czapkach. Drudzy wyśmiewali te plotki twierdząc, że to było w hitlerowskich Niemczech i w czasie wojny, a teraz jest po wojnie i znajdujemy się w sowieckim obozie. Słowem, niepokój wzrastał z dnia na dzień. Także ja zacząłem się obawiać. Wtedy właśnie przypomniałem sobie, że podczas pobytu w Karagodze, widziałem więźniów z naszytymi na plecach numerami. Byli to wprawdzie katorżnicy, ale jaka różnica między nami a nimi – żadna. Bałem się, ale że w obozie za dużo myśleć nie wolno, wkrótce zapomniałem o tamtych nieszczęśnikach. Wszyscy więźniowie byli podenerwowani. Wszyscy, oprócz zwykłych kryminalistów, których takie sprawy zupełnie nie interesowały.

Któregoś dnia rano, przed *rozwodem*, zamiast wypędzać nas jak zwykle do pracy, do obozu weszli: komendant strażników, naczelnik obozu, dwóch mężczyzn (prawdopodobnie lekarzy) oraz dwóch urzędników administracji. Wszyscy oni mieli bardzo tajemnicze miny. Gruchnęła wiadomość, że pierwsza i druga grupa lagierników pojedzie na północ do obozów rozsianych na Sybirze. Muszą być to w miarę silni i dobrze zbudowani mężczyźni, aby mogli dojechać w wagonach na daleką północ a tam pracować w lesie przy ścinaniu drzew lub w kopalniach węgla albo rudy.

Starym lagiernikom wiadomo było dawno (przeszliśmy niejedną taką komisję), na jakiej podstawie dostaje się pierwszą lub drugą czy trzecią kategorię. Przed komisją rozbieraliśmy się ze swoich łachów do naga i kolejno podchodziliśmy do drewnianych ław, za którymi urzędowali nasi władcy, panowie życia i śmierci. Gdy już przed nimi stanęliśmy, zapisywali nasze nazwiska a my musieliśmy odwrócić się do nich plecami i

wypiąć pośladki w ich stronę (wszyscy robiliśmy to z dużą przyjemnością, każdy więzień mrucał jeszcze w dodatku coś pod nosem). Lekarz chwycił dwoma palcami za skórę na pośladku i odciągał ją. Jeżeli skóra nie bardzo dawała się odciągnąć, delikwent dostawał pierwszą lub drugą grupę, co oznaczało, że był mocny i odkarmiony. Szanowna komisja stwierdzała, że na burakach i zgniłej kapuście poprawił się i może jechać na północ karczować las lub kopać węgiel dla dobra komunizmu. Jeśli natomiast skóra od pośladków znacznie odstawała, cała komisja rechotała ze śmiechu. Stwierdzano ogólnie, że *fital* może nadawać się tylko na szycie z jego skóry *sumoczki* (woreczek, torba) i dostawał taki delikwent trzecią lub czwartą grupę, w zależności od decyzji *głównego wracza* (naczelný lekarz), który wpisywał odpowiednią kategorię.

Po kilku dniach wywołano tych „zdrowych” z I i II kategorią, kazano im zabrać rzeczy, ustawiono w szereg, przeliczono i popędzono pieszo do punktu rozdzielczego – Karabasu. Zaledwie parę dni było spokoju i nie mówiono o więźniach wysłanych na *etap* a tu znów gruchnęła wieść, że przygotowujący jest nowy transport. Tym razem mieli jechać tylko więźniowie polityczni. I rzeczywiście. Pewnego dnia rano przyszli do baraku konwojenci (więcej ich było niż zazwyczaj), naczelnik wyjął listę, wyczytał nazwiska wszystkich politycznych, po czym kazał zabrać swoje rzeczy (dobytek starego więźnia politycznego składał się z drewnianej łyżki, będącej bezcennym skarbem więźnia, albowiem służyła nie tylko do wydobywania z dna miski rzadkiej krupy, ale też jako waga lub miarka w handlu mierzono nią np. tytoń czy rozsypujący się chleb; kawałek szmaty służącej jako ręcznik) i wychodzić pojedynczo za zonę, gdzie ustawiono nas po pięciu w szeregu, przeliczono kilka razy, sprawdzono nazwiska, uprzedzono o konsekwencjach, jakie grożą próbującym uciekać i dano sygnał do odmarszu. Pożegnaliśmy się raz na zawsze z obozami rozsianymi wokół Karabasu, z obozami, w których pracowali nie tylko polityczni więźniowie Kraju Rad, ale więźniowie z całej wschodniej Europy, z krajów gdzie stanął but nieproszonego sowieckiego żołnierza.

Rozdział X – Wymarsz na *peresylny punkt*. Dżekazgan

Szliśmy pieszo do Karabas, w którym ostatni raz byłem w 1945 r., a więc trzy lata wcześniej. Obóz przejściowy nic się nie zmienił, wydał mi się nawet mniej groźny niż poprzednio. Może dlatego, że byłem już starym więźniem. Do Karabas zaczęto zwozić więźniów politycznych ze wszystkich okolicznych obozów. Domyślaliśmy się, że władze ściągają więźniów ze zdwojoną energią i szybkością, aby wysłać ich jednym dużym transportem kolejowym. Niestety, nie wiedzieliśmy tylko, dokąd nas chcą wyekspediować. Jak zwykle krążyły rozmaite plotki na ten temat Chodziły słuchy, że mają nas wywieźć do obozu, w którym panują gorsze warunki, no i co ściśle się z tym wiąże, cięższa praca i obostrzona dyscyplina. Nikt nic nie wiedział na pewno, ale zdążyliśmy się do tego już przyzwyczać.

Któregoś dnia, późną jesienią, zaczęto do naszego obozu podstawiać wagony towarowe kryte. Był to pewny znak, że lada dzień załadowani będziemy do *tielatnikow* i pojedziemy w nieznane, budować szczęśliwe i radosne (jak z drwiną mówiliśmy) państwo sowieckie. Wnosząc z ilości podstawionych wagonów i liczby ludzi, jaką zdążyli zebrać z okolicznych obozów, domyślaliśmy się, że tym razem pojedziemy gdzieś dalej. Nie znaliśmy tylko kierunku – północ czy południe, zachód w ogóle nie wchodził w grę a wschód też był mało prawdopodobny (800 km i granica z Chinami).

W kilka dni po podstawieniu wagonów, zaraz po porannym apelu, wydano nam tzw. *suchoj pajok* na trzy dni (1,35 kg chleba, trzy ryby posypane grubą czarną solą) i kazano zabrać rzeczy. Naczelnik obozu wyczytywał nasze nazwiska, my przechodziliśmy do szeregu, w którym po dokładnym przeliczeniu przejmował nas naczelnik konwoju. Po kolejnym przeliczeniu poprowadzono naszą kolumnę w stronę stojących wagonów towarowych, powoli zaczęliśmy wchodzić do nich i rozmieszczać się na podłodze. To załadowywanie i ciągłe przeliczanie trwało kilka godzin. Skład pociągu był bardzo długi. Dopiero następnego dnia nad ranem ruszyliśmy w drogę. Jadąc w kierunku południowo-zachodnim, zaczęliśmy się domyślać, że będziemy prawdopodobnie budować wielkie miasto Dżekazgan. O mieście tym krążyły słuchy, że jego budowę zapoczątkowali japońscy jeńcy wojenni, kontynuowali niemieccy (Japończyków wywieziono w nieznanym kierunku) i teraz my (Niemców przed naszym przyjazdem także odesłano). Przypominam sobie, że jak jechaliśmy do Dżekazganu, na

którejs stacji kolejowej zobaczyliśmy cały transport jeńców wojennych – byli to właśnie Japończycy. Było ich bardzo dużo, mieli mundury wojskowe. Drzwi do ich wagonów były otwarte, stali przy nich tylko sowieccy żołnierze, po dwóch przy każdych drzwiach. Z roześmianych twarzy Japończyków, jak również z ich swobodnego zachowania, poznać można było, że musieli być nie najgorzej traktowani (mundury czyste, niezniszczone, otwarte drzwi do wagonów, bez drutów kolczastych – wszystko to mówiło samo za siebie), że nie pracowali fizycznie (na pewno nie budowali Dżekazganu). W którą stronę ich wieźli, nie wiem, ponieważ nasz transport szybko ruszył dalej.

Po trzech dniach jazdy trafiliśmy rzeczywiście do Dżekazganu i tam wyładowano nas na bocznicę kolejowej. Po dokładnym przeliczeniu ruszyliśmy bardzo długą kolumną w kierunku widocznych z daleka drutów kolczastych i baraków obozowych. Po przybyciu pod sam obóz, kazano nam usiąść na ziemi i czekać. Mogliśmy zatem rozejrzeć się po okolicy. Obóz ten był bardzo duży, wyglądał (sądząc po ilości znajdujących się w nim baraków) na mieszczącego 15 do 20 tysięcy ludzi. Jak się później okazało, męska zona liczyła 7 tysięcy, żeńska ponad 8 tysięcy osób.

Czekaliśmy dobre kilka godzin, zanim pozwolono nam wstać, zaczęto znowu nas przeliczać i od razu wpuszczać do zony. Przemarznięci byliśmy bardzo, strasznie głodni (niektórzy więźniowie po otrzymaniu chleba przed wyjazdem, zjedli od razu swoją porcję przeznaczoną na trzy dni) i przemęczeni, zdenerwowani niewiadomą, jaki los czeka nas w tym nowym miejscu.

Wszedłem na wachtę oświetloną żarówką elektryczną (po raz pierwszy od trzech lat zobaczyłem świecącą żarówkę) i stanąłem przed siedzącymi za stołem: naczelnikiem obozu, komendantem straży zmiennej, lekarzem i dwoma pisarzami. Zaczęli zadawać mi pytania, na które odpowiadałem już setki razy w innych obozach przy różnych okazjach. Lekarz po zbadaniu mojego pośladka wlepił mi trzecią grupę, z uwagą „zdolny do ciężkiej pracy”. Komendant obozu, po badaniu lekarskim oznajmił mi uroczyście, że od tej chwili nazwisko moje jest tylko dla władzy radzieckiej i do akt, ja zaś otrzymuję numer, który mam od tej chwili nosić na plecach, czapce, rękawie i nogawce. W ten sposób nazwisko moje przestało istnieć. Otrzymałem numer „CC939” (SS939). Dowiedziałem się ponadto, że przyjechałem do tzw. *specobozu*, który ma wzmoczoną dyscyplinę i jest przeznaczony wyłącznie dla więźniów politycznych i wrogów Kraju Rad. Ostrzegł, że za niewypełnienie normy podczas pracy przewidziana jest izolotka lub więzienie obozowe, trzy dni opuszczenia pracy bez zwolnienia

lekarzkiego to już sabotaż a co za tym idzie zwiększenie wyroku. Za próbę ucieczki grozi kara śmierci, za zbliżenie się do budki strażniczej lub drutu kolczastego bez specjalnego zezwolenia nadzoru – również. Dodatkowo naczelnik oznajmił, że trzeba uczciwie pracować dla Sowieckiego Sojuza, oddać wszystkie swoje siły i zdrowie, aby odkupić własne winy, albowiem *Batiuszka Stalin* (Ojczulek Stalin) jest wielki, wszechmogący wszechwidzący i potrafi docenić sprawiedliwie pracę ludzką i odpowiednio ją wynagrodzić. Kto będzie uczciwie pracował dla Sowieckiego Sojuza, ten za wykonaną normę będzie otrzymywał dodatkową porcję chleba w wysokości aż 10 dkg. Każde przekroczenie normy również będzie nagradzane np. 120% dodatkowe 10 dkg, 140% – 20 dkg, 200% – 65 dkg. Były to porcje głodowe a normy tak wyśrubowano, że nawet zupełnie zdrowy człowiek, normalnie się odżywiający, nie był w stanie ich wykonać.

W pełni uświadomiony i pouczony wyszedłem z budki strażniczej i znalazłem się na terenie obozu. Przed wejściem do przydzielonego mi baraku, włączony zostałem do brygady roboczej składającej się z trzydziestu ludzi i dopiero z nimi i moim brygadzystą wszedłem do mojego nowego „domu”. Tam zająłem miejsce na narze. Wieczorem musieliśmy wszyscy poprzyszywać sobie numery. Robiliśmy to w sposób następujący: najpierw w odpowiednich miejscach musieliśmy zrobić dziury (w przypadku ucieczki, po oderwaniu przez więźnia numeru, dziury go dekonspirowały przed wolną ludnością), później dopiero naszywaliśmy numery. Było to bardzo pomysłowe. Ludność, która pomogła w schwytaniu uciekiniera, otrzymywała w nagrodę aprowizację: kilka kilogramów cukru, kaszy, mąki lub innych artykułów spożywczych, których wówczas było tam jak na lekarstwo.

Następnego dnia rano o godzinie piątej, zaraz po spożyciu rannej racji chleba i popiciu gorącą wodą, wyruszyliśmy na *rozwód*. Wszystkie brygady (według numerów) ustawiły się rzędem, czekając na swoją kolej wyjścia do pracy. Wszyscy więźniowie przybyli razem ze mną mieli już ponaszywane regulaminowe numery. Dyżurni przeliczali każdą brygadę oddzielnie, sprawdzali czy numery są na swoich miejscach. Po sprawdzeniu czy nikogo nie brakuje, dyżurni zapisywali stan więźniów kredą na dykcie, a następnie wypuszczali za zonę, gdzie naczelnik konwoju przyjmujący więźniów po raz kolejny ich przeliczał. Wychodzenie do pracy trwało więc około dwóch i pół godziny. Przez ten czas zdołano odprawić około czterech tysięcy ludzi z numerami na plecach, czapkach, rękawach i nogawicach.

Miejsce pracy odległe było o około trzy kilometry od naszej zony. Więźniowie

wykonywali różne ciężkie prace budowlane, nie wyłączając kopania rowów, budowania dróg itp. Budowaliśmy Dżezkazgan, a że było nas tak dużo rósł on w zawrotnym tempie. Pracowali też z nami ludzie wolni, oczywiście na zupełnie innych zasadach i warunkach. Dzień roboczy wynosił dla nas 10 godzin. Normy przeważnie żadna z brygad nie wykonywała, nikt nie był jej po prostu w stanie wypracować tak była wygórowana. Stary, doświadczony brygadzysta musiał wszystko naciągać, dawać wolnym majstrom różnego rodzaju łapówki, aby ci z kolei zgłosili swojemu kierownictwu, że taka to a taka brygada normę wykonała na 100%, za co członkowie brygady dostawali 65 dkg chleba dziennie. Łapówkami była odzież, buty i inne rzeczy przechowywane przez niektórych więźniów jeszcze z czasów wolności. Jeśli brygadzysta nie potrafił kłamać, kombinować, oszukiwać lub przekupywać, jego brygada głodowała, a następnie rozwiązywano ją, nie zapominając o uprzednim ukaraniu. Część ludzi z takiej brygady przechodziła do innych brygad, część pozostawała w barakach, jako ludzie chorzy lub całkowicie niezdolni do pracy.

Co dziesiąty dzień był wolny od pracy. Teoretycznie. Praktycznie zaś był dniem pracy, lecz już tylko w obozie – na zewnątrz wówczas nie wychodziliśmy, za to w zonie wykonywaliśmy rozmaite zadania.

W dzień wolny od pracy szliśmy rano do łaźni. Cała brygada rozbierała się w przedsiionku i tu zaczynała się zabawa. W drzwiach stawał więzień z obsługi łaźni trzymając przed sobą wiadro z czarną mazią, którą musiał rozdzielić, ponieważ taka była norma więzienna i takie były przepisy, a przepisy rzecz święta – zawsze trzeba ich przestrzegać. Smar ów miał zastępować mydło. Zadaniem stojącego w drzwiach więźnia było wysmarowanie przechodzących do kąpieli, by nikt nie mógł się poskarżyć, że w sowieckich obozach brak jest mydła w łaźniach. Ponieważ maź ta była niezmywalna, a przy tym okropnie śmierdziała, unikaliśmy, jak tylko mogliśmy, kontaktu ze stojącym i czekającym z mazią więźniem. Mieliśmy na niego swój sposób. Robiliśmy w drzwiach sztuczny tłok, na skutek czego więzień ów musiał się nieco wycofać a nierzadko był przez nas po prostu przewracany. Wtedy to, korzystając z powstałego zamieszania, wbiegaliśmy do łaźni. Tam, ten kto był pierwszy, ten zdążył nałapać trochę wody do cebrzyka i mógł się umyć. Spóźnialszy musieli czekać (nago) aż tamci się umyją – Po kąpieli wszyscy wracali do swoich baraków, w których ci co zostali wysmarowani mazią, nawzajem oczyszczali się szmatami zmoczonymi w wodzie.

W łaźni co dziesięć dni golono nas i strzyżono. Fryzjerzy narodowości rosyjskiej

byli żołnierzami Armii Czerwonej. Pewnego razu siedząc na stołku namydlony i przygotowany do golenia (golono brzytwami) słuchałem gdy mój golibroda opowiadał swojemu koledze, jak to w czasie wojny odbierał, kradł „polaczkom” *cziasy* (zegarki) i jak to trafił raz na mocniejszego od siebie „polaczka”, który nie dość, że nie pozwolił się obrabować, to jeszcze strasznie go pobił. Zamarłem ze strachu słysząc, że od tamtej pory ów fryzjer nie cierpi „polaczków” i chętnie by ich wszystkich *rezał*. Milczałem jak zaklęty, byleby tylko on nie poznał po moim akcencie, że nie jestem Rosjaninem, bo mogłoby to moje golenie skończyć się tragicznie. Gdy zszedłem ze stołka, nogi miałem jak z waty. Całe szczęście, że nigdy potem już go nie widziałem.

W dni wolne od pracy musieliśmy naprawiać swoją odzież i obuwie (później zajmowały się tym specjalne brygady szewców i krawców). Pracowaliśmy też wokół baraków grabiąc ziemię, okopując baraki itp. Czasami nawet budowaliśmy nowe baraki, powiększając tym samym nasz i tak już duży obóz. W czasie mojego tam pobytu powstały: piekarnia, różnego rodzaju magazyny, składowiska, pomieszczenia dla szewców, krawców, pralnia. Rozbudowano wtedy bocznice kolejową, kuchnię i mur, który oddzielał zaplecze obozu od baraków mieszkalnych. Takie „wypoczynki” mieliśmy co dziesiąty dzień. Jedyna ulga to to, że nie musieliśmy wychodzić za zonę i wędrować do miejsca pracy kilka kilometrów.

Zaczął się rok 1949. W obozie panował terror i reżim. Po przyjściu z pracy byliśmy zamykani w barakach na kłódki i rygle zewnętrzne. Codziennie robiono rewizje. Nawet chorych więźniów pędzono do pracy. Nie ruszano tylko tych, którzy nie mogli podnieść się własnych siłach z nar. Zamykano nas w karcerach pod byle pretekstem. Konwojenci, którzy pilnowali nas gdy szliśmy do pracy, również znęcali się nad nami. Na porządku dziennym było na przykład to, że wracające z pracy brygady zatrzymywano, więźniom kazano kłaść się na drodze, podnosić się i znowu padać, czasami powtarzano to kilkanaście razy na trasie do lagru. Było strasznie. Któregoś dnia byliśmy już w kolumnie za zoną, przeliczeni i gotowi do wymarszu a tu nagle z jednej kolumny oderwała się jakaś postać w długim, ciemnym płaszczu i zaczęła biec w kierunku konwojentów. Ci ostatni, zaskoczeni zaczęli do zbiega strzelać, ale chybiali a on uciekał dalej. W końcu jeden z naczelników konwoju pobiegł za nim, dogonił go i z kilku metrów zaczął doń strzelać nie trafiając. Po chwili zbieg stanął, odwrócił się twarzą do oficera i krzyknął *ubij ja żyt' nie chaczu*. W odpowiedzi konwojent uderzył go ręką do przodu i kopiąc zapędził go do zony na wachtę. My zaś, po ponownym przeliczeniu, poszliśmy do pracy. Po powrocie do zony dowiedzieliśmy się, że

niedoszły samobójca siedzi mocno pobity przez straż obozową w karczerze. Jak się później okazało, był to jakiś muzyk z Moskwy, który nie wytrzymując psychicznie warunków obozowych, próbował w ten sposób zakończyć swe życie. Przed ucieczką, przez kilka miesięcy był w brygadzie „muzyków”, która dzień w dzień przygrywała nam na rozwodzie, ale za jakieś przewinienie przeniesiono go do brygady roboczej (widocznie pożegnanie z ulubionym zawodem i przejście do ciężkiej pracy zmusiły go do tak desperackiego czynu). Co się z nim później stało – nie pamiętam.

Konwojentami byli żołnierze NKGB (*Narodnyj Komisariat Gosudarstwiennoj Bezopastnosti*) – Narodowego Komisariatu Państwowego Bezpieczeństwa – ludzie młodzi, specjalnie szkoleni i podszuczowani przez starych politruków, którzy wychowywali ich w duchu nienawiści do narodów podbitych i zawładniętych przez sowiecki reżim.

W obozie istniała komórka śledcza składająca się z wolnych śledczych i prokuratorów. Organizowali oni wewnątrz obozu siatki swoich konfidentów, składające się z więźniów, którzy za 100 lub 200 dkg chleba donosili im, co się mówi w obozie i co się dzieje wśród więźniów. Więźniowie z kolei, gdy wykryli donosiciela, zabijali go lub przez pobicie kaleczyli. Przez tych donosicieli sypały się wyroki za narzekanie na sowiecki rząd lub za sabotaż. Atmosfera była nie do zniesienia.

Kto był chory, szedł do lekarza. Leczenie odbywało się błyskawicznie. Na bóle głowy stosowano smarowanie czoła jodyną, chory na żołądek z kolei, smarowany miał jodyną brzuch, boląca ręka, noga czy nos też były smarowane tym cudownym specyfikiem. Inaczej leczono gorączkę. Tu po prostu zanurzano choremu głowę w wiaderku z zimną wodą dla *prochłady*. Chory z temperaturą 40° mógł nie iść do pracy, ale w myśl ideologii sowieckiej *kto nie rabotajet, tot nie kuszajet* (kto nie pracuje, ten nie je).

Wiosną 1949 r. w dni wolne od pracy wznosiliśmy mur z samanów wokół naszych baraków, a tym samym oddzielaliśmy się od świata zewnętrznego. W przeciągu jednego lata, obóz nasz obwarowany został murem o wysokości około 5 metrów, Oprócz tego, tak zewnątrz, jak i wewnątrz, był przeciągnięty drut kolczasty, bardzo gęsto przeplatany. Na murze, co parę metrów, wbudowana została wieża strażnicza z reflektorami i drutem kolczastym znajdującym się pod napięciem. Kto zbliżył się do drutu na odległość ręki, był bez uprzedzenia strażnika zastrzelony (lub raniony).

Wszystko to wykańczało więźniów, słabsi fizycznie umierali z głodu lub

wycieńczenia, słabi psychicznie popadali w depresje lub wariowali. Na ich miejsce przybywali nowi więźniowie. Tak też nigdy baraki nasze nie świeciły pustkami, zawsze było nas w przybliżeniu tyle samo.

Za naszym murem, z zewnętrznej strony, znajdował się olbrzymi obóz żeński, w którym obowiązywała taka sama dyscyplina, jak u nas. Oficjalnie nie wolno nam było nawiązywać żadnych znajomości, jednak korespondencję utrzymywaliśmy regularnie, przerzucając przez mur listy (kamień zawinięty w zapisany papier). W wypadku przyłapania na tego rodzaju konszachtach groziła izolotka co najmniej trzydniowa. Kobiety zza muru również pracowały na budowie, ale w innej części miasta.

Wśród więźniów znajdowały się osoby różnych narodowości: Ukraińcy z naszych ziem wschodnich i sowieckiej Ukrainy, Rosjanie, Uzbegy, Czeczeni, Ingusi, Gruzini, Ormianie, Kazacy, Kałmcy, Mongołowie, a także Polacy, Czesi, Węgrzy, Niemcy, Rumuni, Mołdowianie, Litwini, Łotysze, Estończycy, Japończycy, Jugosłowianie, Austriacy, Chińczycy. Z czasem zaczęły narastać zatargi i antagonizmy między rasą czarną a białą. Do czarnych zaliczani byli: Kazacy, Uzbegy, Czeczeni, Ingusi, Gruzini, Mongołowie. Nie byli oni oczywiście rasą czarną w sensie grup antropologicznych, lecz w obozie nazywani tak byli przez Rosjan i określenie to przejęli Europejczycy. Kałmcy, Kazacy, Uzbegy, Czeczeni, Ingusi, Gruzini to narody należące do Związku Sowieckiego, nienawidzący Rosjan i ich zaborczości jeszcze bardziej niż my. Nie mogli oni też pogodzić się z zachodnimi narodami, zazdrościli im kultury, techniki, cywilizacji oraz wolności i dobrobytu. Atmosfera stawała się więc coraz bardziej napięta. Początkowo dochodziło tylko do indywidualnych bójek, z czasem jednak przerodziły się one w grupowe starcia, aż pewnego dnia po pracy w obozie, nie daliśmy się zamknąć w barakach, lecz ustawiliśmy się na placu – biali po jednej stronie, czarni po drugiej, wszyscy przygotowani do walnej rozprawy, ostatecznej walki o prymat w obozie. Wolni strażnicy, przeczuwając jakąś rozrębę, wzmocnili strażę (dodatkowi strażnicy i karabiny maszynowe). Sytuacja stała się bardzo groźna dla wszystkich. Strażnicy czekali tylko na jakąś awanturę, mogliby wtedy puścić parę serii z karabinów maszynowych w stronę znenawidzonych więźniów politycznych. Rozsądek więźniów jednak zwyciężył. Znalaziono proste rozwiązanie. Pobili się po prostu tylko przywódcy naszych obozów tj. rosyjski lotnik Iziunow (biali) i jakiś Czeczen (czarni). Zwyciężył Iziunow, zabijając swego przeciwnika drągiem służącym do noszenia na plecach beczki z gorącą i zimną wodą. Od tego czasu byliśmy górą, co przejawiało się w tym, że zajmowaliśmy lepsze i wygodniejsze baraki, wykonywaliśmy

lżejsze prace. Warto w tym miejscu powiedzieć kilka słów o człowieku, dzięki któremu zwyciężyliśmy. Iziunow był rosyjskim lotnikiem, odsiadującym dwudziestoletni wyrok za zabicie swojej żony. Zabił ją w zmyślny sposób. Chcąc się jej pozbyć zaprosił ją na przelot małym, odkrytym dwuosobowym samolotem. Przed startem automatycznymi pasami bezpieczeństwa zapiął tylko siebie. Wzniósł się w górę i lecąc nad lasem wykonał przewrót. Jak łatwo się domyślić, żona wypadła i zabiła się. Wszystko było doskonale zaplanowane, jego zbrodnia z pewnością nie wyszłaby na jaw, gdyby nie fakt, że mechanik widział go jak startował z żoną a powrócił bez niej. Bez wahania zgłosił to NKGB i wkrótce wyrok zapadł. Iziunow został osądzony nie tylko jako morderca, ale i polityczny, ponieważ jego żona zajmowała wysokie stanowisko partyjne i państwowe.

W obozie tym spotkałem kilku Polaków: Janka Włodarczyka z Lidy (woj. wileńskie), Heńka Urbanowicza z Sambora, Grygosia, również z Sambora, Józka Kajzera (prawdopodobnie z woj. kieleckiego), Stanisława Seryca (księgowego z woj. wileńskiego), Zygmunta Cielińskiego z Drohobycza i wielu innych wspaniałych Polaków, których nazwisk już dziś nie przypominam sobie. Większość z nich sądzona była za powiązania z AK, kilku za tzw. agitację przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Wyroki ich były różne, od 5 do 25 lat. W sumie było nas tam około pięćdziesięciu.

Pod koniec 1949 r. lub na początku 1950, w którymś z transportów, jakie od czasu do czasu przybywały do naszego obozu, przyjechało wielu więźniów pochodzenia żydowskiego. Byli to ludzie bardzo młodzi, w wieku od 19 do 25 lat, wśród nich sporo studentów. Pochodzili głównie ze Lwowa lub woj. lwowskiego. Wszyscy skazani zostali na kary od 10 do 20 lat obozów sowieckich. Aresztowano ich za staranie się u władz sowieckich o zezwolenie na wyjazd do nowo powstałego państwa Izrael. Z przyjemnością nawiązałem z nimi kontakt. Byli mi bliscy z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że odważnie występowali o swoje prawa. Po drugie byli moimi krajanami (Borysław leży 96 km od Lwowa). Z jednym z nich zaprzyjaźniłem się. Był młodszy ode mnie o dwa lub trzy lata. Pewnego razu (było to w niedzielę) przyszedł do mnie, aby w tajemnicy opowiedzieć mi swoją historię. Otóż przyjechała do niego matka, przywiozła mu dodatkową żywność, którą otrzymał za pozwoleniem naczelnika obozu a pośrednictwem dyżurnego. Zezwolenia na widzenie z matką nie dostał, nie poskutkowało także prośba matki, która starała się o to w Moskwie (chodziła do generalnej prokuratury, ale niestety nie pozwolono jej na widzenie się z synem i w Dżekazganie widywała go tylko z daleka, gdy wychodził do pracy i gdy z niej wracał).

Nie mogli więc skontaktować się osobiście. Kolega mój był chory na gruźlicę i z tego powodu otrzymał w tej paczce słoje z psim smalcem zmieszany z miodem (wówczas psi tłuszcz uznawano za doskonały lek przeciwgruźliczy) oraz... dobrze zamaskowany gryps. Matka informowała mego kolegę, że nawiązała kontakt z jakimś wolnym młodym człowiekiem z Dżekazganu, który za niewielką opłatą postara się dostarczyć przez zonę owinięty w szmatkę list i pieniądze. Aby to wszystko przetrwać miało to być obciążone kamieniem. Po dłuższym zastanowieniu postanowiono, że przechodząc w miejscu, w którym dozwolone jest przejście dla ludzi wolnych (niedaleko murów obozowych), chłopak powinien – nie zauważony przez strażników stojących na wyżkach i zwróconych twarzą do obozu – przetrwać przesyłkę. Problem cały tkwił w tym, czy pakunek przeleci przez tak wysoki mur, przez pas ochronny, który jest ogrodzony drutem kolczastym, a jeżeli tak, to czy upadnie w takiej odległości, która pozwoli na szybkie jego „zwinięcie” (z tej strony będzie on widoczny dla strażnika znajdującego się w wyżce). Przesyłka padając zbyt blisko, nie będzie mogła być odebrana z uwagi na to, że stojący na górze strażnik zobaczy poruszenie i na pewno będzie strzelał (za zabitego więźnia dostawali nagrodę, jak sami się chwalili, wołając czasami do idących, aby zbliżyli się do zony, a oni z przyjemnością pozbawią ich życia i dostaną urlop oraz pieniądze). W liście tym było również napisane, że przetrzut nastąpi w sobotę po południu (przed zapadnięciem zmroku, aby można było go odnaleźć podczas wychodzenia do stołówki na posiłek, kiedy to jeszcze nie jesteśmy zamknięci w barakach). Zwierając mi się z tego wszystkiego, zapytał, czy nie mógłbym odebrać tej przesyłki, ponieważ – jak otwarcie powiedział – sam się po prostu będzie bał, nie czuje się na siłach, nogi ze zdenerwowania, jak twierdził, odmówią mu posłuszeństwa. Rozumiałem go doskonale i wcale mu się nie dziwiłem. Chłopak ten zaś, wiedząc na jakie ryzyko naraża się odbierając przesyłkę, zgodził się oddać mi połowę z wartości przetrzuconych pieniędzy. Oczywiście zgodziłem się bez wahania, była to okazja jedyna w swoim rodzaju – mogłem zarobić parę groszy na dodatkowy chleb. Ryzyko było duże, ale nie aż takie, żeby zrezygnować z nadarzającej się szansy. Miałem jeszcze parę dni na obserwację strażnika na wyżce, jak również na zastanowienie się, jak należy postąpić; jaką obrać strategię, by paczkę odebrać całym i zdrowym. Na szczęście matka kolegi była na tyle sprytna, że dokładnie określiła w liście wyżkę strażnika, koło której miała upaść przesyłka. Kiedy nadeszła wreszcie oczekiwana chwila, plan miałem gotowy, opracowany do ostatniego szczegółu. Ponieważ kolega wyraźnie zapowiedział, iż nie będzie mi w ogóle pomagał, działać musiałem zupełnie sam. Tuż przed

oznaczonym terminem przerzutu kazałem dwóm innym moim kolegom stanąć po przeciwnej stronie padającego kamienia tak, by strażnik nic nie mógł im zrobić, ale żeby był zaintrygowany ich obecnością i zachowaniem. Obiecałem im oczywiście po pajce chleba na głowę za dobrze wykonane zadanie. Sam schowałem się za barak i zza rogu obserwowałem bacznie dyżurnego oraz ewentualne pole lotu kamienia, rzucając od czasu do czasu okiem na kolegów, czy nie mają przypadkiem jakichś kłopotów. Kombinowałem tak: jeśli paczka upadnie w odległości jednego metra od drutu, dostanę ją szybko patykami, na końcu którego przymocowałem poprzeczną deszczuleczkę, jeśli strażnik w tej chwili będzie patrzył w przeciwną stronę, czyli na kolegów, będę się starał odebrać ją po cichu; jeżeli natomiast będzie patrzył w moją stronę, rzucę się jak najszybciej po przesyłkę. Podejrzywałem, że zaskoczony moim gwałtownym ruchem strażnik, podnosząc broń, odwróci się na pewno w stronę moich dwóch kolegów w przekonaniu, że oni mają zamiar coś zrobić, ja zaś jestem podstawiony tylko dla prowokacji. Zanim z gotową do strzału bronią skieruje z powrotem wzrok na mnie, ja będę już w strefie bezpiecznej. Wszystko to, to były moje teoretyczne przypuszczenia. Nie wiedziałem, jak będzie to wyglądało w rzeczywistości. Denerwowałem się bardzo. Po chwili nadleciał pakiecik. Strażnik patrzył w tym momencie na moich kolegów. Cicho skradłem się pod drut kolczasty i szybko wyciągnąłem rękę po pakiecik. Chwyciłem go i błyskawicznie wróciłem na swoje miejsce. Poczulem na sobie zdziwiony wzrok strażnika, który nie mógł się zorientować po co wykonałem taki manewr. Krzyknął tylko do mnie: *doigrasz sia so mnoj* (doigrasz się ze mną) i grożąc automatem pokazywał ręką na pierś, co miało oznaczać, że tam mnie trafi seria puszczona z jego automatu. Byłem szczęśliwy, że akcja moja udała się, strażnikowi zaś pokazałem ręką miejsce z tyłu poniżej krzyża, gdzie może ewentualnie strzelić i trafić.

W baraku czekał z niecierpliwością, równie zdenerwowany jak ja, mój kolega oraz dwaj moi pomocnicy, którzy zdążyli przede mną wbiec do baraku. Pierwszy czekał na rezultat moich działań, drudzy na obiecany chleb. Ja cieszyłem się podwójnie, po pierwsze z zarobionych pieniędzy (otrzymałem wówczas 500 rubli), po drugie zaś z tego, że wyprowadziłem w pole strażnika. Kwota pięciuset rubli była dla mnie ogromną pomocą, pozwalając na dodatkowe dokupywanie chleba oraz innej żywności przez co najmniej kilka dni. Dwaj moi pomocnicy cieszyli się z otrzymanego dodatkowego chleba, a trzeci był najszczęśliwszy, ponieważ oprócz pieniędzy, dostał od swojej matki nieocenzurowany list.

Trzeba podkreślić, że Polacy byli jedynym narodem, który w nieszczęściu

potrafił się doskonale zorganizować i nawzajem sobie pomagać. Rosjanie, tak wolni jak i aresztanci, nienawidzili Polaków. Twierdzili zawsze, że tam, gdzie jest dwóch Polaków, zawiązuje się już tajna lub jakaś inna organizacja. Rzeczywiście, potrafiliśmy się zorganizować; gdy któryś z brygadzystów za bardzo gnębił kogoś z naszych, natychmiast pojawiała się u niego nasza delegacja, która „dobrze mu radziła”, aby przestał tak postępować. Gdy to nie odnosiło pożądanego skutku, dochodziło do egzekucji (biliśmy takiego delikwenta). Pamiętam, że pewnego razu musiałem interweniować u Polaka brygadzysty (na wolności był księdzem), który znęcał się nad innym Polakiem (swoim robotnikiem), każąc mu wykonywać najcięższe prace (pragnął w ten sposób udowodnić, że nie wyróżnia swojej nacji). W trakcie mojej z nim rozmowy obiecał zmienić swoje postępowanie i dotrzymał danego mi słowa. Ów ksiądz i robotnik pochodzili z woj. wileńskiego. Ich nazwisk nie pamiętam, robotnik miał na imię Henryk, był z AK (zasądzono go na 15 lat obozów). Innym przejawem owej solidarności było to, że gdy ktoś dostawał paczkę żywnościową z domu (wielu Polaków zamieszkałych na terenach zagarniętych przez Sowieców po ostatniej wojnie otrzymywało taką pomoc), dzielił się ze swymi kolegami (tylko nieliczni nie przyznawali się, że dostali paczkę, dożywiali się nocą, bo było im wstyd).

Od 1949 r. można było otrzymywać z domów paczki oraz listy (dwa na rok). Gdy naczelnik obozu chciał kogoś ukarać, wówczas wstrzymywał mu pozwolenie na paczki i listy. W naszym obozie najczęściej było Ukraińców mieszkających na dawnych ziemiach polskich. W ogromnej większości byli oni związani z UPA (ukraińska partyzantka). Za naszym przykładem oni również się zorganizowali. Jak na wolności nienawidziliśmy się, tak w więzieniu, w obozach, współzycie między nami układało się na ogół dobrze. Wspólne nieszczęście łączy. Zawsze zazdrościli nam, że mamy swoją ojczyznę, wprawdzie „czerwoną” i pod nadzorem sowieckim, ale zawsze to Polska. Ubolewali nad losem swojego narodu, że nie udało im się wywalczyć niepodległości. Przedstawiciele innych nacji (Łotysze, Estończycy, Ormianie, Czeczeni, Ingusi, Gruzini i inni) również marzyli o wolności.

Tak mijały miesiące i lata w pracy, głodzie, chłdzie i wyczerpaniu fizycznym. Nadszedł rok 1950. Nadal budowaliśmy to przeklęte miasto, które pochłonęło wiele istnień ludzkich (wybudowane przez niewolników, a nie jak głosiła sowiecka propaganda przez komsomolców radzieckich). Zresztą nie tylko to miasto my wybudowaliśmy. Biełomor kanał, linia kolejowa przechodząca przez cały Sybir, wszystko to powstało dzięki rękom setek tysięcy więźniów politycznych Związku

Sowieckiego. Spotykałem ludzi starych, schorowanych, zniszczonych pracą i niedostatkiem obozowych warunków, spotykałem inwalidów, którzy opowiadali o wielkich budowach Związku Sowieckiego i o sobie, od lat nieszczęśliwych niewolnikach. W dżekazgańskim lagrze spotkać można było ludzi o różnych zawodach, różnym wykształceniu, inteligencji, pochodzących z różnych stron Europy i Azji. Byli wśród nas muzycy, pisarze, poeci, aktorzy, pracownicy Centralnego Komitetu Moskiewskiego, prokuratorzy, adwokaci. Na próżno oczekiwaliśmy amnestii dla więźniów politycznych. Różne pocieszające nas pogłoski na ten temat krążyły, niestety, tylko na nich się kończyło.

W 1950 r. zacząłem się interesować tymi więźniami, którym niewiele już pozostawało do końca wyroku lub go skończyli. Ci, którzy karę odsiedzieli, a poznałem dwóch takich szczęśliwców, zostali z obozu wywiezieni, dokąd – nie wiedzieliśmy. Po roku otrzymaliśmy od jednego z nich wiadomość – pisał do nas z Sybiru. Był to Rosjanin mieszkający niegdyś w okolicach Leningradu. Gdzie Rzym, gdzie Krym – domyśliliśmy się więc, że po odsiedzeniu wyroku władze radzieckie swoich do domów nie puszczają. Potwierdziły się tym samym pogłoski, że polityczni nie wracają na wolność do normalnego świata, lecz zsyłają ich na Sybir. Podejrzewaliśmy, że i nas spotka coś podobnego. Jako Polak miałem tylko cichą nadzieję, że może mi się uda wrócić do kraju, może rząd polski będzie pamiętał o obywatelach, którzy walczyli o niepodległość ojczyzny i postara się o pozwolenie na powrót do kraju. Zresztą za wcześnie jeszcze było o tym marzyć. Czekano mnie jeszcze wiele dni więzienia. Piszę dni, ponieważ w obozie już pod koniec wyroku nie operowało się pojęciami rok, lata, ale wszystko przeliczało się na dni. To poprawiało samopoczucie, lepiej brzmiało.

W obozie naszym był barak dodatkowo okrążony drutem kolczastym, o oknach zabitych deskami, z pozostawionym tylko niewielkim otworem „wentylacyjnym”. Korytarze w nim były zupełnie ciemne, a cele specjalnie zaciemnione. Więźniowie siedzący w tym karnym baraku pozbawieni byli spacerów na wolnym powietrzu. Zamykano do niego tych, którzy w jakikolwiek sposób narazili się władzom obozowym. Skazywani oni byli na karę od dwóch tygodni do trzech miesięcy tego baraku (więzienie w obozie). Śledczy, na wniosek naczelnika obozu, miał prawo zasądzić lagiernika na taką odsiadkę. Należy zaznaczyć, że były to wyroki wewnętrzne, obozowe, za niepodporządkowanie się reżimowi obozowemu lub naruszenie go, wyroki dodatkowe, stosowane niezależnie od wyroku sądowego. Można było tam więc trafić za bójki, za tzw. „pyskówki” (obrażanie strażników lub innych ludzi wolnych, z którymi

więźniowie spotykali się na co dzień w pracy), za systematyczne opuszczanie pracy, niewykonywanie norm, za podejrzenie o przygotowanie ucieczki, pobicie konfidenta obozowego itp.

Najcięższe kary stosowane były za pobicie konfidentów, którzy za dodatkowy kawałek chleba donosili śledczemu lub naczelnikowi o rozmowach toczonych w barakach. Polacy znani byli z umiejętności szybkiego rozpoznawania różnego rodzaju „słuchaczy”, których śledczy starał się wszędzie wetknąć (przynajmniej jednego do każdej brygady, a jak nie, to jednego na jedno pomieszczenie, w którym mieszkały dwie, trzy brygady). Konfidenti kręcili się najczęściej w stołówkach, barakach przy wieczornych rozmowach po pracy, na obozowych bazarach odbywających się w dni wolne od pracy.

Na bazarach można było kupić różne „cenne” rzeczy. igłę do szycia zrobioną z rybiej ości lub drutu, daszek do czapki, garnitur z kapeluszem włącznie, krzesiwo składające się z kawałeczka ciemnej waty (z kufajki), gilzy, kamienia twardego i metalu do wytwarzania iskry przez pocieranie o kamień. Zdarzały się też marynarki pamiętające jeszcze wolność, także spodnie, swetry, koszule, kawałki metalu wyszlifowane na kamieniu i służące za noże. Można także było nabyć żarna ręczne – dwa kamienie (jeden płaski większy, drugi mniejszy, oba z wyciosanymi poprzecznymi rowkami) służące do tarcia zboża na mąkę lub krupę (większy kamień opierano jedną krawędzią o rozścieloną kufajkę, drugą o brzuch i posypując powoli zbożem tarło się drugim kamieniem). Na naszych bazarach głównie kwitł handel wymienny, ale można było też kupować za gotówkę (w końcu 1949 r. i w 1950 r. można było dostawać od rodziny pieniądze). Oficjalnie jakkolwiek handel był zabroniony, ale nie przestrzegaliśmy tego zakazu. Strażnicy, chcąc dorobić do pensji, starali się złapać handlujących na gorącym uczynku i odebrać im towar. Czasami nawet im się to udawało, ale trzeba przyznać, że bardzo rzadko.

Aby ulżyć swej niedoli, starałem się zawsze dostać do brygady wykonującej lżejsze prace. Mogły to być prace niebezpieczne, byleby nie wymagały tak ogromnego wysiłku fizycznego. O pracy umysłowej nie było nawet co marzyć. Przy tak wielkiej budowie, jak ta w Dżekazganie można było „wybierać” w rodzajach prac fizycznych – były cięższe i lżejsze, mniej lub bardziej bezpieczne. Na ogół za prace mniej bezpieczne a lżejsze fizycznie dostawało się te same racje pokarmowe i nagrody, co w wypadku prac cięższych (ilość normalnej dziennej porcji chleba plus dodatek za pracę 10, 20 lub 30 dkg chleba i 20 gram rzadkiej kaszy). Do najbardziej wyczerpujących prac

zaliczaliśmy kopanie rowów, noszenie ziemi na nosilkach lub cementu wiadrami i podawanie ich murarzom. Dzięki rozmaitym kombinacjom udało mi się dostać do brygady nr 325, zajmującej się kopaniem studni o różnych głębokościach, od 3 do 12 m, do których wkładano później środki wybuchowe, zasypywano je ziemią i wysadzano, łącząc przedtem jeszcze wszystkie studnie jednym sznurem detonującym. Powodowało to ogromny wybuch na bardzo dużej przestrzeni. Środkami wybuchowymi dysponował wolny majster, tzw. *wzrywatiel*. Teren był skalisty i twardy, dlatego więźniowie wiercili przy pomocy świdrów pneumatycznych otwory głębokości ok. 40 cm. Do tych otworów *wzrywatiel* wkładał środki wybuchowe, łączył je lontem, zasypywał ziemią, podpalał i szybko stamtąd uciekał. Po kilku sekundach następował wybuch kruszący skały. Więźniowie zgarniali łopatami gruz i wszystko powtarzano jeszcze kilkakrotnie, aż uzyskano odpowiednią głębokość. Praca przy ciągłym wysadzaniu studni była stosunkowo bezpieczna, póki dziura nie przekraczała dwóch metrów. Do takiej głębokości bowiem *wzrywatiel* nie miał problemów z oddaleniem się od zagrożonego miejsca. Przy głębszych studniach budowało się na powierzchni dwa stojaki z poprzeczną belką owiniętą sznurem, na końcu którego było wiaderko. Spuszczało się je w głąb otworu, a znajdujący się tam robotnik wrzucał do niego ziemię pozostałą po poprzednim wybuchu. Z „techniki” tej korzystał również *wzrywatiel* – po zapaleniu lontu stawał on na wiaderko i trzymającego się liny wyciągano go na powierzchnię, gdzie wraz z dwoma więźniami usuwali w bezpieczne miejsce wyciągarkę i opuszczali zagrożony rejon. Przy tej technice zawsze istniała obawa, że lina wyciągarki się urwie albo stojak przewróci, co mogło zakończyć się dla *wzrywateľa* tragicznie (wolny *wzrywatiel* obawiał się też, że złośliwi więźniowie specjalnie nie wyciągną go ze studni). Bez żadnych kłopotów dogadałem więc się z naszym *wzrywatelem*, że przy głębszych studniach ja będę wykonywał jego robotę, w zamian za co on będzie mi przynosił codziennie 30 dkg chleba, co dla mnie, przy tak głodowej racji więziennego wikt, stanowiło poważny dodatek żywnościowy.

Pracowaliśmy razem przez kilka tygodni – on szczęśliwy, że pozbył się niebezpiecznej pracy, ja zadowolony z dodatkowego jedzenia i lekkiej pracy. Umowa nasza była zawarta bez wiedzy *naczalstwa*, które nigdy nie zgodziłoby się na taką zamianę, ponieważ dawało to więźniom dostęp do materiałów wybuchowych, a tym samym stanowiło poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa dozoru obozowego.

Pewnego dnia po przyjeździe na miejsce pracy koledzy spuścili mnie do studni. Miałem ze sobą sześć lasek materiału wybuchowego i odpowiednią ilość sznura

detonującego. Głębokość studni wynosiła wtedy około dziewięciu metrów. Gdy byłem już na dnie, włożyłem no dwie laski dynamitu w otwór, połączyłem sznurem i podpaliłem jego końcówki. Mając kilka sekund czasu, spokojnie włożyłem jedną nogę do wiadra, drugą oparłem o jego brzeg i szarpnąłem za sznur, dając tym samym kolegom na górze znak, że mogą mnie wyciągać. Zaczęli więc mnie wyciągać. Gdy byłem mniej więcej w połowie studni, sznur nagle się zerwał a ja zleciałem z wiaderkiem na dół. W pierwszej chwili, oszołomiony wypadkiem nie wiedziałem co się stało, lecz już w następnej sekundzie uzmysłowiłem sobie, że zaraz nastąpi wybuch. Zmartwiałem. Pierwszą moją myślą było, by wyrwać palący się sznur. Niestety, było już za późno. Z wierzchu ze sznura pozostał tylko popiół, sznur palił się już pod ziemią. Spojrzałem w górę, koniec liny wisiał bardzo wysoko, moich kolegów (Węgier Waśka, Rosjanin Iwan) ani śladu. Błyskawicznie zacząłem drapać się do góry opierając się nogami o jedną stronę studni a plecami o drugą, pomagając sobie przy tym rękami. Ile trwała ta wspinaczka, nie wiem. Wybuch nastąpił w chwili, gdy byłem już na górze i zdążyłem uciec parę metrów od studni. Drobne kamienie oraz opadający żwir uderzyły mnie w plecy, nie zrobiły mi jednak większej krzywdy, ani poważniej nie zraniły. Oprzytomniawszy, zacząłem gonić ze złością uciekających dwóch kolegów, którzy ze strachu, że nic mi już nie pomoże, zamiast spuścić mi sznur, opuścili swoje stanowisko i zaczęli uciekać, krzycząc *pogib Adam, rozorwało jewo* (zginął Adam, rozerwało go). Po kilkunastu metrach upadłem wycieńczony. Plecy, dłonie oraz stopy miałem zdarte do krwi. Na szczęście skończyło się na strachu, a później na śmiechu moich kolegów z brygady, którzy gonitwę naszą obserwowali z bezpiecznego ukrycia.

Po tym wypadku zażądałem od mojego *wzrywatiela* podwojenia porcji chleba za niebezpieczną pracę, na co on chętnie przystał, a ja zadowolony z takiego obrotu rzeczy pracowałem jeszcze przez kilka tygodni na tym stanowisku.

W obozie były też organizowane tzw. OK, czyli *oddychajuszczce komandy* (odpoczywające drużyny). Wybierano z brygad roboczych ludzi słabych i wycieńczonych głodem lub nadmierną pracą, słowem *fitili* i tworzone z nich brygady 60 – 70 osobowe, zamykano ich do oddzielnych baraków, nie zmuszano do pracy i nie wypuszczano na dwór. Brygady te lepiej też karmiono, dawano zwiększoną rację chleba, gęściejszą zupę i na dodatek jedną łyżkę oleju jadalnego dziennie. Człowiek, który cały czas był zmuszany do ogromnego wysiłku fizycznego, systematycznie głodzony, nie wysypiał się, nie wypoczywał, szykanowany był przez konwojentów i nadzór obozowy nagle izolowany, zamknięty w baraku, nie terroryzowany przez

nikogo, otrzymujący zwiększoną porcję żywności, mający możliwość wyspania się, poprawiał się bardzo szybko. Po trzech tygodniach takiego „sanatorium” przychodziła komisja, skład której znany nam już jest z poprzednich wzmianek i kwalifikowała „pensjonariuszy” z zależności od ich wyglądu zewnętrznego. I i II grupę wysyłano przeważnie do kopalni węgla lub rudy żelaznej.

Marzeniem każdego *fitila* było dostanie się do takiej brygady, jak mówiono „na wyzerkę”. Nikt nie pragnął natomiast wyjazdu na etap i skierowania do ciężkiej pracy w kopalni. Najczęściej jednak zwyciężała owa chęć, *by chotia raz nažratsia i pospat', a patom možna podochnut* (choć raz nażreć się i wyspać, a później można nawet zdechnąć). Miałem szczęście i ja dostać się do takiej brygady, ale muszę przyznać, że nie mieli tam ze mnie pożytku, ponieważ nigdy nie dostałem po kuracji I lub II grupy. Jak zwykle trochę kombinowałem, zamierzony cel osiągałem w bardzo prosty sposób. Przez dwa tygodnie zjadałem wszystko, co dawali i świetnie wypoczywałem a na trzeci tydzień połowę ze swojego posiłku oddawałem koledze. Jak na początku szybko się poprawiałem, tak przy końcu, gdy odmawiałem sobie jedzenia, wygląd mój na tyle się pogarszał, że dostawałem III kategorię. Po komisji wyrzucano mnie ponownie do mojej starej brygady, obiecując że już nigdy nie będę skierowany do OK.

W pracy udało mi się zawrzeć bliską znajomość ze stolarzem (Ukraińcem z zachodniej Ukrainy). Kiedy ludzie z mojej brygady rozchodzili się do swoich prac, ja znikalem w pomieszczeniu stolarza, kładłem się na deski wiszące pod sufitem i spałem tam po kilka godzin dziennie. Mój brygadier i jego pomocnik nigdy nie mogli mnie znaleźć. Za karę dostawałem zawsze *sztrafhoj pajok*, ale wolałem to niż ciężką pracę. Sielanka moja trwała kilka tygodni. Któregoś dnia drut podtrzymujący suszące się deski urwał się i ja wraz z nimi runąłem na ziemię. Schronienie moje zostało odkryte, mnie i stolarza zawieziono do szpitala (spadając przygniotłem go, obaj byliśmy mocno potłuczeni). Po wyjściu ze szpitala trafiłem do karnej brygady na pięć tygodni, stolarza zaś wysłano na trzy dni do karceru. Po odsiedzeniu kary pracował nadal w swojej brygadzie i na swoim stanowisku.

W obozie najgorszym okresem dla organizmu był zawsze koniec zimy, początek lata. Wiosny w tym rejonie nie odczuwało się, po mroźnej, ostrej zimie następowała szybko odwilż. Pod wpływem gorącego słońca, nie przysłoniętego chmurami, olbrzymie masy śniegu błyskawicznie znikały. Zaczynało się gorące, upalne lato. Na skutek ciągłego głodu, braku witamin, przemęczenia, następowało nagle osłabienie u wszystkich więźniów. Zdarzało się, że śmialiśmy się wieczorami sami z siebie,

opowiadając sobie, kto ile razy schylał się w pracy po grudkę ziemi myśląc, iż to okruszynka chleba.

Aby przeżyć, trzeba było stale kombinować, wymyślać, jak zdobyć dodatkowy kawałek chleba. W trakcie różnych takich rozmyślań przypominałem sobie, jak żołnierze rosyjscy w 1944 r., po zajęciu naszych ziem, handlowali z ludnością polską. Wyglądało to tak. Żołnierz sowiecki kradł komuś rower (lub inny wartościowy przedmiot), sprzedawał go w najbliższej miejscowości (często też nawet sąsiadowi poprzedniego właściciela) za samogon lub żywność czy też zegarek i odchodził. Po krótkim czasie przychodziło dwóch lub trzech żołnierzy (będących w zмовie ze sprzedającym żołnierzem) do niedawnego nabywcy oświadczając, że zginął im ten przedmiot i kategorycznie żądając jego zwrotu. Przestraszony nabywca natychmiast zwracał ową rzecz, a zadowoleni żołnierze odchodzili i później powtarzali to samo w innych miejscowościach, śmiejąc się z „naiwnych polaczków”. W 1945 r. jeden żołnierz, który siedział ze mną w celi w więzieniu w Drohobyczu, opowiadał, że czasami jedną i tę samą rzecz sprzedawali tak kilka razy.

Opowiedziałem o tym wszystkim trzem moim najbliższym kolegom, którzy od razu zgodzili się na to, by „zrealizować” moje opowiadanie. Wiedzieliśmy doskonale, że Rosjanom brakuje odzieży, a w obozie za pajkę lub dwie chleba można kupić marynarkę lub spodnie w dobrym stanie. Tak też od znajomego Litwina kupiliśmy marynarkę i wzięliśmy ją ze sobą do pracy. Przy budowie pracowali przecież wolni ludzie, między innymi kierowcy samochodów ciężarowych. Z nimi to prowadziliśmy „naszą grę”. Transakcje przebiegały następująco: podchodziłem do wolnego kierowcy oferując mu kupno po bardzo niskiej cenie marynarki (kupowali zawsze z chęcią, płacąc rublami), po dokonaniu transakcji odchodziłem wskazując kolegom, któremu to kierowcy sprzedałem marynarkę. Po chwili nadchodzili moi współnicy i mówiąc, że kupił przed chwilą skradzioną marynarkę, żądali natychmiastowego jej zwrotu. Przestraszony kierowca bez słowa sprzeciwu oddawał ją nie mówiąc nikomu i nie skarżąc się, ponieważ handel z więźniami był surowo zabroniony a tym ludziom wolnym, których przyłapano by na konszachtach z lagiernikami groziła kara więzienia. Jeżeli był dobry dzień „targowy” – jak żartobliwie takie dni nazywaliśmy – jedną i tę samą marynarkę sprzedawaliśmy kilka razy. Poszkodowany nawet koledze się nie zwierzał ze swojej straty w obawie przed konsekwencjami. Zdobyte pieniądze dawaliśmy zaufanemu wolnemu, który kupował za nie chleb, przynosił wieczorem na budowę (gdy więźniowie byli już w barakach a nadzór odpoczywał), chował w

umówione miejsce a my następnego dnia odbieraliśmy go z kryjówki. Wolny na naszych transakcjach również zarabiał. Wszyscy byli zadowoleni, no, może poza poszkodowanymi kierowcami.

Z początkiem lat pięćdziesiątych dało się zauważyć w naszym obozie pewne formy organizowania się grup narodowościowych. Najprędzej Ukraińcy poszli w ślady Polaków – trzymali się razem, organizowali pogadanki na temat samodzielnej wolnej Ukrainy, śpiewali swoje narodowe pieśni, zaczęli sobie nawzajem pomagać. Węgrzy również zjednoczyli się. Żydzi z kolei, ci którzy pochodzili z naszych dawnych ziem wschodnich, szczególnie z woj. lwowskiego i samego Lwowa, dostawali paczki i pieniądze od swoich rodzin i dzielili się nimi z Polakami, wśród których tylko niewielu otrzymywało jakąkolwiek pomoc.

W 1950 r. do naszego obozu przywieźli Polaka o nazwisku, o ile sobie przypominam, Wierzbicki (imienia nie pamiętam, na pewno pochodził z Warszawy). Przywieźli go z innego obozu i dziwiło nas to, że przywieziono tylko jego samego. Niestety, udało mu się wkraść do naszej grupy. Piszę niestety, ponieważ, jak się później okazało był to zwykły szpicel. Trafił do nas, bo w poprzednim obozie był już spalony i więźniowie chcieli go zabić. W łagrach obowiązywało prawo zwyczajowe – jakiej narodowości był szpicel, ta nacja musiała zrobić z nim porządek, tzn. przemówić mu do sumienia i próbować wychować go, a nawet (gdy nic innego nie skutkowało) zlikwidować takiego typu. Aby przywołać Wierzbickiego do porządku, zgłosiło się trzech Polaków: jeden z woj. wileńskiego, drugi z lwowskiego i trzeci z kieleckiego. Któregoś dnia podczas pracy koledzy zawołali go w zaciszne miejsce i tam mocno pobili. Sądząc, że jest zabity, zaciągnęli go do jednego z licznych na terenie budowy rowów i tam przykryli paroma deskami. Pod koniec pracy strażnicy jednak go znaleźli, żył, ale był nieprzytomny. Zawieźli go do szpitala obozowego. Później, nie chcąc, by go dobito w naszym obozie, wywieźli go do innego obozu. Takich drani władza sowiecka ochraniała, ponieważ byli jej potrzebni jako konfidenci. Wierzbicki, leżąc w szpitalu powiedział, kto chciał go zabić. Nasi koledzy zostali skazani na sześć miesięcy karnego baraku (dwa razy po trzy miesiące). Ponieważ ja przypadkowo znalazłem się w pobliżu miejsca wymierzania kary (o czym doniósł poszkodowany leżąc w szpitalu), mnie również posadzili do BOR-u (*Barak osobowo reżimu* – Barak specjalnego reżimu). Dzięki temu, że moi koledzy solidarnie zeznali przed śledczym, że ja nic wspólnego nie miałem z tą bójką, profilaktycznie przetrzymali mnie w tym baraku tylko dwa miesiące. Koledzy oprócz sześciu miesięcy karniaka otrzymali jeszcze dodatkowy wyrok,

zasądzono ich zaocznie, nie pamiętam jednak ile dodano im do głównego wyroku. Nie martwili się tym zbyt, ponieważ ich pierwsze wyroki i tak były wysokie.

W baraku karnym, w celi, w której nas posadzili był jakiś Rosjanin, nader ciekawa postać. Na pewno warto poświęcić mu parę słów. Pochodził on z jakiejś bardzo bogatej rodziny kupieckiej i – jak sam powiedział – był zawodowym szpiegiem, Przyleciał z Bangkoku do Taszkientu a z Taszkientu przywieziono go jako więźnia do nas, by go *niemno* (trochę) ukarać. Traktowano go specjalnie, jedzenie przynoszono mu z domowej kuchni (gotowała mu żona naczelnika), czasami odwiedzał go komendant obozu, wszystkie jego życzenia były gorliwie spełniane przez obsługę baraku, jako jedyny z nas mógł wychodzić na spacer i jako jedyny miał siennik, codziennie dyżurny przynosił mu papierosy, pytał, jakie jeszcze ma życzenia itp. Słowem, wszyscy się z nim liczyli a on z nikim (nawet komendanta lekceważył i patrzył na niego z pogardą). Nam, jeśli był w dobrym humorze, recytował z pamięci krótkie opowiadania Antoniego Czechowa. Dowiedzieliśmy się też od niego, że przed Bangkokiem pracował w Paryżu jako radca handlowy w ambasadzie rosyjskiej. Jak to określił, pracował na dwie strony i za to został ukarany. Nie martwił się tym, mówił że niedługo znowu wyjedzie za granicę. Wiedział przy tym, iż przedtem jeszcze zabiorą go do Moskwy, trochę posiedzi na Łubiankach, wypowiedają go moskiewscy „fachowcy” i dostanie nowe zadanie. Podejrzewał, że tym razem pojedzie do Londynu. Z uśmiechem mówił, że takich jak on Moskwa nie marnuje – za dużo wydała na jego szkolenie. Fakt, był to doskonale przygotowany do swej pracy człowiek: władał biegle trzema językami (francuski, angielski, hiszpański), był w znakomitej formie fizycznej (codziennie rano ćwiczył), elokwentny i wykształcony (z zawodu był matematykiem). Tak w ogóle był bardzo sympatycznym współwięźniem, wesołego usposobienia, bardzo szybko mijał czas w jego towarzystwie. Trafiliśmy do jego celi, ponieważ to on nudził się samotnie i nie miał nic przeciwko towarzystwu Polaków (mówił, że nas lubi). Niedługo przed moim wyjściem z baraku karnego przyszedł po współmieszkańca naczelnik obozu razem z jednym cywilem. „Nasz szpieg” jeszcze przy nas serdecznie przywitał się z tym ostatnim, a wychodząc powiedział nam, że jego przewidywania się sprawdziły — jedzie do Taszkientu i Moskwy. Prawdę mówiąc zazdrościliśmy mu i wyjścia i jego ciekawego, pełnego przygód życia (czasami wieczorami opowiadał nam co nieco o swoich wyczynach, pracy w Paryżu itp.). My musieliśmy zostać na miejscu.

W obozie, oprócz żelaznej dyscypliny i terroru, głodu i wycieńczenia dokuczały nam strasznie pluskwy, które bezlitośnie żarły nocą, nie dając spać i należycie

wypocząć po trudnym dniu. Po wielu bolesnych doświadczeniach doszliśmy do wniosku, że nie należy zbyt często zmieniać swojego miejsca spania. Pluskwy żarły zawzięcie nowicjuszy, nowo przybyłych przez jeden miesiąc, po tym okresie jakby się uspokajały. Gryzły, ale już nie z taką zawziętością i nie napadały masowo na człowieka. Widocznie po pewnym czasie dana osoba im się „przejadała”, albo były po prostu syte. My ze swojej strony, niejako w odwecie, urządzaliśmy na nie gremialne polowania. Nie dawało to jednak pożądanego rezultatu – spokojna była zaledwie jedna noc, następna już bezsenna – pluskwy gryzły z jeszcze większą zaciętością.

Sześć lat siedziałem w różnych sowieckich więzieniach i obozach i nie spotkałem się z jakąkolwiek formą rozrywki, zorganizowaną dla więźniów przez władze (jedyną rozrywką była dla nas gra w szachy zrobione potajemnie z chleba, była to rozrywka zakazana, za przyłapanie na grze groził karcer). Dopiero latem 1950 r. rozeszła się w obozie wieść, że już wkrótce przyjechać ma do nas kino, mechanik z aparaturą do wyświetlania filmów). Wiadomość ta została dość szybko oficjalnie potwierdzona. Pewnego ranka przy *rozwodzie* naczelnik obwieścił, że w nagrodę za dobre zachowanie i wykonywanie ponad 100% normy w pracy brygady będą mogły (także wyróżniający się poszczególni robotnicy) obejrzeć kilka filmów radzieckich, które będą wyświetlane w stołówce w najbliższy *wychodnoj dzień*, a nawet i w jeszcze dwóch następnych wolnych dniach. Dlatego też zachęcano nas do bardziej wydajnej i ofiarnej pracy, by zasłużyć na taką nagrodę. No i był nowy temat rozmów w obozie, temat na kilka dni. Wśród więźniów zawrzało jak w ulu. Wszędzie słychać było tylko opowieści kto, kiedy i gdzie był ostatni raz w kinie i na jakim filmie. Byli też i tacy (wśród narodów sowieckich), którzy w kinie nigdy nie byli. Ja wówczas nie byłem w kinie przez jedenaście lat (ostatni raz byłem w 1939 r.). Nadszedł wreszcie ten z utęsknieniem oczekiwany *wychodnoj dzień*. Już dzień wcześniej w pracy dowiedzieliśmy się, że kino przyjechało, a wieczorem zebrano nas w stołówce i tam naczelnik po przemówieniu chwającym Stalina jako dobrego „ojczulka”, który nawet dla zdrajców ojczyzny jest wyrozumiały, rozdał odpowiednim brygadzystom bilety. Bilety te otrzymali tylko ci, których brygady wypracowały ponad 100% normy. Wiadomo było, że normy tej uczciwą pracą wyrobić nie można. Wejście więc do kina zależało tylko od sprytu i umiejętności kombinowania brygadzisty. Mój na całą liczącą trzydzieści osób brygadę otrzymał tylko 5 biletów (w tym dwa były już zarezerwowane dla niego i jego zastępcy). Od początku wiedziałem, że na film będę musiał się dostać w jakiś inny sposób. Po rozdzieleniu biletów, późnym wieczorem, a także następnego ranka na

obozowym bazarze można było kupić bilety od robotników, którzy je dostali, ale woleli zjeść pajkę chleba niż obejrzeć film. Niestety, ja nie mogłem pozwolić sobie na kupienie biletu. Musiałem więc wykombinować coś innego. I znalazłem sposób. Otóż w mojej brygadzie był człowiek, który nigdy nie spał w naszym baraku, gdyż należał do tzw. *pryduzków*, ponieważ pracował na „ekskluzywnym” stanowisku – był *chleborezem* (wazył chleb i rozdzielał między brygady – w obozie chyba nie ma lepszego stanowiska). Jego pomieszczenie przylegało do stołówki, w której miano wyświetlać film. Drzwi wejściowe do *chleborezki* znajdowały się na zewnątrz stołówki, natomiast *karmuszka* (okienko do wydawania chleba) było wewnątrz jadalni. Wykombinowałem więc, że mógłbym wejść do *chleborezki* normalnie a stamtąd dostać się do stołówki przez *karmuszkę*. Ponieważ wpadłem na ten pomysł dużo wcześniej, miałem czas by sprawdzić czy głowa moja przecisnie się przez okienko (o resztę się nie martwiłem – byłem szczupły). Jedyna trudność polegała na dogadaniu się z *chleborezem*. Znałem go z widzenia, postanowiłem więc z nim porozmawiać. Nazywał się Jurij Iwanów, z pochodzenia był krymskim Tatarem. O ile sobie przypominam mieszkał wcześniej w Jałcie. Jego wyrok to 10 lat za zdradę ojczyzny. Po bliższym poznaniu (później) okazało się, że z natury był bardzo wesołym, dowcipnym i dobrym człowiekiem. W przeddzień pokazu jednak jeszcze tego nie wiedziałem. Gdy przyszedłem do niego, nie chciał ze mną najpierw rozmawiać, myśląc, że pewnie chcę chleba (co dzień miał wielu proszących). Gdy jednak mu wyjaśniłem po co przyszedłem, zmierzył mnie wzrokiem, nic nie mówiąc zamknął *chleborezkę* na klucz i odeszliśmy parę kroków. Myślałem, że sprawa dogadania się z nim i przekonania go, aby mi pomógł, będzie bardzo trudna i będzie wymagała wielu przekonujących argumentów, ale ku mojemu miłemu zaskoczeniu, po uważnym wysłuchaniu mnie, Jurij zaczął się serdecznie śmiać i natychmiast wyraził zgodę na zrealizowanie mojego, jak się wyraził, *oczeń choroszewo plana* (bardzo dobrego planu). Omówiliśmy jeszcze pokrótce kilka szczegółów i na pożegnanie powiedział mi ile razy mam do niego pukać, aby mi otworzył. W dzień projekcji poszedłem rano pod stołówkę. Więźniów na film wpuszczano kilku kontrolerów. Podeszedłem pod drzwi *chleborezki*, zapukałem i po chwili uśmiechnięty Jurij wpuścił mnie do środka, szybko zamykając za mną drzwi. Następnie obaj podeszliśmy do *karmuszki*. Jurij otworzył okienko. W stołówce przy okienku stało już kilku moich kolegów, którzy mieli mi pomóc w przeciskaniu się (zasłaniaли widok i mieli mnie wciągnąć). Szybko wetknąłem w okienko głowę i ramię, ciągnięty przez kolegów i wypychany z drugiej strony przez Jurija, bez problemów dostałem się do

„sali kinowej”. Wszystko to działo się w atmosferze ogólnej wesołości (śmiali się zarówno moi koledzy ze stołówki, jak i Jurij). Zaraz po moim „wyjściu” Jurij szybko zatrzasnął okienko. Od tamtego czasu często się z nim spotykałem, był bardzo miłym i sympatycznym kolegą. Ale wróćmy do rozrywek. Filmy wyświetlane w stołówce przedstawiały prozę życia ludzi w sowieckich kołchozach. O ile pamiętam pokazano nam trzy czy cztery filmy, każdy z innej republiki Sowieckiego Sojuza. Filmy te oglądane były przez więźniów z dużym zainteresowaniem i w skupieniu. Wyczuwało się atmosferę ogromnej zadumy i tęsknoty, tęsknoty za wolnością. Wszystkim nam wiadomo było, że to filmy typowo propagandowe, jednak oglądane przez nas były z uwagą. Nie liczyła się dla nas treść i wypowiedziane przez bohaterów hasła, słowa – my patrzyliśmy na ludzi odgrywających szczęśliwe życie, na rozradowane twarze, radość rodzin mieszkających razem. Długo pamiętaliśmy ten śmiech szczęśliwy i wesoły, śmiech którego u nas nie słyszeliśmy od lat.

Nadszedł rok 1951. Ciężki był on dla mnie bardzo. Liczyłem dni do końca wyroku – mijał już siódmy rok mojej odsiadki. Drogo płaciłem za swój patriotyzm i walkę o niepodległą Polskę. Przykro było mi słuchać, jak ci, którzy przyjeżdżali aresztowani w latach 1949 – 1950, opowiadali, że w naszym kraju Polacy mordują Polaków, że za marne grosze oddaje się węgiel, maszyny, statki oraz żywność Rosjanom, że Polska zalana jest bolszewikami, że jesteśmy pod sowiecką okupacją. Od wolności odzwyczailem się, najpiękniejsze lata spędziłem w obozach sowieckich. Nie miałem pojęcia, co czeka mnie po zakończeniu wyroku. Wiedziałem tylko, że więźniowie polityczni nie wracają do domów, że zostają skazani na wieczne zesłanie. Nie wiedziałem, czy pozostanę tu w Kazachstanie, w tych bezkresnych stepach, gdzie od sześciu lat nie widziałem drzewa, czy też wywiozą mnie na Sybir. Mogli mnie też w ogóle nie wypuścić z obozu. Co prawda w naszym nie zdarzył się jeszcze taki przypadek, ale w innych bywały.

Dziwnie czułem się przed zakończeniem wyroku. Bałem się i cieszyłem równocześnie. Jeszcze człowiek jest lagiernikiem a chwilami w myślach widzi już siebie wolnym. Nawet serdeczni przyjaciele są już jacyś inni. I oni, podświadomie, wydarzenie to przeżywają. Nie wiedzą o tym, nie myślą o tym, ale ze słów ich przebija nutka żalu. Cieszą się, że jeden z nich idzie na *swobodu*. W duchu zadają sobie pytania: dlaczego to nie ja kończę wyrok, jak ja to będę przeżywał, czy w ogóle doczekam tej radosnej chwili, dlaczego dostałem tak wysoki wyrok, kiedy to się skończy.

Lato 1951 r. jakoś minęło, nadeszła jesień. W tamtym klimacie lato i jesień

szybko mijają. Na wiosnę w zawrotnym tempie topnieją śniegi. Jesienie bywają bardzo krótkie. Po sezonie letnim kilka razy spadnie deszcz, ale zaraz po tym przychodzi mróz, śnieg i zima. Kilkanaście miesięcy przed ukończeniem wyroku starałem się jak najmniej rozmawiać z kolegami, a jeżeli już, to po kryjomu, z daleka od szpicli, którzy krążyli jak hieny wokół padliny wokół ludzi mających wyjść na wolność. A nuż uda się usłyszeć coś, donieść sowieckim agentom i taki kończący wyrok dostanie kilka dodatkowych latek. Muszę jednak bezstronnie przyznać, że w tamtym czasie plugastwa tego (donosicieli) było coraz mniej. Wszystko to dzięki obozowym samosądom (jednego powiesili, kilku ciężko pobili a kilkunastu zrezygnowało z uprawiania tego procederu po krótkich „rozmowach” z wydelegowanymi do tego więźniami). Nie pomagały różnego rodzaju naciski śledczych, groźby lub obietniki, szpicle przestraszeni konsekwencjami, jakie groziły im od więźniów, wycofywali się ze współpracy z władzami. Bywały przypadki, że więźniowie sami przyznawali się do donosicielstwa, wówczas pomagało się tym słabym ludziom skończyć to niecne postępowanie, nie czyniąc im nic złego i nie robiąc żadnej krzywdy.

Jak wspominałem, ostatni rok mojego więzienia był dla mnie bardzo ciężki. Musiałem się bardzo pilnować, aby nie mieli żadnych podstaw do udzielenia mi jakiegokolwiek kary. Do pracy chodziłem każdego dnia, bez uzasadnienia nie zostawałem w baraku w dzień roboczy, w rozmowie ze współwięźniami nie poruszałem tematów politycznych, z obcymi wcale nie rozmawiałem.

Liczyłem wciąż uparcie i wytrwale, ile to jeszcze dni mi pozostało. Wciąż było ich bardzo dużo, wprawdzie ubywały, ale powoli. Wiosna, jak zawsze minęła szybko, przyszło lato. W sierpniu pożegnałem swego kolegę Żyda z Odessy, który po odsiedzeniu siedmiu lat, opuścił nasz łagier. W tym roku opuścił nas także Polak Władysław Nowak (z Katowic lub okolic Krakowa; odsiedział pięć lat). Inni moi koledzy i znajomi mieli wyroki po 10, 15 lub 20 lat. Ci jeszcze z reguły nie odliczali dni. Pelc Abram (lub Aaron, bo tak prawdopodobnie miał na imię ów kolega z Odessy) oraz Władek Nowak byli w ostatnich miesiącach 1951 r. moimi najczęstszymi rozmówcami. Łączyła nas wspólna niedola, niepewność jutra, nie wiedzieliśmy po prostu, co z nami będzie – zsyłka, wolność czy więzienie. Wiedzieliśmy tylko, że jeśli nas gdzieś zesłą to na pewno nie do europejskiej części ZSRR.

Po ich wyjeździe czułem się osamotniony, chociaż miałem innych wspaniałych przyjaciół z AK, ale oni mieli zbyt wysokie wyroki, by mówić ze mną o wolności. Inne tematy w ostatnim roku mojego pobytu w obozie niestety, niezbyt mnie już

interesowały.

Nadeszła zima i grudzień. Moi koledzy odwiedzali mnie każdego dnia. W tym miesiącu zresztą wszyscy się nawzajem odwiedzali, ponieważ zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Katolików i w ogóle wierzących była w obozie ogromna większość, dlatego też rozmowy na temat świąt toczyły się w tym miesiącu co dzień. Wspominano dom i rodzinę, jedzenie, kolędy i odwiedziny. Powoli zbliżała się Wigilia 1951. Nie wyobrażałem sobie jakoś tego dnia. Przez wiele lat wydawało mi się, że dzień ten będzie jakiś inny, tyle lat na niego czekałem, był zawsze tak odległy i wytęskniony. A jednak doczekałem się, nadszedł. Rano brygada moja jak zwykle poderwała się do pracy. Ja wieczorem zapowiedziałem mojemu zastępcy (byłem wówczas brygadierem), aby na bramie przy *rozwodzie* zgłosił dyżurnemu, że zostałem w baraku, ponieważ wyrok już zakończyłem i więcej do pracy nie pójdę. Pożegnałem się też ze swoją brygadą. Oni poszli. Ja zostałem w baraku czekając na dyżurnego. Przyszedł po *rozwodzie*, ale nie po mnie, tylko po to, by policzyć tych, którzy zostali w baraku. Zakomunikowałem mu, że jestem wolny. Chciałem, aby powiedział o tym naczelnikowi obozu i naczelnikowi biura prawnego, który tymi sprawami się zajmował. Dyżurny kiwnął głową i wyszedł.

Wieczorem moja brygada przyszła z pracy, przywitaliśmy się, nikt się nie dziwił, że jeszcze jestem w obozie. Następnego dnia wszystko się powtórzyło. Dyżurny, zapytany przeze mnie dlaczego nie wypuszczają mnie na wolność, odpowiedział krótko *padaždi uspiejesz* (poczekaj zdążysz). Niecierpliwie czekałem na wezwanie i odczytanie końca wyroku. Tej nocy nie mogłem ze zdenerwowania spać. Co będzie ze mną, dlaczego mnie nie wypuszczają? Czyżby chcieli mnie nadal trzymać w obozie? A może dodali mi wyroku? W tym stroju wszystko przecież jest możliwe. Wciąż nachodziły mnie różne myśli. Stan takiej niepewności trwał trzy dni. 27 grudnia, po *rozwodzie*, przyszedł do mnie dyżurny, spytał o mój numer i po raz pierwszy od trzech lat zapytał o nazwisko, po czym sprawdził dane personalne. Jeszcze raz zapytał mnie za co zostałem aresztowany i z jakiego artykułu, kazał spakować się i wyszliśmy. Idąc za strażnikiem patrzyłem i myślałem, że ostatni raz już tędy idę, patrzyłem z nienawiścią na druty kolczaste, zapluskwione baraki, na wysoki mur okrążający cały obóz, na tych cholernych strażników nastawionych nienawistnie do ludzi skazanych na druty i kraty tylko dlatego, że chcieli mieć wolną i niepodległą ojczyznę (Węgrzy, Estończycy, Litwini, Łotysze i inni). Po chwili doszliśmy do głównej bramy i weszliśmy na wachtę. Stał tam nie znany mi oficer (starszy lejtnant) w asyście naczelnika biura prawnego,

naczelnika obozu i śledczego. Sprawdzili mój bagaż, jeszcze raz dane personalne, odbiłem tuszem wszystkie palce u rąk i na znak oficera wyszedłem za bramę obozu. Stałem i zacząłem się rozglądać. Oficer chwilę poczekał, następnie podszedł do mnie i powiedział, że wprawdzie skończyłem wyrok, ale ponieważ jestem wrogiem ludu pracującego, *Batiuszka Stalin* nakazuje takich jak ja osiedlać na dalekich obszarach Sowieckiego Sojuza, żeby tam nas do reszty *perewospitywat* (wychować) i zrobić prawdziwymi komunistami. Zakomunikował nadto, żebym nie próbował uciekać, bo on ma broń (poklepał się przy tym po kaburze), że ucieczka nic nie da, że i tak mnie zaraz złapią. Wyjaśnił także że, w tej chwili idziemy na dworzec kolejowy w Dżezkazganie, tam stoi transport i pojedziemy daleko, na zesłanie, żebym się nie martwił, że jestem młody a tam są dziewczęta (wolne i zesłane) i na pewno mnie pocieszą. Zorientowałem się, że jest on stosunkowo niezłym człowiekiem, chociaż pochodzi ze sfery wojsk MGB. Powiedział mi w tajemnicy, że pojedę na Sybir. Dodał, że zesłanie moje może potrwać rok, dwa lub trzy, a jak *Batiuszka Stalin* zechce to nawet całe życie, albowiem on jest wszechwładny, wszechwiedzący, on „Bóg i Car” tych wszystkich ziem, który wkrótce będzie panował i w całej Europie, tylko jak się lepiej uzbroi i jak wypocznie po ostatniej wojnie. Tak pouczony i uświadomiony wyruszyłem „uszcześliwiony”, zadowolony, że wyroku w obozie mi nie dopisali, że opuściłem łagier, druty kolczaste, że na razie wykpiłem się śmierci z głodu, wycieńczenia, że mnie nie zastrzelili i nie zakatowali. Nie wiedziałem co mnie czeka dalej, ale mówiłem sobie jak starzy Rosjanie *Boh dast' dień, Boh dast' piszczu* (Bóg da dzień, Bóg da wikt).

Tak wyglądało moje wyjście na wolność po odbyciu kary 7 lat obozów. Pożegnałem miasto Dżezkazgan i ogromne stopy Kazachstanu. Pożegnałem się z licznymi obozami, w jakich przebywałem w województwie karagandińskim – kraju o niezliczonych obozach położonych na bezkresnych obszarach.

Część druga

SYBIR

Rozdział XI – Wyjazd z Kazachstanu na Sybir

Zasądzając mnie na 7 lat, Wojenny Trybunał (Sąd Wojskowy) nic nie wspominał o żadnym dodatkowym wyroku, jak zsyłka czy też inna kara. Sędzia Sądu Wojskowego odczytując mi wyrok, powiedział wyraźnie: „zasądzam na siedem lat *isprawitielnych trudowych łagieriej*”. Odsiedziałem ten wyrok „od dzwonka do dzwonka”, a nawet trzy dni dłużej. Zsyłka na Sybir to bezprawne, dodatkowe zatrzymanie mnie przez władze sowieckie, które robiły to zresztą nie tylko ze mną, ale z każdym, kto dostał się w ich łapy i był więźniem politycznym. Nie zaskoczyła mnie dodatkowa kara, byłem na zesłanie przygotowany. Wiedziałem w czyich rękach jestem i nic złego nie mogło mnie już zaskoczyć. Byłbym raczej zdziwiony, gdyby po ukończeniu wyroku wypuścili mnie z obozu do Ojczyzny. Nigdy zresztą dłużej się nad tym nie zastanawiałem, za mało miałem czasu na takie rozmyślenia. Wtedy również przestałem bujać w obłokach, a zacząłem myśleć o twardej bezwzględnej rzeczywistości.

I tak idąc we dwójkę przy 40° mrozie i pięknym słońeczku, doszliśmy do dworca kolejowego w Dżekazganie.

Na tym kończy się historia moich przeżyć obozowych. Zanim przystąpię do opisywania dalszej części mego pobytu w ZSSR, już jako zesłańca, powróćmy na moment do Polski, do 1946 roku. Po moim wyjeździe ze Lwowa do Kazachstanu, moi rodzice z końcem 1945 r. wyjechali do Polski i osiedlili się w Głuszycy, w powiecie wałbrzyskim. Już od 12 lutego 1946 r. ojciec mój rozpoczął starania mające na celu wyrwanie mnie ze szponów „przyjaciół”. Niestety, jak się okazało, nie było to sprawą prostą. Wydostanie kogokolwiek ze Związku Sowieckiego, za czasów panowania „Ojczulka” (tak dobrotliwie i pieszczotliwie nazywano w Związku Sowieckim Stalina), było niemożliwe. Wszystkie osobiste starania ojca w Warszawie, jak również lawinę korespondencji w tej sprawie wieńczyła zawsze ta sama odpowiedź: „postaramy się coś z tym zrobić” i na tym kończyło się zainteresowanie władz polskich swoim obywatelem.

Na dworcu w Dżekazganie zobaczyłem kilka zestawów wagonów towarowych. Byłem pewny, że jeden z nich czeka na takich pasażerów jak ja. Jednak, idąc z moim „opiekunem” wzdłuż dworca kolejowego, mijaliśmy wszystkie towarowe wagony i zdążyliśmy prosto do pociągu osobowego, który stał na pobliskim torze. W dalszym

ciągu nie wierzyłem własnym oczom, abym ja, skazaniec polityczny mógł jechać w pasażerskim wagonie, i nie pomyliłem się. Przeszliśmy cały zestaw dochodząc do ostatniego wagonu, który był z zewnątrz zupełnie podobny do pasażerskiego, natomiast wewnątrz każdy przedział był okratowany, okna również.

Weszliśmy do wagonu, gdzie przy wejściu zatrzymało nas dwóch strażników. Na rozkaz mojego konwojenta (oficera) jeden z dyżurujących strażników poszedł po naczelnika wagonu więziennego. Naczelnik wagonu i straży więziennej w jednej osobie, oficer w randze majora, zjawił się po dłuższej chwili. Mój dotychczasowy konwojent przekazał mu moje akta personalne. Ten, po szczegółowym sprawdzeniu ich, zwrócił się do mnie ze stereotypowymi pytaniami o imię, nazwisko, imię ojca, datę i miejsce urodzenia, na ile byłem zasądzony, za co, czy po raz pierwszy, narodowość, obywatelstwo. I tu – pierwszy raz, po siedmiu latach dowiedziałem się, że we wszystkich dotychczasowych papierach, w rubryce: obywatelstwo – miałem wpisywane rosyjskie. Przez siedem lat byłem w obozach sprawdzany niewiarygodną ilość razy, na pytanie o obywatelstwo odpowiadałem zgodnie z prawdą i rzeczywistością, że polskie i nikt tego nie kwestionował. Powiedziałem majorowi, że w moich papierach tkwi błąd, ponieważ ja mam obywatelstwo polskie. Tym razem major raczył wyjaśnić mi cierpliwie, że wszyscy obywatele zamieszkali w zachodniej Ukrainie, których ziemie do 1939 r. były polskie, a następnie zostały zajęte przez ZSRR, otrzymali zaszczytne obywatelstwo sowieckie. Odpowiedziałem na to, że ja niczego nie podpisywałem, nigdy swego obywatelstwa nie zmieniałem i na żadną zmianę się nie zgadzam. Major na to, że mogę się nie zgadzać, ale on nie jest upoważniony do zmieniania czegokolwiek w moich papierach i tak zostać musi, czy to mi się podoba, czy nie. Poprosiłem go, żeby przynajmniej zrobił notatkę, że kwestionuję tę niezgodność w dokumentach ze stanem faktycznym. Odpowiedział na to, że Polakom zawsze się coś nie podoba, wszędzie tworzą tajne organizacje, a ponadto nie lubią władzy sowieckiej. Dodał, że był w Polsce zaraz po wojnie i dobrze zna Polaków; oprócz tego, że Polki są ładne, to wszystkich „*muszczyzn (mężczyzn) wystrelialby k...matierj*”. W miarę wspomnień o Polsce zaczynał się coraz bardziej denerwować, więc kazał mi się zamknąć i nie filozofować. Zagroziłem, że napiszę skargę do Ojczulka Stalina. On na to, że Ojczulek Stalin daleko i list mój nie dojdzie, a zresztą mogę pisać i do samego Ojczulka Cara. Na zakończenie tej rozmowy stwierdził, że na razie on jest moim Bogiem i Carem. Na tak radykalne wyjaśnienie zamknąłem się i czekałem, aż uporządkuje papiery i rozkaże co dalej. Po złożeniu moich papierów zaprowadził mnie do przedziału, wepchnął do środka i

zatrzasnął żelazną kratę zastępującą drewniane drzwi przedziału wagonowego, życząc przyjemnej podróży.

W przedziale zastałem dwóch mężczyzn. Pierwszy był przystojny, wysokiego wzrostu, brunet z czarną bródką, o inteligentnym wyrazie twarzy. Miał około 38 lat. Poznaliśmy się bardzo szybko – w takich warunkach znajomości zawiera się bez wstępnych ceregieli. Zaczął opowiadać o sobie. Był rodowitym moskwiczanie. W 1941 r. otrzymał 10 lat wyroku za napisanie jakiejś książki (niestety nie pamiętam ani tytułu, ani też nazwiska pisarza). Większą część kary odsiedział w Moskwie. Wyrok ukończył w 1951 roku. Tuż przed spodziewanym wypuszczeniem go na wolność odwiedziła go w więzieniu żona. W kilka dni po jej wizycie do jego celi wszedł prokurator i odczytał mu, że sąd skazuje go na dodatkowych 10 lat obozu. I tak jechaliśmy obaj w jednym kierunku, on do jakiegoś więzienia lub obozu, ja – rzekomo wolny – razem z nim na zesłanie.

Drugi mężczyzna – to recydywista, pospolity złodziej, który ciągle uciekał z różnych łagrów. Muszę nadmienić, że pospolici przestępcy Związku Sowieckiego nigdy nie mieli specjalnych obozów, przebywali za takimi murami jak polityczni. Tam byli faworyzowani i ulgowo traktowani przez *naczelstwo*. Zawsze patrzono na nich łagodnym wzrokiem i z dużą tolerancją, ponieważ nie byli więźniami politycznymi i nie stanowili zagrożenia dla państwa. Nasz współtowarzysz złodziejasek bez ogródek oświadczył naczelnikowi wagonu więziennego, że przy pierwszej nadarzającej się okazji znowu ucieknie. Podobno nie było takiego obozu, z którego nie potrafił uciec. Za ucieczki dodawano mu lata kary, nie pamiętam ile, w każdym razie miał jeszcze do odsiedzenia grubo ponad trzydzieści lat.

Jadąc we trójkę opowiadaliśmy sobie o swoich przeżyciach, niedoli i nieszczęściach. Jechaliśmy w kierunku północno – wschodnim, w rejon znajomy mi z moich poprzednich więziennych wojaży. Minęliśmy Atasu, następnie dojechaliśmy do Karagandy, z Karagandy do Celinogradu, potem do Pawłodaru. Na koniec, mijając Barnauł, przyjechaliśmy do Nowosybirsk, przez który przepływa wielka rzeka Ob z licznymi rozgałęzieniami. Podróżowaliśmy już kilka dni. W Nowosybirsku zorientowaliśmy się, że odstawiono nasz wagon na boczny tor. Domyślaliśmy się, że tu najprawdopodobniej będziemy wysiadać i zostaniemy odstawieni do lagru lub więzienia. Byłem pewien, że będzie nas dotyczył ten drugi wariant

Do Nowosybirsk przyjechaliśmy rano. Byliśmy przekonani, że w wagonie więziennym będziemy czekać cały dzień, aż się ściemni. Zostaliśmy odłączeni od

ogrzewanych wagonów. Przy syberyjskim mrozie, w styczniu, zimno przenikało do kości. Ogrzewaliśmy się sami jak tylko mogliśmy. Chodząc i skacząc po przedziale, z trudem doczekaliśmy wieczoru. Wiedzieliśmy z doświadczenia, że z wagonu do centralnego więzienia w Nowosybirsku zostaniemy przewiezieni, kiedy już będzie zupełnie ciemno. Służba więzienna zawsze tak postępowała, aby ludność cywilna jak najmniej wiedziała co się dzieje w kraju. W kraju, w którym oprócz haseł i sloganów, pustych słów i kłamstwa, istnieje jeszcze ogromna ilość dużych i małych obozów, w których przebywają setki tysięcy nieszczęśliwych, wspaniałych ludzi odsiadujących wieloletnie kary tylko i wyłącznie za swoje przekonania polityczne.

Zaraz po zapadnięciu zmroku podjechał pod nasz wagon *Czornyj woron* (czarna wrona). Był to samochód bez okien i jakichkolwiek oznak, iż wewnątrz mogą być ludzie. Dość długo jechaliśmy więźniarką przez ogromne syberyjskie miasto. Wreszcie zajechaliśmy pod więzienie. I znowu wysiadać. Rewizja, ponowne sprawdzanie tożsamości, potem olbrzymia cela, w której siedziało około 100 więźniów: polityczni, pospolici złodzieje, bandyci oraz ludzie, którzy ukończyli wyroki. Osób takich jak ja było najwięcej.

W więzieniu tym spotkałem młodego, 24-letniego Rosjanina. Zasądzony był na 20 lat, jako więzień polityczny. Przyjechał niedawno z Dalekiego Wschodu, z obozu, gdzie wydobywano rudę żelaza. Młodzieniec ten odbył już 4 lata kary, z czego 2 lata pracował w kopalni, pod ziemią. Był tak zwanym pociągowym, to znaczy ciągnął naładowane rudą wagoniki. Ponieważ korytarze w kopalni były bardzo niskie, pociągowi ciągnęli wózki na czworakach (kolanach i rękach). Do jednego wagonu zaprzęgniętych ich było sześciu. Złączeni byli pasami parcianymi na podobieństwo zaprzęgu konnego, na trzy pary. Również kolana mieli obwiązane pasami, a na rękach nosili rękawice. W kopalni tej pracował w latach 1949 i 1950. Chorował na pylicę. Cieszył się, że już niedługo umrze (tak orzekła komisja lekarska) i tym samym „wywinie kawał” draniom, którzy zasądzili go na 20 lat.

W nowosybirskim więzieniu siedziałem około 2 tygodni. Pewnego wieczoru wezwano mnie na wyjazd, dokąd – nie wiedziałem. Na dyżurce więziennej znowu dokładna rewizja oraz sprawdzanie danych personalnych. Po tych normalnych czynnościach załadowano nas (5 osób) do więziennego samochodu i znowu jazda „Czarna wrona” mknęła szybko przez miasto – do dworca kolejowego. Tam czekał już na nas wagon – więźniarka. Przed wejściem do niego wydano nam *suchoj pajok*. Prowiant ten, przeznaczony na trzy dni, składał się z 1 kg i 35 dkg chleba oraz dużej,

mocno solonej, suszonej ryby. Przemęczyliśmy się w tym wagonie całą noc, tańcząc i tupiąc z zimna. Nazajutrz raniem podłączono nas do osobowego składu i ruszyliśmy dalej na wschód.

Przez zakratowane okna więziennego wagonu można było obserwować krajobraz, który zmienił się znacznie od chwili wyjazdu z Kazachstanu. Tam – bezkresne stepy i, zdawałoby się, nie kończące się pustkowia. W tej części Syberii olbrzymie połacie przepięknych lasów pokrytych nieskazitelnie białym puchem śnieżnym. Nawet z okien wagonu dało się zauważyć, że śnieg pada tutaj bardzo często. Gałęzie drzew były pochylone ku dołowi, niemal do ziemi, pod ciężarem masy śnieżnej. Z podziwem patrzyłem na wspaniałą syberyjską przyrodę. Pochłaniałem wzrokiem nieskazoną przez cywilizację naturę. Lasów nie widziałem od siedmiu długich lat. Rzadko spotykało się na trasie osady, pociąg przystawał tylko na dużych stacjach. Małe osady, oddalone znacznie od torów kolejowych, były ledwie dostrzegalne pod obfitą pokrywą śnieżną.

Nie pamiętam, jak długo jechaliśmy do Tomsku, w każdym razie przyjechaliśmy tam wieczorem. Na stacji kolejowej wyczuliśmy manipulacje naszym wagonem. Pchano nas jak zwykle na bocznice. Tym razem nie trzymano nas długo w wagonie. Zaraz przyjechała „czarna wrona”, załadowaliśmy się do niej i od razu zawiezieni zostaliśmy do więzienia. Ze swoimi znajomymi z poprzedniego etapu, po rozstaniu w nowosyberyjskim więzieniu, już się nie spotkałem.

W tomskim więzieniu spotkał nas znany już nam porządek: sprawdzanie danych personalnych, odbijanie odcisków palców, rewizja, a potem znowu cela, nary więzienne, *podjom* (wstawanie), *odboj* (spanie). Codzienny, zwyczajny więzienny rygor, znajome towarzyski niedoli (pluskwy), olbrzymia cela pełna więźniów, zaduch. Wszystko to jakże męczące.

W celi tej spotkałem Rosjanina polskiego pochodzenia. Nazywał się Wiktor Woroniecki. Urodził się w województwie nowosybirskim. Dziadek jego był zesłańcem politycznym wywiezionym z Polski za walkę o niepodległość. Wiktor zaś odbywał wyrok za tzw. *bołtownia* (gwarowo – kręcenie językiem, mielenie), czyli za przekonania polityczne. Za dużo narzekał na ustrój sowiecki. Otrzymał wyrok 10 lat, jeszcze przed wojną, w 1938 roku. Wyrok swój odsiadywał w którymś z sybirskich obozów. Po dwóch latach udało mu się z niego zbiec. Do domu powrócić nie mógł, bo złapano by go i z powrotem osadzono w obozie (ze zwiększonym wyrokiem). Żył na wolności, w lasach syberyjskich, ukrywając się przed władzą sowiecką. Odżywiał się

jagodami i upolowaną zwierzyną leśną. Broń palną i amunicję odebrał napotkanemu w lesie myśliwemu. Latem spał pod gołym niebem. Zimą w lepiance, którą sam sobie wybudował, lub w chatach myśliwskich. Od czasu do czasu zachodził do różnych osad lub wiosek, aby upolowaną dziczyznę zamienić na sól, mąkę czy kaszę.

Żyłby tak sobie na wolności, gdyby nie pewien nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Otóż, jak już wspominałem, aresztowany został w 1938 roku. Rosjanie nosili wtedy dystynkcje wojskowe na zewnętrznej stronie kołnierzy. W r. 1943 nosili już pagony na ramionach. Wiktor zobaczywszy to – przekonany, że w Związku Sowieckim zmienił się ustrój i pewny, że nie musi się już więcej ukrywać, podbiegł do wojskowych z otwartymi ramionami. Ci natomiast myśląc, że to jakiś nienormalny albo dzikus z lasu (Wiktor to ogromne chłopisko, a do tego był wówczas zarośnięty), odbezpieczyli broń. Dopiero wtedy Wiktor zorientował się, że się myli, skoro na jego zawołanie: „Precz z władzą sowiecką” chcieli strzelać. Skrył się za najbliższe drzewo i, broniąc się, zaczął się ostrzeliwać. Na pewno nie dałby się złapać, tym bardziej, że jeden z trzech napastujących go żołnierzy był już ranny i nie brał udziału w walce, gdyby nie fakt, że sam został postrzelony. Krew spływała mu z ramienia, tracił siły. Był zmuszony poddać się żołnierzom. Rezultat tego nieporozumienia był oczywisty – na powrót obóz plus dodatkowy wyrok za ucieczkę i zranienie żołnierza. Z tęsknotą wspominał, jak chodził samotnie po lesie, nie będąc od nikogo zależnym, a będąc poza zasięgiem tak znieawidzonej władzy. W Polsce naturalnie nigdy nie był, choć marzył o tym, by kiedyś zobaczyć ten piękny kraj (znany mu tylko ze wspomnień dziadka, który zawsze pragnął do Polski powrócić).

Po kilku dniach odsiadania bezprawnej „normy” w tomskim więzieniu wezwano nas kilku wieczorem, przeprowadzono rewizję, sprawdzono wszystkie dane personalne z końcowym odbiciem wszystkich palców u rąk, załadowano na samochód więzienny i zawieziono na tomski dworzec kolejowy. Tu ponowna kontrola wszystkich danych, załadowanie do wagonu i jazda dalej na wschód. W podróży znowu podziwiałem przepiękne lasy tajgi syberyjskiej. Od czasu do czasu mijaliśmy położone w głębi lasu maleńkie wioski lub osady, które tonęły w syberyjskim śniegu. Dojechaliśmy w ten sposób do syberyjskiego miasta wojewódzkiego – Krasnojarska. Tu wysiedliśmy, ale tym razem w biały dzień. Po przeliczeniu maszerowaliśmy z dworca kolejowego do więzienia. Wierzyć mi się nie chciało: „Co za nagłe zmiany?! Czym wytłumaczyć przejście więźniów ze strażą przez ulice miasta w biały dzień?!” Później tutejsi starzy, bardziej doświadczeni więźniowie wyjaśnili mi, że w Krasnojarsku nikt z

wolnych tubylców nie zwraca uwagi na więźniów, ponieważ od lat są przyzwyczajeni do tego widoku. Krasnojarsk znany jest z tego, że stąd rozsyłało się więźniów na wszystkie strony Związku Sowieckiego, do różnych więzień, obozów czy na zsyłki. Tak było w czasach carskich i tak pozostało do czasów wspaniałego Ojczulka Stalina, pierwszego na świecie czerwonego dyktatora i tyrana.

Więzienie w Krasnojarsku wywarło na mnie przygnębiające wrażenie. Przebywałem w wielu więzieniach rosyjskich, już od ponad siedmiu lat (był to już koniec lutego 1952 r.), ale w tak ponurym i tak przytłaczającym ogromem jeszcze nie byłem. Całość ogrodzona była, o ile dobrze sobie przypominam, murem ponad siedmiometrowej wysokości. Wewnątrz monumentalna budowla z czerwonej cegły. Nawet podwórka spacerowe, na które wyprowadzani byliśmy każdego dnia, skonstruowano tak, by prawie nie było widać nieba podczas spacerów. Cella, w której siedziałem była bardzo duża, takie same korytarze – o zdawałoby się – nie kończącej się długości. Kraty w oknach nieproporcjonalnie grube w stosunku do wielkości samych okien. Znaczący więźniowie twierdzili, że to zostało wybudowane w latach czterdziestych XVIII wieku na rozkaz Katarzyny II (carycy Rosji, która była żoną Piotra i po jego obaleniu wstąpiła na tron. To ona stłumiła powstanie Emiliana Pugaczowa w 1774 r., a jego przywódcę rozkazała przywieźć do Moskwy w drewnianej klatce i na rynku stracić).

W Krasnojarskim więzieniu siedziało bardzo dużo więźniów politycznych. Wielu po kilka miesięcy czekało na swoją kolej wywozu na zsyłkę. Czasami nachodziły mnie przerażające myśli. Patrząc na te masy przewijającego się przez więzienie narodu, uzmysławiałem sobie, że przecież moje dokumenty wśród takiego ogromu mogą się gdzieś zagubić. Tylu ludzi przepływa przez to więzienie, ile więc musi być kartotek, akt sprawy, zdjęć, odbitek odcisków palców... W tym sowieckim bałaganie może człowiek siedzieć latami i nikt się o niego nie zatroszczy. Wyrok już dawno skończony, a człowiek wciąż siedzi. Nie, wszędzie człowiek może się zgubić, na całym świecie, tylko nie w rękach Bezpieczeństwa Sowieckiego. Z tych rąk nikt się nie wymknie!

W krasnojarskim więzieniu nie siedziałem długo. Po kilkunastu dniach, zaraz po *podjomie* (rannej pobudce), wezwano mnie do transportu. Było nas trzydzieści osób. W tym dniu temperatura zeszła do 40° mrozu. Zebrano nas na więziennym placu, odczytano nasze nazwiska, sprawdzono dane personalne i policzono. Po tej generalnej ceremonii nasz konwojent (starszy lejtnant) zapowiedział nam, że teraz już jesteśmy wolni, ale on jedzie z nami na północ, by tam przekazać nas innemu komendantowi,

który się nami zaopiekuje. Na zakończenie ostrzegł, żeby nie uciekać, bo jeśli ktoś zrobiłby to, on poszedłby siedzieć na jego miejsce. Nagan miał tylko na postrach, bo naboï naczelnik mu nie dał. Nas było trzydziestu, on sam jeden. Gdybyśmy chcieli mu zrobić krzywdę, moglibyśmy rozerwać go na kawałki i nagan nic by nie pomógł.

Rozdział XII – Dalsza droga do miejsca przeznaczenia

Zadziwiająco szczerzy był ten nasz opiekun. Od razu można było poznać, że jest to nowicjusz, który panicznie się nas boi. Jechać z nami musiał, bo inaczej poleciałyby mu gwiazdki z pagonów, a do akt personalnych przybyłby specjalny papierek, któremu na imię zdrajca Sowieckiego Sojuza. Opiekun zapowiedział, że będziemy jechać samochodem bez plandeki, bo te; ktoś ukradł i na pewno będzie z niej szył cholewy do butów. Dodał ponadto, że powinniśmy go zrozumieć, bo w tej sytuacji i on jest bezsilny i trzeba się temu wszystkiemu podporządkować. Na zakończenie stwierdził, że nasz punkt docelowy w końcu nie jest tak daleko, około 700 km, a my nie jesteśmy dziećmi i mrozu nie powinniśmy się bać. Wytłumaczył nam to wszystko dosadnie, ale większość zesłańców i tak nie mogła go zrozumieć. Z tego powodu miał do nich żal, jednak w końcu im podarował, bo jak sam mawiał, taki to już z niego człowiek. Kazał szybko zająć miejsca na skrzyni samochodu. Pochwalił, że skrzynia jest drewniana a nie żelazna, więc będzie nas grzała. Młody, energiczny kierowca wskoczył za kierownicę, nacisnął starter, ale samochód ani drgnął. Kilka razy próbował uruchomić silnik, niestety, samochód nie zapalił. Wówczas nasz naczelnik wysiadł z szoferki, pocieszył nas, że kierowca ma prawo jazdy pierwszej kategorii i zaraz naprawi samochód. Waśka (tak nazywał się kierowca) po przeglądnięciu motoru powiedział, że na bazie samochodowej *sobaki* coś mu skradły i podmieniły. Naczelnik stwierdził natomiast, że Waśka kłamie. Nikt mu niczego nie ukradł, a sam sprzedał. Naczelnik widział go dzień wcześniej pijanego, jak trzymał się słupa na placu garażowym, bo nie mógł ustać na własnych nogach. Nie wiadomo jak długo trwałaby ta sprzeczka, gdyby nie zaproponowanie przez jednego z zesłańców próby uruchomienia samochodu. Ten – nie jeździł samochodem już 10 lat i nie miał prawa jazdy pierwszej kategorii – a silnik naprawił. Ucieszony konwojent chciał wyrzucić Waśkę, jak się wyrazi – „na zbitą mordę”, by biegła *sobaka* za samochodem, ale ten nie dał się wystraszyć. Powiedział, że i on pracował w Urzędzie Bezpieczeństwa, gdzie woził generałów. Nie bał się generałów, tym bardziej nie bał się naszego lejtnanta. Po tej utarczce słownej wszyscy trzech wsiedli do szoferki i wreszcie ruszyliśmy. Tym razem trasa wiodła prosto na północ. Jechaliśmy tzw. zimową drogą, tzn. po zamarznętej rzece Jenisej. Drogą tą mógł przejechać tylko jeden samochód. Jeżeli zaszła potrzeba minięcia się, jeden z samochodów musiał się cofnąć do najbliższego pobocza (czasem aż 300 m). Na

szczęście, podczas naszej trzydniowej podróży, nie spotkaliśmy żadnego samochodu. Miałem wrażenie, że jedziemy długim, białym tunelem. Tę sezonową drogę, po której od czasu do czasu jeździły tylko samochody ciężarowe i autobusy pasażerskie, oczyszczano ze śniegu spychaczami. Na poboczu tworzyły się zatem kilkumetrowe góry śnieżne. Była to naturalna osłona od wiatru i silnego mrozu. Jechaliśmy cały dzień, aż do zmroku. Zatrzymaliśmy się w pierwszej napotkanej osadzie. Przenocowaliśmy tam, w pomieszczeniu klubowym służącym równocześnie za salę do wyświetlania filmów (w czasie przyjazdu kina ruchomego), bibliotekę, salę przedstawień teatralnych oraz pomieszczenie do organizowania zebrań. Rano, po wypiciu gorącej wody i zjedzeniu porcji chleba (kto miał pieniądze mógł sobie kupić coś innego w bufecie klubowym) ruszyliśmy dalej w drogę. I w tym dniu podróż minęła bez specjalnych wrażeń. Jadąc już drugi dzień, po jednej i po drugiej stronie naszej trasy obserwowaliśmy niekończące się przestrzenie leśne – tajgę. Jak mawiali tamtejsi Rosjanie: „*tajga, tajga, matjuszka rodnaja*” (tajga, tajga, mateczka rodzona). Nierzadko mijaliśmy osady, nawet na przestrzeni wielu kilometrów. Odległe były od siebie o 50 a nawet 100 km.

W trzecim dniu podróży zamarzył jeden z naszych współtowarzyszy. Zostawiliśmy go w najbliższym napotkanym *posiołku* (osadzie). Nasz naczelnik nie zmartwił się tym. Zbliżał się koniec podróży – zamarzył jeden człowiek – a on liczył na więcej ofiar. W tym dniu dojechaliśmy do pierwszej większej osady. Jej nazwa brzmiała – Motygino. Położona była nad samym brzegiem Angary, która wpada do Jeniseju. W następnej miejscowości, oddalonym o 40 km Rozdolińsku, zatrzymaliśmy się na chwilę, by się ogrzać i nieco wypocząć. Grzaliśmy się przy żelaznym piecu opalanym drewnem, wypoczywaliśmy w *obszczeżytiu* (baraku robotniczym). Konwojujący nas ubowiec sowiecki przynaglał jednak do dalszej podróży. Potrzeba pośpiechu uzasadniona była zbliżającą się nocą, poza tym nasz punkt docelowy oddalony był już tylko o 40 km. Po krótkim przekomarzaniu się – wdrapaliśmy się na skrzynię samochodu – no i jazda dalej. Wieczorem dojechaliśmy do celu. Nasz naczelnik, strażnik, opiekun – wszystko w jednej osobie pracownika Urzędu Bezpieczeństwa, zapowiedział to z ulgą. Dalej już samochody nie jeździły, bo nie było drogi. Miejscowość ta nazywała się Južno-Jenisejsk. I tu, zmarznięci i skostniali, a także zmęczeni podróżą, przenocowaliśmy w miejscowym klubie. Następnego dnia, skoro świt, zbudził nas opiekun i zapowiedział, żebyśmy się nigdzie nie rozchodzili. Wkrótce miał przyjść naczelnik tej miejscowości i zdecydować, kto gdzie ma pracować oraz ile osób wysłać do innych mniejszych

syberyjskich *posiołków*.

Wszyscy pragnęliśmy zostać w Južno-Jenisejsku, ponieważ była to dość duża miejscowość. Był tu klub, w którym raz w miesiącu wyświetlano film, był szpital, dziesięcioklasowa szkoła, parę ulic, restauracja, hotel i barak robotniczy. Słowem – osada ta stwarzała wrażenie mini miasteczka. Właśnie tu chcieliśmy się osiedlić na czas naszej zsyłki lub może na całe życie (któż to mógł wiedzieć w tej chwili). Niestety, o naszym życiu i przyszłości nie decydowaliśmy sami, lecz Moskwa, a w niej tyrani ze Stalinem na czele.

Osady syberyjskie budowane są z drewna. Domki jednorodzinne usytuowane są wzdłuż głównej ulicy, od której odchodzą krótsze, boczne uliczki z rozbudowanymi domami i małymi przydomowymi ogrodami. Główna droga – zwyczajnie ubity trakt – ma pobocza, na których ułożone są *garbyle* (cienkie drzewo przecięte na pół). Równe, gładkie, przecięte na pół drzewo kładziono na wierzch, półokrągłą stroną do spodu, i przybijano do poprzecznych belek ułożonych na poboczu. Służyło to pieszym jako chodnik – doskonale zabezpieczając od błota, jakie czasami powstawało na skutek letnich opadów. Podczas suchych dni było ochroną przed kurzem, jaki panował na drodze. Cała osada, zaliczana do większych, liczyła od jednego do dwóch tysięcy mieszkańców.

Wkrótce do naszej tymczasowej siedziby przybyli „handlarze żywym towarem”, „bogowie” lub „czerwona burżuazja”. Tak nazywała ich tubylcza ludność. Zjawili się: pierwszy sekretarz i jego zastępca, komendant MGB (komendant Państwowego Urzędu Bezpieczeństwa), naczelnik kadr tegoż *posiołka*, naczelnik przedsiębiorstwa leśnego i paru szeregowych urzędników. Wszyscy rozsiedli się za stołem, który przed ich przybyciem ktoś z usługujących przykrył czerwonym materiałem. Po krótkiej, wzajemnej obserwacji naczelnik kadr sprawdził ilość osób według nazwisk. Oznaczało to przejście nas od naszego dotychczasowego konwojenta (urzędnika bezpieczeństwa – starszego lejtnanta). Nasz nowy komendant – kapitan Grizanow potwierdził na liście odbiór „żywego towaru”. Starszy lejtnant odszedł, my pozostaliśmy jako przedmiot handlu. Naczelnik kadr wzywał każdego oddzielnie do stołu. Tam sprawdzał dane personalne, zadawał kilka banalnych pytań i po wysłuchaniu odpowiedzi notował coś w swoich papierach. Po tym wszystkim wzywano następnego. Po zakończeniu badań „towaru” *naczalstwo* wyszło na naradę. Dość szybko powrócili i wyczytali, kto ma zostać w tej osadzie a kto „podróżować” dalej. Część moich towarzyszy została w tym *posiołku*. Były to jednak osoby starsze i z zawodami. Ja nie miałem szczęścia, zostałem

odesłany.

Drogi dalej już nie było – jedynie wyrąbany w lesie wąski pas, po którym mógł przejechać tylko koń z saniami. Z tego powodu następnego dnia rano załadowaliśmy się (pięć osób) na dwie *podwody* (bardzo niskie i lekkie sanie konne bez koszy lub nadbudówki) i wyruszyliśmy. Z uwagi na to, że do sań był zaprzężony tylko jeden koń, żeby nie było za ciężko, konie wiozły bagaż i produkty żywnościowe, które mieliśmy oddać do sklepu w następnej mijanej przez nas osadzie, my natomiast szliśmy pieszo. Konie syberyjskie są małe, ale mocne i sprawne. Potrafią zaprzężone do sań skakać po głębokim śniegu. Chociaż droga była przetarta przez konie i sanie, brnęliśmy nieomal po pas w śniegu. Osada odległa od Južno-Jenisejska o 18 km nazywała się Partyzansk. Liczyła około trzystu mieszkańców. W miejscowości tej przenocowaliśmy w jakiejś świetlicy. Rano zakupiliśmy pod *rozpis* (podpis) prowiant na cały tydzień i pomaszerowaliśmy pieszo dalej. Każdy niósł swój bagaż na plecach. Wysłano nas jeszcze 4 km od Partyzanska. Myśleliśmy, że idziemy do jakiejś, jeszcze mniejszej osady. Nic z tego! Żadnej osady nie było. Po dojściu do celu ujrzeliśmy tylko małą, drewnianą chatę wybudowaną w głębi lasu. Wewnątrz chaty znajdował się duży stół wykonany z ciosanych belek, wokół niego ławy a przy ścianach zwyczajne nary, takie same jakie mieliśmy w lagrach. Tutaj mieliśmy żyć. Mieszkać, jeść, spać, no i... pracować w lesie. Tak przedstawiało się nasze zesłanie. Jak już wspomniałem, jedzenie miałem zakupione na cały tydzień. Pozwolono nam kupować bez pieniędzy, zaliczkowo, ponieważ wiadomo było, że nikt z nas, zesłańców nie posiadał gotówki. Pieniądze miano nam potrącić przy pierwszej wypłacie, jaką mieliśmy otrzymać za pracę w lesie. Chatka nasza była dla mnie najdalszym punktem od mojej Ojczyzny. Wokół tego leśnego domku rósł gęsty syberyjski las zasypany bielusieńkim, czystym śniegiem. Za naszą chatą nie było już ani drogi, ani ścieżki, żadnego śladu ludzkiego życia.

Zaraz po naszym przybyciu do Partyzanska naczelnik przedsiębiorstwa leśnego zapowiedział nam, że mamy pracować w lesie przy ręcznym ścinaniu drzew. Zarobek nasz miał zależeć od wyniku naszej pracy. Naczelnik podał nam normę ścinania drzew. Dodał, że dwa razy w miesiącu będzie przyjeżdżał do lasu brygadier, który będzie odmierzał ilość ściętego i złożonego w sagi drzewa oraz odbierał wykonaną pracę (za okres dwóch tygodni).

Do chaty leśnej przybył ze mną również pewien Litwin, młody człowiek, z zawodu nauczyciel. Razem cieszyliśmy się odzyskaną po tylu latach wolnością. Na

razie nie przygnębiało nas odludzie. Cieszyliśmy się, że nie stoi za nami strażnik, nikt nie grozi nam lufą karabinu, nikt nie zapowiada: co grozi więźniom w wypadku ucieczki, nie słychać krzyków i wyzwisk, nikt nie podaje komend: stój! lub marsz!, czy też podciągnij się!, nikt też nie rozkazuje: wstawać!, marsz do pracy!, zdejmuj odzież – rewizja! itd. Teraz, gdy tylko zechciałem iść do lasu, mogłem to zrobić. W baraku – spokój, cisza, było nas tylko pięciu. Nikt nas nie przeliczał, nikt nam nie rozkazywał, nie groził, nie przezywał, nie kłął, nie nazywał psami lub faszystami. Właściwie rozpoczęliśmy zupełnie nowe życie. Samodzielne, ciężkie, ale poniekąd wolne. Mieliśmy tylko obowiązek raz w tygodniu iść do Partyzanska, do komendatury i tam podpisać się w obecności komendanta tamtejszego MGB, potwierdzając tym samym swoją obecność w tym rejonie. Nie wolno nam było bez specjalnego pozwolenia komendatury wyjeżdżać poza swój rejon. O każdej zmianie adresu lub nawet jednodniowym wyjściu czy też wyjeździe, musiał być powiadomiony nasz opiekun, komendant partyzanckiego rejonu MGB. Zmiany miejsc zamieszkania (przeprowadzka z osady do innej, z jednego domu do drugiego) musiały być uzgodnione z komendantem. Pobyt zesłańca w innej osadzie bez odpowiedniego pozwolenia uważany był za ucieczkę. Groziło to wyrokiem a następnie więzieniem lub obozem. Wszyscy zesłańcy byli o tym powiadomieni i dobrze znali przepisy obowiązujące w tym zakresie.

Do późnej nocy rozmawiałem z moim kolegą Litwinem. Postanowiliśmy wspólnie pracować, aby było nam lżej. Nazajutrz rano, gdy tylko zrobiło się widno, poszliśmy do pracy zabierając ze sobą narzędzia: piłę, siekierę oraz żelazny klin z długą, drewnianą rączką (kowadło). Wszystko to otrzymaliśmy poprzedniego dnia *pod rospisku* (za pokwitowaniem) od brygadiera. Parę kroków od naszego baraku, przez tegoż brygadiera została nam wyznaczona *dielanka*, tzn. rejon naszego wyrębu. Pracowaliśmy po pas w śniegu. Przez cały dzień pracując we dwójkę ścięliśmy tylko jedną sosnę – grubości około 1,5 m. Obaj byliśmy jeszcze niedożywieni po lagrach i więzieniach, wymęczeni podróżą trwającą ponad dwa miesiące, niewprawieni do tego rodzaju pracy. Nie mieliśmy zielonego pojęcia o ścinaniu drzew. Drzewo, które ścinaliśmy, powaliło się w zupełnie innym kierunku niż my tego sobie życzyliśmy. Padając zupełnie utonęło w półtorametrowym puchu śnieżnym. Nie wiedzieliśmy: jak w tej sytuacji obciąć konary tego drzewa i drobne gałęzie, jak to drzewo pociąć na metrowe kawałki, tak jak to miało być zrobione (drzewo, przed złożeniem w sagi, miało być rozłupane na co najmniej cztery części, grubsze na osiem). Starych, doświadczonych robotników leśnych (*droworubow*) nie było z nami. Nie mogli więc

nas tego nauczyć. Mogliśmy liczyć tylko na siebie. Później, będąc już „starym” *droworubem* z roczną praktyką, nabrałem wprawy i śmiałem się ze swojego początkowego niedołęstwa.

Po przyjeździe do chaty zjedliśmy kolację. Pochłanialiśmy nieprawdopodobne ilości pożywienia. Obawiałem się, że przez cały miesiąc nie zarobię na jeden tydzień swojego wyżywienia. „A gdzie odzież, która w lesie szybko się niszczy? Za co kupię mydło, niezbędne artykuły pierwszej potrzeby?” – wszystkie te pytania nie znajdowały na razie odpowiedzi. Zmęczeni, z niewesołymi myślami, poszliśmy spać. Jednak nie mogłem zasnąć, różne myśli kołatały mi się po głowie. Nie uspokoilem się do momentu, dopóki nie wpadłem na wspaniały pomysł. Otóż przypomniałem sobie, jak niektórzy obozowi koledzy, którzy pracowali przy powalach leśnych w syberyjskich lasach, a następnie przywiezieni zostali transportem do nas, do Kazachstanu – w jakiś sposób się okaleczali. Zapytani – gdzie stracili palec u ręki lub nogi, odpowiadali, że są to proste, stare sprawy. Widząc swoją beznadziejną sytuację – powolnego konania na skutek niedożywienia (przebywania na *karnym pajku* z powodu niewyrobienia normy), po prostu kaleczyli się sami. Odrąbывali siekierą palce (2 lub 3) u rąk lub nóg, w zależności od tego – komu jakich palców nie było żal się pozbyć. Po takim wypadku przez jakiś czas nie chodzili do pracy, a następnie otrzymywali chwilowo grupę inwalidzką i jako darmozjadów wysyłano ich do innych obozów, gdzie wykonywali lżejszą pracę. Na jakiś czas przedłużało to ich marną egzystencję, a w końcu o to tylko im chodziło, aby jakoś przeżyć. Ja jednak nie chciałem się tak okaleczyć. Znalazłem inny środek – łatwy, prosty i w początkach bezbolesny. Cicho, aby nikt nie słyszał i nie widział, co robię, przystąpiłem do działania. Jeżeli władze dowiedziały się, że ktoś szkodzi z rozmysłem swojemu ciału, na skutek czego pozbawiony jest chwilowo lub trwale zdolności do pracy, sądziły takiego nieszczęśliwca na podstawie kodeksu karnego (nie pamiętam artykułu). Owinąłem sobie szmatami cztery palce u lewej nogi, pozostawiając palec duży bez jakiegokolwiek ochrony przed mrozem. Podszedłem do drzwi, otworzyłem je i wsunąłem za nie nogę z gołym palcem. Trzymając kaganek (knot zapalony w nafcie), przy migocącym świetle obserwowałem swój palec. Mróz na dworze dochodził w tym czasie do 45–50°. Zabieg nie trwał długo. Palec najpierw poczerwieniał, następnie zrobił się biały, po chwili zaczął ciemnieć nabierając koloru ciemnoszarego. Od „fachowców” obozowych, którzy tego rodzaju zabiegi doskonale znali, wiele się nauczyłem. Fachowcy byli różni, za *pajkę* chleba odcinali palce temu, kto nie mógł sam sobie tego zrobić, uczyli jak należy odmrażać poszczególne części

ciała, zbijać kolana, wykręcać ręce itd. Wiedziałem, że zbyt długo trzymać nie wolno, ponieważ później przy gojeniu może gnąć kość, co jest bolesne i długotrwałe, a czasem skończyć się może nawet amputacją palca. Nie chciałem i nie widziałem potrzeby aż tak siebie okaleczać, więc w miarę swoich teoretycznych umiejętności starałem się kontrolować swoje odmrażanie. Kiedy doszedłem do wniosku, że palec mój ma już dość mrozu, skończyłem „zabieg” i położyłem się wreszcie spać. Zmęczony fizycznie i wrażeniami dnia natychmiast usnąłem. Nazajutrz, po obudzeniu się mieszkańców izby, pokazałem wszystkim odmrożony palec. Zacząłem narzekać na nieprzespaną z bólu noc i ogłosiłem, że to poprzedniego dnia przy pracy tak go sobie odmroziłem, wobec czego muszę iść do Partyzanska. Wiedziałem, że szpital jest tylko w Južno-Jenisejsku, więc naczelnik będzie zmuszony rozkazać odwieźć mnie do tej największej osady w tym rejonie. Zabrałem swój nieodłączny worek podróży, jedzenie zostawiłem koledze (wiedziałem, że w szpitalu będą regularne posiłki) i po serdecznym pożegnaniu z towarzyszami niedoli, życząc im powodzenia w pracy i wyrabianiu normy w wyrąbywaniu drzewa, podpierając się przygotowanym przez kolegów kijem, pokuśtykałem w stronę „bardziej cywilizowanych rejonów”. Po ponad trzech godzinach „marszu” przybyłem wreszcie do Partyzanska. Tam pierwsze swoje kroki skierowałem do komendantury, aby wyjaśnić powód mojego przybycia. Poprosiłem o pozwolenie na udanie się do szpitala w Južno-Jenisejsku, a także o sanie, abym mógł tam dojechać. Wytłumaczyłem, że jest za daleko i w żadnym wypadku z chorą nogą tam nie dojdę. Komendant wyraził zgodę, natychmiast dał polecenie swojemu *izwoszczykowi* (furmanowi), aby zawiózł mnie do Južno-Jenisejska. Do rejonowego szpitala przybyłem późno wieczorem. Lekarz stwierdził odmrożenie. Ponieważ nie miałem ani gdzie mieszkać, ani pieniędzy na życie, przyjął mnie na leczenie zezwalając na przebywanie w szpitalu aż do końca kuracji. Radość moja była uzasadniona. Dopiąłem swego. Byłem w największej osadzie w tym rejonie, chwilowo miałem jedzenie i spanie. Nic więcej nie było mi potrzebne do szczęścia. Pierwszy raz od ponad siedmiu lat miałem prawdziwą, czystą pościel, idealny spokój oraz względnie dobre jedzenie (trochę jak na mój apetyt mało, ale zawsze czysto i regularnie). Okres leczenia, które przechodziło bez specjalnych komplikacji, upływał, niestety, bardzo szybko. Okazało się, że nauka obozowa nie poszła w las, odmrożenie moje było idealne – nie za duże i nie za małe, tyle ile potrzeba było do zrealizowania moich planów. Niestety, już po paru tygodniach leczenia wypisano mnie ze szpitala jako zdrowego. W szpitalu dowiedziałem się od innych chorych, że w osadzie tej dla zesłańców, którzy nie mają zawodu (a do takich ja

należałem) są właściwie tylko dwa rodzaje godziwie opłacanej pracy: przy wyrębie lasu oraz przy badaniach gruntu w lesie (badaniach geologicznych). Jeśli chodzi o badania gruntu – za pomocą świrdrów ręcznych wiercono otwory w ziemi i badano jej wnętrze. Słowem, poszukiwano terenów, gdzie znajduje się złoto (wokół osady Južno-Jenisejsk były tereny złotodajne). Prace te były wykonywane daleko od samej osady i robotnicy tej instytucji żyli w głębi tajgi, przychodząc do osady tylko raz w miesiącu na trzy – cztery dni. Zarobki ich były jednak stosunkowo dobre, lepsze nawet od *droworubów* (drwali). Wiadomości te były dla mnie cenne.

Rozdział XIII – Južno – Jenisejsk

Po wyjściu ze szpitala musiałem wrócić tam, skąd przyszedłem, czyli do naszej leśnej chaty, 4 km za Partyzanskim. Tam miałem zapewnioną pracę i mieszkanie (w *izbuszce* razem z kolegami, których pozostawiłem przed pójściem do szpitala). Za Partyzansk, do lasu skierowany zostałem oficjalnie przez naczelnego kadrowca z Južno – Jenisejska. Nie po to jednak starałem się dostać do szpitala, aby wracać do lasu. Wiedziałem, że będę miał trudności z dostaniem pracy w Južno – Jenisejsku, ale wiedziałem również, że tak łatwo nie zrezygnuję. Jedni ludzie są po to, aby stwarzać innym trudności, drudzy po to, aby je pokonywać w miarę swoich możliwości i żyć dalej. Musiałem zostać w tym największym ośrodku tego rejonu z kilku względów. Tutaj znajdowała się główna poczta, a zatem korespondencja ze światem była przyspieszona o co najmniej kilka tygodni. Wiedziałem, że każdego roku na wiosnę, gdy ruszają rzeki, transport końmi z małych osad do głównej jest utrudniony. Póki teren nie wyschnie listy leżą w budynku pocztowym (nieraz po kilka tygodni). Również na wiosnę, gdy lody spłyną i rzeki zaczynają być spławne, do Južno – Jenisejska przyjeżdżają młodzi absolwenci zawodowych, średnich i wyższych szkół na przymusową dwu- lub trzyletnią praktykę albo pracę. Przyjeżdżali z centralnej Rosji: z Moskwy, Leningradu, Kijowa i innych dużych miast europejskiej części Sowieckiego Sojuza. Zależało mi na wiadomościach, kontaktach ze światem. Interesowało mnie, co dzieje się w Europie i na świecie. Miałem też zamiar rozpocząć starania o zwolnienie mnie z zesłania. Zdawałem sobie sprawę, że w związku z tym trzeba będzie prowadzić korespondencję z Moskwą. Musiałem też nawiązać jakikolwiek kontakt z Polską. Odnaleźć kogoś, jeżeli już nie rodziców, to przynajmniej znajomych. Dać znać o sobie, że żyję, wyrok ukończyłem i chcę powrócić do Ojczyzny.

W dużej osadzie były większe możliwości otrzymania innej pracy. Po obozie musiałem przede wszystkim dobrze się odżywiać, aby dojść do siebie. Na to potrzebne były pieniądze. Przynajmniej na początek chciałem sobie znaleźć lżejszą pracę. Taką, której podołam, a która zapewni mi minimum egzystencji. Musiałem z powrotem nauczyć się normalnie żyć, wśród normalnych ludzi. Poza tym byłem jeszcze bardzo młody i uważałem, że coś z życia mi się należy. A tam, gdzie mnie skierowały miejscowe władze, nie było nic oprócz drzew.

Po wyjściu ze szpitala nie miałem ani grosza w kieszeni, nie miałem pracy, a do

tęgo nie miałem też mieszkania. Dlatego pierwsze swe kroki skierowałem do komendantury, gdzie urzędował naczelnik MGB, (Urzędu Bezpieczeństwa), kapitan Griaznow. Wiedziałem o tym, że milicja, czyli MWD lub NKWD (*Narodnyj Komisariat Wnucznych Dieł* – Narodowy Komisariat Spraw Wewnętrznych) nie wtrąca się do spraw zesłańców politycznych. My, jako ludzie bardziej niebezpieczni, podlegaliśmy wyłącznie UB. Wszedłem do kapitana Griaznowa, chciałem, a raczej musiałem mu się przedstawić oraz wyjaśnić, dlaczego się tu znalazłem i co zamierzam dalej robić. On nawet grzecznie (jak na pracownika UB) przerwał mi oświadczając, że wszystko już wie, bo został powiadomiony przez komendanta z Partyzanska. Również lekarz poinformował go o moim pobycie w szpitalu. Griaznow dziwił się tylko, co ja tu jeszcze robię, dlaczego nie idę na swoje miejsce pracy (za Partyzansk do lasu). Wyjaśniłem mu, że muszę zostać w Južno – Jenisejsku, ponieważ mój palec u nogi jeszcze mi dokucza, poza tym muszę wyleczyć zaniedbane w obozie zęby, a w Partyzansku nie ma lekarza. Nadmieniłem też, że chcę pisać do Moskwy. Po chwili namysłu powiedział, że go przekonałem. Zastanawiał się tylko, czy naczelnik kadr zezwoli mi na podjęcie pracy. Odpowiedziałem, że jeśli tylko komendant nie będzie mi robił żadnych trudności, jakoś sobie z naczelnikiem kadr poradzę. Obiecał, że jeśli wszystko będzie zgodne z prawem, nie będzie mi w niczym przeszkadzał. Zapewniając go, że nie ominę prawa, podziękowałem mu i wyszedłem.

Tak też pokonałem pierwszą, ciężką barierę. Wszystko to dość długo trwało, gdy wychodziłem z komendantury był już zmrok. Musiałem rozejrzeć się za noclegiem. Przypomniałem sobie, że na początku osady, przed wjazdem do centrum, widziałem drewniany barak – *obszczeżytie* (dosłownie: ogólne życie, inaczej dom noclegowy). Poszedłem tam, drzwi otworzył mi gospodarz tego zajazdu. Wyjaśniłem od razu, po co przyszedłem i dodałem, że nie będę mógł mu zapłacić, bo nie mam pieniędzy. Na nic nie chciał się zgodzić bez zapłaty trzech rubli za dobę. Jeszcze raz, grzecznie wyjaśniłem mu, w jakiej znajduję się sytuacji. Obiecałem też, że gdy dostanę pracę, za każdą przespaną w jego hotelu noc zwrócę mu pieniądze. I to nic nie pomogło. Chłop dobrze wiedział w jakim kraju żyje, że to co ma w ręku – to jego (a i nie zawsze), a to co ktoś mu obiecuje – to gruszki na wierzbie i nie warto sobie tym głowy zawracać. Pomógł natomiast mój ostatni argument. Zagroziłem mu, że jeśli nie wpuści mnie bez pieniędzy – spalę całą budę, bo mi już wszystko jedno: siedzieć w kryminale czy na takiej niby – wolności. To do niego przemówiło. Zmiękł, wskazał mi głową miejsce w dużym pomieszczeniu, w którym wzdłuż ścian zamontowano zwyczajne nary (jak w

obozie). Położyłem się natychmiast Cieszyłem się z załatwienia dwóch, tak poważnych dla mnie spraw. Jak na pierwszy dzień pobytu w Južno – Jenisejsku poszło mi bardzo dobrze. Po bliższym poznaniu z właścicielem baraku, okazało się, że jest on porządnym człowiekiem. Mieszkałem u niego pół roku (po uzyskaniu pracy płaciłem mu regularnie każdego miesiąca) i obaj byliśmy z tego zadowoleni.

Następnego dnia rano poszedłem do naczelnika kadr z prośbą o zezwolenie na pracę w tej osadzie. Poinformowałem go, w jaki sposób znalazłem się w Južno – Jenisejsku. Na nic były moje starania (chodziłem do niego kilka dni). Ciągłe zasłaniał się rozporządzeniem z Moskwy. Podobno polecono mu – Polakom dawać pracę jak najdalej od ludzi. Polacy to buntownicy, dlatego trzeba trzymać ich z dala od spokojnych i grzecznych sowieckich ludzi. Zażądałem, aby pokazał mi to polecenie. Niestety, nie chciał udostępnić mi dokumentów. Nie wiem – czy w ogóle było takie rozporządzenie, czy też był to po prostu jego pomysł na pozbycie się natrętnego „polaczka”. Wreszcie miałem już tego dość (chodzenie każdego dnia, czekanie na korytarzu). Powiedziałem mu, że napiszę na niego skargę do Moskwy, ponieważ dyskryminuje Polaków i dlatego, że jestem Polakiem nie chce mi dać pracy. To poskutkowało. Przez tyle lat mojego pobytu w ZSRR nauczyłem się, że ta prowincjonalna czerwona burżuazja panicznie boi się skarg do wyższych instancji. Po ostatniej rozmowie z naczelnikiem kadr natychmiast dostałem pracę (wprawdzie 9 km od osady, ale to już był drobiazg). Pieniądze na życie pożyczałem dotychczas od gospodarza hotelu robotniczego.

Następnego dnia rano, zgodnie z poleceniem oraz pozwoleniem na pracę w tej osadzie, zgłosiłem się do naczelnika južnojenisejskiego *Uprawnienia* (kierownictwa). W biurze po krótkiej rozmowie z naczelnikiem leśnego „przedsiębiorstwa zostałem przyjęty do pracy. Otrzymałszy zaliczkę na zakup prowiantu, poszedłem do sklepu i kupiłem żywność na cały tydzień. Następnego dnia pracowałem już w lesie (9 km od osady). Zostałem przyjęty na stanowisko *dróżnika*. Wycinałem krzaki lub młodniak leśny, aby torować drogę *izwoszczykom* (furmanom) leśnym przy zwożeniu drzewa z głębi lasu na główną drogę. Praca była nisko opłacana, ale nie była zbyt uciążliwa. Na razie byłem z niej zadowolony. Cały tydzień spałem w leśnej chałupie. W sobotę przychodziłem do osady na film, do klubu lub w odwiedzinach do znajomego. W osadzie jeszcze nie miałem mieszkania. Nocowałem u kolegi, aktora teatralnego Leonida Iwanowicza Juchina (również był zesłańcem politycznym, pochodził z Moskwy). Czasami nocą wracałem do swej leśnej chałupy. W Južno – Jenisejsku spotkałem też

rodaka – p. Józefa Koropasia. Pracował on jako ślusarz w warsztacie mechanicznym. Pochodził jak ja z Borysławia, często więc rozmawialiśmy o naszym rodzinnym mieście, tak odległym od naszego obecnego miejsca zamieszkania.

Podczas jednej z naszych rozmów opowiedział mi o pewnym wydarzeniu, które miało miejsce tuż przed moim osiedleniem w Jużno-Jenisejsku. Otóż, któregoś zimowego dnia autobusem (kursującym na trasie Motyginino – Jużno – Jenisejsk) przyjechało do osady trzech „zakonnych” złodziei. Do Motygina przylecieli samolotem (kursującym w pogodne dni na trasie Krasnojarsk – Motyginino). Jeden z nich (ich szef) uzbrojony był w krótką broń palną, którą zdobył w Krasnojarsku zabijając milicjanta. Przyjechali oni do Jużno – Jenisejska, aby uregulować jakieś stare porachunki z jednym z tymczasowych mieszkańców naszej osady – byłym kryminalistą, który przebywając w lagrach Workuty naruszył niepisane prawo zakonu złodziejskiego. Przegrał w karty z jednym ze swoich kolegów i nie oddał partnerowi pieniędzy. Na naradzie „starszych” złodzieje wydali na niego wyrok śmierci. W obozie, z przyczyn od nich niezależnych, nie mogli go wykonać. Czekali zatem cierpliwie na odpowiedni moment. W tym czasie ich ofiara ukończyła odsiadanie wyroku i udała się do Jużno – Jenisejska na dodatkową karę zesłania Mordercy dopadli ją po trzech latach od tego momentu. Wyrok wykonali, strzelając z nagana prosto w serce. Groźni przestępcy zostali ujęci po trzech tygodniach w osadzie Rozdolińsk (oddalonej o kilkanaście kilometrów od naszej osady). Jak się później okazało, adres swojej ofiary uzyskali, przekupując pracownika prokuratury NKGB. Po tym sprawa była już dla nich zupełnie prosta. Według podziemnego kodeksu sprawiedliwości stało się zadość.

Był już rok 1952. Lato w tej części Sybiru jest krótkie, ale za to ciepłe i słoneczne. Wiatru prawie nie ma, wszystko jest zasłonięte rosnącymi wokół lasami. Jedyna plaga to muszka, tak samo dokuczliwa jak kazachstańska. W lesie jest także bardzo dużo komarów. Z zwierząt leśnych w tym regionie są zające i niedźwiedzie, z ptaków – głuszce. Zające, nieco mniejsze od naszych, w zimie zmieniają sierść. Są zupełnie białe, oczy zaś mają czerwone. Niedźwiedzie, tzw. *murawiejniki* (mrówkojady), żywiły się leśnym runem oraz mrówkami. Były znacznie mniejsze od naszych górskich niedźwiedzi. Nie było tu natomiast susłów, jakich mnóstwo spotykałem w stepach kazachstańskich. Susły kazachstańskie żyły miejscami w koloniach. Ich gniazda (zakładane w ziemi) zajmowały obszar kilkudziesięciu metrów stepu. Łowiliśmy je zwyczajnie wodą lub za pomocą siideł z końskiego włosia. Łowiąc siidełami – należało wejść na teren kolonii i na wierzch otworów prowadzących do

gniazd nałożyć oczka siatek. Wystarczyło chwilę się przyczaić, a ciekawskie susły zaczynały wysuwać głowy na wierzch. Przestraszone hałasem szybko cofały głowy z powrotem. Wtedy nastawione siatki, których końce przymocowane były do palików wbitych w ziemię, zaciągały się im aa szyi i dusiły je. Łowienie susłów wodą było prostsze. W otwór gniazda wlewało się wodę i susły, by się nie utopić, zmuszone były wyjść na zewnątrz. Wtedy można je było łatwo chwycić rękoma. W stepie kazachstańskim trudno było jednak znaleźć wodę, dlatego łowienie siatkami było bardziej popularne. Mięso susłów smakowało podobnie do mięsa królika. Należało je tylko ostrożnie patroszyć, ponieważ po naruszeniu gruczołów zapachowych znajdujących się pod pachami przednich łapek, mięso nie nadawało się już do spożycia z powodu ohydny zapachu.

Lato szybko minęło. Znowu nastąpiła mroźna i długa zima. Mrozy nierzadko dochodziły do -50° . W Južno-Jenisejsku obowiązywały przepisy, że od 46° mrozu można już było nie chodzić do pracy na wolnym powietrzu. Termometry były oczywiście tylko w biurze i nikt z *naczalstwa* nie był zainteresowany powiadamianiem jaka jest temperatura robotników pracujących głęboko w lesie. Od miejscowej ludności nauczyliśmy się odróżniać mrozy „ponad normę”. Wystarczyło plunąć na rękę. Przy temperaturze $40-46^{\circ}$ mrozu splunięta ślina spadała na rękę jeszcze mokra i rzadka, natomiast powyżej 47° mrozu opadała już jako zamrożona kulka śniegowa.

Przez lato doszedłem do siebie, byłem lepiej odżywiony, miałem więcej sił. Zrezygnowałem dobrowolnie z pracy *dróżnika* – lekkiej, ale źle płatnej. Chciałem pracować jako drwal. Przyzwyczaiałem się do tej ciężkiej i bardzo niebezpiecznej pracy. Musiałem więcej zarobić, byłem w długach i miałem poważne braki w odzieży. W niedługim czasie, pracując już w charakterze *droworuba*, wynająłem w osadzie pokój sublokatorski, za który płaciłem 50 rubli miesięcznie. Cały dom w tej miejscowości można było kupić za 5 – 6 tysięcy rubli. Domy były tu całe z drewna. W zimie w mieszkaniu było ciepło, dopóki paliło się w piecu. Po wygaśnięciu pieca oziębiało się, a nad ranem woda pokrywała się cienką warstwą lodu.

Miejscowa ludność, osiadła z praprzodków zesłańców lub wolnych (*Batraw* – wyrobników), była życzliwie nastawiona do zesłańców politycznych (w większości z Europy Środkowej). Rozmawiałem z wieloma Rosjanami, którzy znali Polaków. Mówili o nas zawsze „pan polski”. Oczywiście mieli na uwadze „panów” Polaków z Polski przedwojennej. Mówili, że byli to „panowie” bogaci, nawet robotnicy byli wtedy dobrze sytuowani. Przed wojną polski robotnik, który miał pracę, żył jak „pan”. „*Jak u*

nas krasnyj burżuj, pierwyj sekretar” – dodawali na zakończenie. Wiadomo im było z opowiadań, że nawet zesłańcy polscy byli bogaci. Twierdzili też, że nasi przedwojenni oficerowie mieli piękne mundury, nosili orła z koroną. Jednak na zakończenie zawsze dodawali: „*teraz wy Polski nie imiejetie, bo my swoju łapu położyli na waszych polskich panów. Teraz imiejetie takie samo gawno jak u nas. I na szapkie nie orła, a no podochłu kurycu (zdechłą kurę) imiejetie*”.

Denerwowały mnie takie rozmowy, ale musiałem je znosić. Żyłem wśród Rosjan, to byli moi sąsiedzi, znajomi. Obserwowali mnie, moje zachowanie. Wśród starszych mieszkańców mojej osady było wielu oficerów, którzy podczas ostatniej wojny byli w Polsce, w Niemczech, na Węgrzech (jako *frontowniki*). Państwa te wspominali zawsze z zazdrością jako *kulturalnyje strany* (kulturalne państwa). Wielu z nich mówiło, że po wojnie zostali przeniesieni służbowo na Sybir. Za dużo widzieli w Europie i za bardzo ją chwalili. Rozmawiając o niej zawsze byli rozrzewnieni, wszystkim zachwyceni, nawet tym, czym się szcycić nie należy. Wspominali o każdym drobiazgu. Na przykład jeden z nich potrafił opowiadać przez dłuższy czas o tym, jak spał u kogoś w Polsce *na kwartiri* (na kwaterze). Dokładnie pamiętał, jak czesał się rano przed lustrem, jaką ono miało oprawę, jakie wykończenie i jakie było piękne. Na zakończenie dodawał: „u nas takie lustra tylko w muzeum”. Rozmawiałem z nimi szczerze o wszystkim, ale tylko sam na sam. Przy osobie trzeciej zamykali się, byli zupełnie innymi ludźmi. Grali dobrze wyreżyserowane role, powtarzali znane slogany: „my partia, my ludzie sowieccy, my niesiemy szczęście innym narodom, komunizm zapanuje nad światem” itd.

W osadzie mieszkał też pewien oficer w stopniu starszego lejtnanta. I on był w Polsce – „wyzwał ją”. Nienawidził Polaków. Zawsze, kiedy mnie spotkał, mówił coś obraźliwego na temat mojej ojczyzny lub moich rodaków. Swe wywody snuł najczęściej, kiedy zebrało się większe grono osób. Dowcipkował wówczas, że przyjdzie taka chwila, kiedy Polska będzie ich następną republiką, że oni nas „nakryją czapkami”. Twierdził, że w Polsce mieszkają same *niszczyje* (dziady) i że nigdy już nie będzie Polska tak bogata i samodzielna, jak przed rokiem 1939, bo sowiecki naród i partia postarają się o to. Człowiek ten doprowadzał mnie do szału. Unikałem spotkań z nim. Pewnego razu wracając z pracy, przechodziłem koło jego domu. Zobaczyłem go z daleka, zgarniał śnieg z podwórza. Chciałem przejść niezauważony drugą stroną ulicy, niestety nie udało mi się to. Z daleka śmiejąc się, zaczął krzyczeć: „*no idi, idi, nie bojsia, polskaja sobaka*” (idź, idź, nie bój się psie polski). Tego już miałem dość.

Wiedziałem, że jeżeli teraz nie skarzę go za jego zachowanie, będzie mnie obrażał zawsze. Do siłaczy nigdy nie należałem, ale przez lata doszedłem w bójce do wprawy. Pierwsze nauki ataku pobrałem będąc w AK. Podczas okupacji niemieckiej rozwijałem umiejętności. Jednak najlepszą i najcięższą praktykę przeszedłem w sowieckich lagrach. Byłem, gdy ktoś mnie zaczepiał lub chciał mi wyrządzić krzywdę, ale też byłem bity. Nigdy nie skarżyłem się, ponieważ w obozie uważałem bijatyki za coś normalnego. Tam, gdzie jest duża liczba osób żyjących w nienormalnych warunkach, zawsze powstają różnego rodzaju konflikty, których nie da się zażegnać drogą perswazji czy pokoju.

Pracowałem w lesie, ręce miałem ciężkie i silne. Każdy swój mięsień czułem mocny i twardy. Codziennie na mrozie przez siedem godzin stawiałem 4 metry sześciennie drzewa. Moja praca przebiegała w sposób następujący. Po przyjsciu do lasu wybierałem na swojej „działce” odpowiednie sosny. Z praktyki orientowałem się już, ile trzeba ich ścinać, aby zrobić 4 m³ drewna (czasami wystarczała jedna), następnie siekierą robiłem *powal*, czyli ścinałem je (nie potrafiłem ścinać piłką ręczną, zwaną *łuczkom*, bo drzewo po przyciśnięciu łamało ją). Piłką przecinałem je na metrowej długości kłocce, które później rozkrawałem na cztery lub sześć części, w zależności od grubości sosny. Po tym składałem drwa w sagi, a na końcu paliłem konary, porządkując w ten sposób „swoją działkę”.

Pomimo tego, że mój prześladowca był ode mnie wyższy i cięższy, nie bałem się go. Byłem wściekły za wszystkie jego obelgi, przekleństwa, złorzeczenia na Polskę i Polaków. Idąc do niego, widziałem spod swojej zimowej czapy jego wykrzywioną złością twarz. Spodziewał się zbić mnie łopata, którą trzymał w pogotowiu na ramieniu. Będąc blisko usłyszałem jego słowa: „no chodź, chodź to cię poczęstuję łopata”. Podchodząc obserwowałem go, gdzie i jak stoi. Szybko doszedłem do przekonania, że z biciem nigdy nie miał nic wspólnego. Stał za bramą przy furtce, Uczę, że będę przez nią wchodził i wówczas zdąży mnie znienacka uderzyć. Tym samym, jak mu się wydawało, miał co najmniej pół sekundy przewagi nade mną. Nie spodziewał się, że wejść inaczej. Dochodząc do płotu, udałem, że rzeczywiście chcę wejść przez furtkę, co go upewniło, że zdąży mnie uderzyć jako pierwszy. Wtedy z rozpędem napałem na bramkę, która z siłą uderzyła go w brzuch. Skurczył się wypuszczając łopata z rąk. Teraz łopata i on był mój. Pobitem go jak należy. Za Polskę. Liczyłem na to, że były oficer (był zdemobilizowany) będzie honorowy i sprawę potraktuje jako niebyłą, w myśl sowieckiego powiedzenia „otrzymałeś to, na co zarobiłeś”. Sprawa potoczyła się

trochę inaczej. Ponieważ milicja niechętnie wtrącała się do spraw z zesłańcami politycznymi, o czym były wojskowy dobrze wiedział, poszedł on złożyć na mnie skargę bezpośrednio do Urzędu Bezpieczeństwa. Następnego dnia rano przyszło do mnie dwóch uśmiechniętych towarzyszy z UB. Kazali się ubrać i grzecznie zaprosili na *adnu minutku* (jedną minutę) do komendy – celem, jak się wyrazili, wyjaśnienia pewnego nieporozumienia towarzyskiego. Znając z własnego doświadczenia instytucję, z jakiej ci mili, uśmiechnięci panowie przychodzą, wolałem od razu się ubrać tak, jakbym wychodził nie na jedną minutkę lecz na 5 – 10 lat, aby później nie być niemile rozczarowanym.

Przyjmujący mnie komendant na mój widok zrobił groźną minę. Był tam również poszkodowany, miał obandażowaną głowę. Kiedy tylko przekroczyłem próg, komendant zaczął krzyczeć: „Posadzę cię, na katogę ześlę, z więzienia nigdy nie wyjdiesz, do sądu podam” itd. itd. Poczekalem, aż się wykrzyczy, po czym grzecznie odparłem, że jeżeli poszkodowany nie odwoła skargi, to pójdę do więzienia, jeśli mnie *komandir* zamknie, ale napiszę też do *Bat’ka* Stalina. Dodałem, że on jest wszechwiedzący, sprawiedliwy, najmądrzejszy na świecie, bo jemu Pan Bóg dał taki rozum, że on z mojej skargi będzie wiedział, kto jest winien. Powiedziałem też, że napiszę, jak ten tu siedzący obywatel przeklina Polskę, że ja nie mogę spokojnie przejść przez ulicę, bo on mnie obraża itd. Mówiłem ich słowami, utartymi sloganami partyjnymi, tak jak oni modliłem się do Stalina uważając go za swojego Boga, równocześnie jednak nie bojąc się panicznie wymawiać jego imienia.

Mój gwałtowny wybuch zaskoczył ich obu. Spodziewali się, że przyjdę przestraszony, skromny, nieśmiały, prosząc ich o przebaczenie. Śmiałość, z jaką wypowiadałem imię Stalina, groziłem donosem, zupełnie ich obu zdezorientowała. Po tym mój komendant (z pochodzenia Tatar) zwrócił się do mojego przeciwnika. Wstał zza biurka, nałożył wojskową czapkę i mierzając go oczyma, krótko powiedział: „Coś ty narobił. Chcesz na cichą osadę nieszczęście sprowadzić. I ja dostanę po uszach od swojego *naczalstwa*, tak ty *swolocz* z *tiurmy* nie wyjdiesz (draniu z więzienia nie wyjdiesz), wycofujesz swój donos czy nie”. Tamten przestraszony odparł szybko, że tak, a nawet, że on tylko żartował i że już nigdy więcej Polski i Polaków nie będzie przeklinał. „No a teraz ty Polaka przeproś i *poszoł won k czertiam*” – powiedział komendant. Tak też się stało, poszkodowany przeprosił mnie, pożegnał nas i wyszedł. Wówczas komendant uśmiechając się powiedział do mnie: „no a ty teraz już jesteś chyba zadowolony, prawda?” Pożegnałem go i szczęśliwy wyszedłem.

Nadeszło lato 1953 roku. Jak na tamtejsze warunki chodziłem nieźle ubrany. Miałem garnitur uszyty na zamówienie u tamtejszego krawca, Ukraińca z zachodniej Ukrainy. Miałem modne skórzane meszty, koszulę z zawsze wyprasowanym kołnierzykiem oraz krawat. Pewnym niedzielnym przedpołudniem ktoś zapukał do drzwi. Otwieram, patrzę, a tu wchodzi aż siedmiu kolegów. Byłem bardzo zdziwiony, dlaczego ich aż tylu przyszło. Wszyscy z tajemniczymi minami. „O co chodzi” – spytałem. Petro (nazwiska nie pamiętam) zaczął uroczyście opowiadać, że oni bardzo szanują mój kraj, że bardzo lubią Polaków. Wprawdzie jemu ojciec opowiadał, że kiedy był podczas rewolucji w kawalerii, Polska dopiero powstawała po wielu latach niewoli. Nie wiedział, czy prawidłowo wypowiadał, ale przypominał sobie, że był u nas jakiś wielki pan, który nazywał się Piłsudskij. To on był tak „zjadły” na bolszewików, że gonił ich aż do Kijowa. Również jego ojca. „*Ale to stare dzieje – podsumował – my przyszli do ciebie prosić, żeby ty nas nauczył gałstuki (krawaty) wiązać*”. I oni chcieli też elegancko wyglądać, a nie mieli od kogo nauczyć się wiązać krawatów. Cóż było robić, nauczyłem ich to robić, a oni mnie w rewanżu pić wódkę *stakańczykami* a na zakąskę wachać *kisłoj* (kwaśny czarny chleb) i zakasać cebulą. Wszyscy byliśmy zadowoleni, oprócz naszych przełożonych, ponieważ trzy dni nie było nas w pracy.

Wódkę na Syberii piło się w *stakańczykach* (graniastych szklankach o zawartości płynu 200 gram). Spirytus piło się na gramy: 40 g, 80 g, i 120 g. Ta ostatnia była solidną porcją. Za jednym zamachem pili ją tylko ci, którzy mieli „dobrą zaprawę” i mocną głowę. Na Syberii, w tym rejonie gdzie byłem, ludność wyrabiała tzw. *bragę*. Do drewnianej beczki, która stała w przedsiionku nalewali wodę, do tego dodawali cukier, drożdże, jakieś syberyjskie ziele i tak to przez jakiś czas fermentowało. Niektórzy dla *kreposti* (mocy) dodawali tytoń krupczatkę.

Swego czasu zostałem zaproszony do domu rodowitego Sybiraka. Tamtejszy zwyczaj nakazywał, aby przed wejściem do komnaty wypić *bragi* (gościnnego). Byłem nieostrożny, a może zbyt pewny siebie co do wytrzymałości w picciu. Półlitrowy garnuszek wypełniłem po brzegi i duszkiem wypilem. Było lato, braga zimna i smaczna. Po minach gospodarzy zaraz się zorientowałem, że chyba za dużo łyknąłem na raz. Skutek był nieomal natychmiastowy. W moich oczach – sufit zaczął nachylać się ku podłodze, a podłoga przechylać we wszystkie strony. Musiałem się ze dwie godziny przespać. Później uczestniczyłem w przyjęciu przy uroczystym stole.

Wiosną, w marcu 1953 roku, przechodząc koło klubu w Južno – Jenisejsku usłyszałem przez *kolchoźnik* (głośnik nastawiany przez centralę radiową) grobowy głos

spikera. Nieomal płacząc ogłosił on śmierć Stalina. Radość moja nie miała granic. Stałem jak wryty. Poczekalem dłuższą chwilę, aby raz jeszcze usłyszeć tę wiadomość. Cierpliwie wysłuchałem muzyki poważnej, po czym zbliżyłem się do głośnika. Znowu usłyszałem ten wspaniały, poważny głos. Zamieniłem się w słuch. Tak, nie przesłyszałem się! Głos powtórzył to samo, umarł Stalin! Chciało mi się krzyżeć z radości – umarł kat. Przeżyłem już jednego zbrodniarza ludzkości – Hitlera. Teraz znowu szczęście, przeżyłem drugiego wielkiego kata — Stalina. Czułem, że coś musi się zmienić na lepsze. Być może tyrania sowiecka przestanie istnieć. Prawdopodobnie dotychczasowi członkowie rządu będą musieli ustąpić. Naród sowiecki przestanie być narodem niewolników, przestanie być jednym wielkim cyrkiem wytresowanych zwierząt. Tak wtedy myślałem. Bałwochwalstwo narodu sowieckiego w stosunku do Stalina było wręcz nie do zniesienia. Byłem na kilku ich zebraniach. Przypominały przedstawienie teatru kukielkowego. Sceną było audytorium, kukielki recytowały na pamięć wyuczone role, a publiczność – stado nie myślących małą — klaskała. Po śmierci Stalina ludność tubylcza przez jakiś czas chodziła załamana i smutna (nie wszyscy), niektórzy nawet płakali. Po jakimś czasie zaczęto usuwać obrazy z podobizną Stalina. Coraz częściej i śmielej zaczęto mówić na zebraniach o błędach rządów Stalina.

Zacząła się krytyka „stalinowskich zauszników”, słowem, na każdym kroku wyczuwało się odprężenie. Przypominam sobie też pewien epizod. Kiedy w klubie odbywało się jakieś otwarte zebranie partyjne i trzeba było przyciągnąć publiczność, zapowiadano zawsze, że zebranie będzie krótkie, a po nim będzie wyświetlany amerykański film. Filmów amerykańskich i zachodnioeuropejskich Rosjanie mieli bardzo dużo, na początku wyświetlano zawsze napis: „*etot film wziat w kaczestwi trafieja wo wremija wojny*” (ten film wzięty jako zdobycz podczas wojny). Zwykle na taki film schodziła się cała osada, od dzieci do starców. Opowiadano mi, że zaczęto je pokazywać dopiero po wojnie. Po Rewolucji Październikowej wyświetlano tylko *brechni kolchoznyje* (kołchozowe kłamstwo). Kiedy na pytanie: jaki dziś film, padała odpowiedź: „*brechnia kolchoznaja* pytający krzywił się, machał ręką i odpowiadał – niech sami idą”.

Powróćmy do wspomnianego zebrania. Za stołem przykrytym długim, czerwonym materiałem siedziało całe audytorium, najważniejsi ludzie w osadzie, jak ich sowieccy robotnicy nazywali „*krasnyje burżuje*” (czerwoni kapitaliści). Przeciągały się ich nudne, puste i kłamliwe rozmowy i przemówienia. Nagle, podczas chwilowej ciszy, padł z lekka podпиты głos: „*dawolno wam jazykom bołtat gluposti, dawajtie kino*”

(wystarczy wam językiem mieć głupoty, dawajcie kino). Poznałem po głosie mojego kolegę, robotnika leśnego. Zrobiło mi się żal, że chłopak według normy stalinowskiej dostanie za to wyrok najmniej dziesięciu lat obozu. Natychmiast podeszło do niego dwóch milicjantów i zabrało go z sali. Następnego dnia idę drogą, patrzę i oczom nie wierzę. Mój znajomy (na imię miał Petro) idzie sobie spokojnie i z dala śmieje się do mnie. Zapytałem go zdziwiony, dlaczego jest wolny, jak to możliwe, że wypuszczono go po takim wybryku. Roześmiał się pełną gębą, aż odsłoniła mu się złota koronka na zębie (wówczas zaczęła tam panować moda na złote koronki, które zakładano na zdrowe zęby; świadczyły one o bogactwie ich właściciela) i odpowiedział: „*Batiuszka Stalin podoch a nam lochsze stało byt*” (Ojczulek Stalin zdechł i nam zaczęło być lżej). Przespał całą noc na milicji, rano dali napić się gorącej wody i powiedzieli, żeby poszedł sobie do diabła i więcej nie „mieszał” (przeszkadzał) na zebraniach. Ucieszyłem się z takiego obrotu sprawy.

W lecie 1953 r. w Južno-Jenisejsku po raz pierwszy pojawiły się w sprzedaży rowery. Znowu, w wolnych chwilach, miałem dodatkowe zajęcie. Uczyłem jazdy na tym środku lokomocji, w tej miejscowości dopiero od tego roku masowo dostępnym. W sprzedaży pojawiły się także zegarki. Do tej pory mieli je tylko ci, którzy byli na froncie zachodnim i kupili je od miejscowej ludności lub zdobyli w inny sposób. Zegarek dla przeciętnego obywatela sowieckiego był marzeniem nie do zrealizowania. Właściciel zegarka zawsze nosił go ze sobą i bardzo często z niego korzystał ostentacyjnie nań spoglądając, by wszyscy widzieli, że jest on posiadaczem takiego skarbu. Były też doskonale materiały wełniane (zresztą z Polski). Trzeba przyznać, że w miejscowości tej również sklepy z żywnością były doskonale zaopatrzone, oczywiście jak na tamtejsze warunki. Cukier i masło były w sprzedaży w dowolnej ilości. Nie tak jak w Krasnojarsku, dużym mieście wojewódzkim, gdzie masła i cukru nie było. Dbano wówczas o naszą osadę, ponieważ wydobywano tu złoto. Zaraz po moim osiedleniu się tutaj można było wydobywać złoto prywatnie, na własną rękę. Zdawano wtedy kruszec do banku, za co otrzymywano pieniądze. Później zaniechano prywatnego wydobywania. Zajęli się tym robotnicy, którzy wydobywali złoto mechanicznie, przy pomocy tak zwanej draży amerykańskiej. Był to jak gdyby ogromny statek, z równie ogromną koparką. Statek-maszyna pływał po wodzie, brnąc do przodu przekopywał teren, do którego wpływała woda. Maszyna ta poruszana była za pomocą pary. Kotły spalały na dradze ogromną ilość drewna. Stąd zawsze tu było zapotrzebowanie na robotników leśnych.

Praca *droworubow* była bardzo ciężka. Poza wysiłkiem fizycznym, w lecie dokuczała okropna, mikroskopijna muszka, znana mi już z środkowej Azji – Kazachstanu. Pracowaliśmy w siatkach ochronnych z włosia końskiego (po 25 rubli – jedna). Ubierało się je na głowę, końce materiału wkładając za koszulę. W ten sposób chroniliśmy twarz przed muszkami, ograniczając też dopływ powietrza tak, że pot zalewał twarz. Na brzuchu, w okolicy pasa, ciało było zawsze pożarte, całe w czerwonych bąblach, ręce też. Jakiś czas próbowałem pracować nocą, wprawdzie nie było wtedy muszki, ale podwójna ilość komarów nie dawała spokoju (gryzły nawet przez robocze ubranie, a i dym z ogniska, jakie paliliśmy, by je odstrążyć, nie pomagał). Do tego jeszcze dochodziła ciemność i nie zawsze było widać, czy ścięte przeze mnie drzewo pada w odpowiednim kierunku. Nocne powały były niebezpieczne.

W baraku leśnym żyliśmy przez cały tydzień, ale jeśli ktoś chciał, mógł codziennie chodzić do *posiolka*. Tubylcy uprzedzali nas jednak, żeby do osady zawsze chodzić w grupie i mieć przy sobie siekiere na wypadek spotkania z niedźwiedziem. Młodzi na ogół lekceważyli te ostrzeżenia. Często chodziłem do osady. Grałem w siatkówkę w drużynie rejonowej i byłem trenerem drużyny dziewczęcej (uczennic IX i X klasy). Chodząc do osady, zawsze nosiłem przy sobie siekiere, chociaż nigdy nie spotkałem żadnego niedźwiedzia. Mimo to, że w naszej okolicy było ich podobno dużo. W nocy nieraz grasowały na położonym obok osady pastwisku – starym lotnisku. Kiedyś, za czasów świetności Južno-Jenisejska, lądowały tam małe samoloty – kukuruźniki. Za moich czasów nie wylądował tam ani jeden samolot, lotnisko było porośnięte trawą. Zdarzało się, że jednej nocy ofiarą niedźwiedzia padały dwie lub trzy krowy. Ja jednak, po jakimś czasie noszenia na ramieniu ciężkiej siekiery – miałem tego dość. Przestałem wierzyć, że na swojej leśnej ścieżce mogę spotkać niedźwiedzia. Owszem, jesienią, gdy wglębialiśmy się w tajgę wyrabując las, czasami słyszeliśmy ryki niedźwiedzi płoszonych z barłogów, lecz nigdy ich nie widziałem.

Pewnego razu idąc do osady (miałem jeszcze ze 3 km marszu), kilkanaście metrów przede mną zobaczyłem niedźwiedzia. Siedział obok mojej ścieżki, w odległości około 6 m. Przednie łapy zanurzył w ogromnym leśnym mrowisku i czekał, aż je obsiada mrówki. Gorąco i zimno na przemian zaczęło mi się robić, obleciał mnie strach. W pierwszej chwili pomyślałem o ucieczce w powrotną drogę, lecz wnet oprzytomniałem, bo był to absurdalny pomysł. „Co robić? Dlaczego nie wziąłem siekiery?” – tysiące myśli kłębiło mi się w głowie ze strachu. Na szczęście górę nad

nimi wziął rozsądek. Nie zatrzymałem się ani na chwilę. Jak szedłem – nie wiem. Miałem wrażenie, że nogi mam jak z waty. Bałem się, że niedźwiedź może wyczuć mój strach i wykorzystać to. Myśląc tak brnąłem dalej, po chwili się z nim zrównałem. Pan syberyjskich lasów nie raczył nawet spojrzeć na mnie, a tym bardziej przerwać swojej biesiady. Wszystko to widziałem kątem oka, mijając go. Po tym, miałem ochotę oglądnać się, czy nie skrada się za mną cicho. Nie zrobiłem tego, by go nie sprowokować. Będąc już dobre kilkaset kroków od niego, usłyszałem z boku trzask gałęzi. Miałem nadzieję, że mój prześladowca już sobie poszedł, aż tu nagle zobaczyłem go znowu przede mną. Stał obok drzewa i obwąchiwał je. Znowu musiałem przejść obok niego. Sytuacja powtarzała się do samej osady. Kiedy wreszcie zobaczyłem znajome domki i usłyszałem odgłosy szczekających psów, nie wytrzymałem nerwowo i pędem pobiegłem do osady. Wydawało mi się, że niedźwiedź nie byłby w stanie mnie dogonić. Oglądnałem się dopiero na skraju osady. Niedźwiedzia już nie było. Od następnego dnia znów zacząłem nosić ze sobą siekiere, lecz już nigdy więcej nie spotkałem niedźwiedzia. Mięso niedźwiedzia jadłem. Było w nim czuć mech, bo osoba, która smażyła kotlety nie umiała ich odpowiednio przyprawić.

I tak mijały tygodnie, miesiące, lata mojego pobytu na obczyźnie. W wolnych chwilach zapoznawałem się z literaturą klasyków rosyjskich (Gogol, Czechów, Turgieniew – to wspaniali pisarze rosyjscy). Jednak coraz bardziej męczyła mnie nostalgia, coraz bardziej tęskniłem za ojczyzną, marzyłem o powrocie. Pamiętam, jakie wrażenie wywarł na mnie śpiew chóru polskiego, który usłyszałem pierwszy raz po wojnie w 1953 roku. Śpiewano wówczas „Na prawo most, na lewo most, a dołem Wisła płynie”. Stałem i słuchałem jak wryty.

O ucieczce ze zsyłki nie było mowy. Sieć milicji i Urzędu Bezpieczeństwa była machiną doskonale rozwiniętą.

Któregoś dnia złapałem się na tym, że łatwiej mi myśleć po rosyjsku niż po polsku. Postanowiłem częściej odwiedzać pana Józefa Korpasia, który przebywał wówczas w Južno – Jenisejsku (obecnie mieszka w Wałbrzychu). Prowadziłem z nim długie rozmowy w ojczystym języku. Rozmawiałem z nim też o próbie ucieczki, chociaż zdawałem sobie doskonale sprawę z minimalnych szans na jej powodzenia. I on ją odradzał. Nie mogłem przekroczyć żadnej granicy, zresztą do najbliższej miałem około 1 500 km – Mongolia lub Chiny – a tam podobny ustrój. Podczas rozmowy o ucieczce przypominałem sobie o pewnym koledze, który pracował ze mną w stepie przy

sianokosach, w obozie w Kazachstanie. Ingusza Ziazikow, tak się nazywał, pochodził z gór Kaukazu. Stamtąd został wywieziony wraz z całą rodziną, podobnie, jak inni Czecceni, Ingusi i Tatarzy krymscy. Tych, około dwóch milionów ludzi, po wojnie Stalin posądził o współpracę z Niemcami i kazał wywieźć do Kazachstanu. Wszyscy oni tęsknili za miejscem swojego urodzenia. Ziaznikow namawiał mnie do ucieczki z obozu. Mieliśmy wówczas duże szansę – byliśmy rozkonwojowani. Z naszych planów zwierzyliśmy się „Radzie Starszych Inguszów”. Ci odradzili ją nam, jasno przedstawiając, że nie mamy żadnych szans. Za ucieczkę groził nam dodatkowy wyrok, jeżeli nie zostalibyśmy zabici już w jej trakcie. Posłuchaliśmy Rady i zrezygnowaliśmy. Ingusi i Czecceni cieszyli się w obozach wielkim szacunkiem. Byli zawsze zjednoczeni i dobrze zorganizowani. Na czele ich grupy stała tzw. Rada Starszych, która decydowała o swoich współtowarzyszach. Reszta musiała się podporządkować temu, co oni ustalili. Nasza sprawa była przez nich roztrząsana w stepie, w starym kazachskim *aule* (byłym stepowym domku kazachskim). Takich auli, od dawna nie zamieszkanych przez tubylców, wiele było rozsianych po stepie. Miały one kształt trójkąta, o podstawie szerokiej – zwężającej się ku górze, zakończone u góry otworem dymnym. Budowane były z *kiziaku* (nawóz mieszany ze słomą i gliną, formowany w małe cegiełki). Podczas naszej rozmowy wspomniałem również o kilku próbach ucieczek w Dżezkazganie, które zakończyły się tragicznie. Uciekających przywożono zawsze z powrotem do naszego obozu mocno pobitych i skutych kajdanami. Przywiązywano ich do słupa, aby wszyscy więźniowie wychodzący do pracy oglądali ich jako odstraszący przykład. Jedyna udana ucieczka z Dżezkazganu do dzisiejszego dnia pozostała dla mnie tajemnicą. Pewnej nocy pod samą wyżką strażniczą przeszło czterech uciekinierów: dwóch Niemców, Polak i Rosjanin. Cały obóz (kilka tysięcy ludzi) komentował tę udaną ucieczkę i wszyscy cieszyli się z tego sukcesu. Chodziły słuchy, że dwóch z czterech uciekinierów było z wywiadu. Nikt z nas nie dowiedział się prawdy. Faktem jednak było, że ucieczka była udana i z tego wszyscy lagiernicy byli wówczas dumni. Naśmiewano się z dyżurnych, którzy twierdzili, że uciekinierów złapano, a do obozu nie przywieziono z uwagi na odległość. Były to kompletne bzdury.

Pan Koropaś szczycił się tym, że był przedwojennym komunistą. Zawsze podkreślał, że przedwojenni komuniści byli prawdziwymi patriotami. Jacy byli obecni komuniści – nie wiedział lub też nie umiał mi wyjaśnić. Dziś, z perspektywy tylu lat, sam doszedłem do tego, jaka jest między nimi różnica. W niedługim czasie pan Korpaś wyjechał (miał ograniczoną zsyłkę – do 5 lat). Zostałem sam. Dopiero po jakimś czasie

poznałem jeszcze trzech Polaków (ich nazwisk jednak już nie pamiętam).

Wkrótce mój komendant zezwolił mi wyjechać z drużyną sportową na dwa tygodnie do Krasnojarska, na wojewódzkie rozgrywki sportowe. Ucieszyłem się. W kilka dni później wyruszyliśmy w długą podróż. Najpierw przejechaliśmy 80 km samochodem do Motygino. Stamtąd łodzią motorową popłynęliśmy – początkowo olbrzymią rzeką Angarą (o ile sobie przypominam, w okolicach Motygino szerokości około dwóch km), potem Jenisejem. Tymi pięknymi, nie skażonymi przez cywilizację rzekami dostaliśmy się do Krasnojarska. Przechodziłem to miasto wzdłuż i wszerz. Tu po raz pierwszy byłem w cerkwi. Poszli ze mną też chłopcy z drużyny – komsomolcy. Pouczyłem ich, jak mają się zachować. Pop (z długą brodą) był zaskoczony naszymi odwiedzinami. Był zdziwiony widząc młodzież w cerkwi. Przedstawiłem mu się, chwilę porozmawialiśmy. Jednak, gdy podeszli moi koledzy, przerwał rozmowę, pożegnał się i wyszedł z cerkwi. Zdażyłem dowiedzieć się, że do cerkwi chodzą tylko starzy ludzie, reszta się boi. Chciałem odnaleźć groby polskich powstańców zesłanych za cara, więc pokazał mi drogę. Odnalazłem je z zatartymi już napisami na krzyżach. Przypomnieli mi się szkolni wychowawcy, którzy z tak wielkim patriotyzmem nauczali losów ojczyzny. Byłem wzruszony. Z uczuciem dziecinnego rozrzewnienia dotykałem krzyży naszych carskich zesłańców, którzy z taką odwagą i takim poświęceniem walczyli o niepodległą ojczyznę. Zastanawiałem się: dlaczego musieli tu umierać, w tęsknocie za ojczyzną, gdzie są potomkowie tych wspaniałych ludzi. Po opuszczeniu cmentarza. musiałem pójść z moimi podopiecznymi na dworzec, aby pokazać im prawdziwy pociąg. Przecież u nas, w Južno – Jenisejsku tego nie widzieli. Chłopcy chłonęli wszystko z entuzjazmem: macali mury kamienic, zajadali się lodami, po raz pierwszy w życiu pili piwo. Z Krasnojarska wszyscy wróciliśmy z niezapomnianymi wrażeniami. W drodze powrotnej podziwialiśmy ogromne lasy, przejrzystą wodę, wdychaliśmy wspaniałe powietrze. Na brzegu Jeniseju zobaczyliśmy wznoszącą się na wysokiej skale piękną cerkiew. Wspaniały widok, coś przepięknego.

Po jakimś czasie, po powrocie z Krasnojarska, oddelegowano mnie (z jednym z Tungusów) do Motygino. Pracowaliśmy tam przy holowaniu długich bierwion, które przy spławie rzeczonym odłączyły się w drodze do Krasnojarska. Pływaliśmy łódką po Angarze i wyławialiśmy płynące drewna. Wbijaliśmy w nie kliny, po czym holowaliśmy do brzegu. Praca ta była ciężka i niebezpieczna, ale za każde przyholowane drewno płacono 5 rubli. W sumie można więc było zarobić nawet 40 rubli dziennie. W kilka dni po rozpoczęciu tej pracy na samym środku rzeki, tak daleko

się zapędziliśmy, złapała nas burza. Waliły pioruny, deszcz lał jak z cebra. Wiatr wzniesił potężne fale, które przewróciły naszą łódkę. Omal nie utonęliśmy. Z trudem wydostaliśmy się z wody (siedząc okrakiem na beli). Łódkę porwała nam rzeka. Wyszliśmy na brzeg kilka kilometrów poniżej Motygino. Rzuciliśmy tę pracę i żywiąc się złowioną rybą, dotrwaliśmy bez grosza przy duszy do końca delegacji.

Ryby łowiliśmy pożyczoną od rybaków siecią. Nie było to takie trudne. Jeden z nas wchodził z siecią do wody, drugi szedł z nią brzegiem. W kierunku przeciwnym do biegu rzeki szło się kilkanaście metrów, po czym brnący w wodzie zawracał do brzegu. Za każdym razem łowiliśmy po kilkanaście kilogramów ryb. Małe wrzucaliśmy z powrotem do rzeki, większe po wypatroszeniu – do wiadra z wodą. Z ulgą wróciliśmy do osady, na stare miejsce pracy, pomimo tego, że przez kilka następnych wypłat potrącano nam za straconą łódkę.

W rejonie Južno – Jenisejska za najcięższą pracę uchodziła praca leśnych drwali. Amerykańska draga czynna była przez 24 godziny na dobę (z wyjątkiem krótkich przerw na konserwację). Pochłaniała więc ogromne ilości drewna. Aby zmusić drwali do jak największej wydajności w pracy, każdego roku, na wiosnę, ustalano „*nowe zaganianie normy*”. Polegało to na tym, że około pierwszego kwietnia obniżano cenę 1 m³ gotowego drewna. Tym samym zarobek drwala gwałtownie spadał (mniej więcej o połowę). Chodziło o to, aby w jak najkrótszym czasie przygotować około 150 m³ drewna, za które płacono połowę ceny. Po wykonaniu tej normy pensja powracała do starej wysokości. Kto szybciej wyrobił normę, szybciej dostawał wyższą pensję. Zatem robotnik, który *zagonił* już nową normę, starał się pracować jak najwięcej, aby wynagrodzić sobie poprzednią stratę. W ten sposób kierownictwo zmuszało robotników do ciągłej, intensywnej pracy bez jakiegokolwiek nacisku fizycznego. Każdy robotnik chcąc zarobić na życie, sam sobie narzucał mordercze tempo pracy. Pieniądze pobierało się za gotowe sagi. Drwał, aby je wykonać, musiał: ścinać rosnące drzewo, oczyścić je z konarów, pociąć na polana (około metrowej długości), rozciąć na cztery (lub więcej) części – zależnie od grubości drewna) i na zakończenie poskładać w bloki o wysokości 1,25 m, czyli w sagi (te 25 cm przeznaczone było na tzw. osadzanie drewna, jak również „oczka w sagach”, czyli dziury, bowiem drewno nigdy ściśle nie przylegało do siebie). Długość składanych sagów była dowolna. Konary ścinanych drzew należało spalić. Średnio silny drwał w ciągu ośmiu godzin pracy był w stanie wyrobić 4 m³ drewna. Byli tacy, którzy wyrabiali więcej (zależało to od siły i sprytu). Ja też starałem się jak najszybciej *zagonić normę*. W okresie tej intensywnej pracy (*zaganiania normy*),

przypadał 1 maja – wielkie robotnicze święto, przez naród sowiecki obchodzone bardzo uroczyście. Dla mnie dzień ten niczym nie różnił się od innych. Jak każdego roboczego dnia poszedłem do pracy, aby jak najszybciej wykonać normę. Jak wszędzie w Sowieckim Sojuszu, tak i w mojej osadzie nie brak było donosicieli i ludzi pracujących na usługach NKGB i *naczalstwa*. Ktoś zobaczył mnie w ten tak uroczysty dzień w roboczym ubraniu z siekierą na ramieniu i natychmiast zgłosił to naczelnikowi mojego przedsiębiorstwa. Zanim naczelnik doszedł do przedsiębiorstwa po konia, nim odszukał *dziesiątnika* (gajowego, który odbierał gotowe drewna od *droworubow*; był też moim bezpośrednim zwierzchnikiem), zdążyłem dojść do lasu i rozpocząć swój dzień pracy. Zdążyłem powalić jedno drzewo, gdy nadjechali, obydwaj na koniach.

- *Czto ty dziełajesz* (co ty robisz) – usłyszałem głos naczelnika.
- *W czom dieło* (co takiego) – odpowiedziałem – pracuję, *zaganiam normę*.
- Przecież dzisiaj święto *bolszuj prasnikiu pierwogo maja*, pracować nie wolno – odparł – *nada prasnikiow* (trzeba świętować).
- Towarzyszu naczelniku – ja na to – jestem Polakiem i dzień 1 maja nic mnie nie obchodzi. Dla mnie to normalny dzień pracy, a muszę pracować, ponieważ nie mam pieniędzy.

Po tej wypowiedzi, nie zwracając na nich uwagi, ponownie zacząłem pracować. Z daleka słyszałem ich dyskusję, ale nie mogłem zrozumieć o czym, tak gorączkowo rozmawiają. Po dobrej chwili naczelnik znowu zwrócił się do mnie, abym przestał pracować.

- Sowieckij Sojuz jest państwem robotników i nikt nie może zabronić mi pracować – odparłem. – Trzeba pracować dla dobra tego narodu i na jego chwałę.

Znów chwilę się naradzili, po czym dziesiątnik zapytał mnie: czy przestanę pracować, jeśli on dopisze mi za 1 maja 4 m³ drewna – gratis. Na taką propozycję skwapliwie się zgodziłem i natychmiast, jeszcze przy nich zacząłem chować sprzęt. Naczelnik widząc to ucieszył się, nawrócił konia, jeszcze tylko na odjezdnym krzyknął: *sewodnia prasnikiowat nada* (dzisiaj trzeba świętować), wódkę pić, dziewczyny obejmować, a ty *durak rabotat zadumał* (zamyślił)!” I tak wszyscy w świątecznych humorach, oni na koniach a ja pieszo, powróciliśmy do osady – *prasnikiowat*. Ja miałem szczególny powód do zadowolenia – za darmo dopisano mi 4 m³ drewna.

W 1953 roku przybył do nas inżynier leśnik, wychowanek *Carstkawo*

Uczyliczka w Petersburgie (Carskiej Uczelni w Petersburgu, a po zmianie nazwy miasta – Leningradu). Zawsze z dumą podkreślał, jakie ma wykształcenie, dodając przy tym, że obecnie sowieckie szkoły *durakow wypuskajut* (durniów wypuszczają). Przeżywaliśmy go „*Szubą*” (kożuchem), ponieważ oprócz niedźwiedziego kożucha, spodni i bluzy wojskowej nic więcej dobrego nie posiadał. Wysoki był jak tyka, chudy jak szkielet. Zimą – w walonkach, cienkich rajtuzach i kożuchu – wyglądał komicznie. Wprowadzał on u nas piły elektryczne. Kilka osób zostało przeszkolonych w ich obsłudze. Po ukończeniu błyskawicznego kursu zostały utworzone brygady. Kurs ten ukończyłem i ja, i zostałem brygadziwą. Koledzy śmiali się, że moja brygada jest międzynarodowa. Był u mnie Rosjanin Kostia (nazwiska nie pamiętam), Niemiec (w wojsku niemieckim był czołgista, porucznikiem; ożenił się na Syberii również z zesłanką Niemką; obecnie, o ile mi wiadomo, jest w Niemczech), Chińczyk (nazywałem go – Czankajszek, bo był z jego armii), Ukrainiec oraz Tunguz. Brygada dobra i zgrana. Prąd do pił pobieraliśmy z agregatu poruszanego ropą. Przy agregacie tym pracował Rosjanin, były wojskowy. Opowiadał, że kiedy był w Polsce „dostał po mordzie” (tak mówił) od kolegi Polaka, również wojskowego. Oberwał, ponieważ na jakimś przyjęciu ukradł gospodarzowi zepsuty zegarek. Był wściekły na „polaczków”. Narzekał, że są skapcami, gdyż nie byłoby mu żal, gdyby oberwał za dobry zegarek. Jednak, żeby bić za *isporczennyje czasy* (zepsuty zegarek) – tego zrozumieć nie mógł. Złośliwie dokuczał mi podczas pracy, nie puszczając prądu w dostatecznej ilości. Ponieważ pracowałem piłą elektryczną, zabezpieczałem zajęcie całej brygadzie. Byłem zmuszony do jak najlepszej pracy, gdyż od niej zależał nie tylko mój zarobek, ale i ich. Ile ja pociąłem i powaliłem sosen, tyle oni postawili sągów. Naciskałem mocno na piłę (ważyła 16 kg), lecz na skutek niskiego napięcia prądu miała zbyt mało obrotów. Podczas cięcia powalonego drzewa, po przyciśnięciu zatrzymywała się całkiem, tylko silnik leciutko rzeził. Sprawdziłem jakie napięcie prądu mają inni koledzy pracujący przy piłach. Okazało się, że całkiem dobre. Wytknąłem to Waśce odpowiedzialnemu za agregat, ten jednak zlekceważył moją uwagę. Kilkakrotnie ją ponawiałem, ale i to bez skutku. Skargi na Syberii, jak w obozach, nie były modne. Dochodzenie własnych praw legalną drogą, poprzez kierownictwo było bezskuteczne. Należało, będąc pomiatanym, cicho siedzieć, albo siłą walczyć o swoje prawa, by się jako tako przy życiu utrzymać. Nie było czasu na zastanawianie się, cała brygada liczyła na mnie. Wziąłem siekierę, wyciąłem porządny, odpowiedni kij i poszedłem do Waśki by upomnieć się o moje prawa. Ponieważ moje ponowne starania na nic się zdały, użyłem konkretniejszego

argumentu – kija. Argument, owszem, dość skuteczny, ale po jakimś czasie miałem poważne nieprzyjemności. Waśka po bójce zamknął agregat i poszedł do mojego komendanta na skargę. Praktycznie rzecz biorąc, cały dzień był zmarnowany. Koledzy z innych brygad cieszyli się, że był fajrant, ja natomiast denerwowałem się. Pod wieczór przyjechał naczelnik przedsiębiorstwa z moim komendantem. Podczas rozmowy dochodzeniowej wszyscy brygadziści i robotnicy trzymali moją stronę. Potwierdzili zeznania i orzekli, że miałem rację. Waśka dostał naganę z zastrzeżeniem, że jeśli jeszcze raz tak postąpi, odbiorą mu agregat i będzie musiał pracować przy wyrębie lasu. Po tym konflikcie Waśka dzielił już prąd sprawiedliwie.

Na początku pracy Szuby (naszego bezpośredniego zwierzchnika) musieliśmy go wypróbować: kim jest i jak należy z nim postępować. Po pierwszych dwóch tygodniach naszej pracy piłami elektrycznymi przyszedł do nas po odbiór sągów. Najpierw przyszedł do mnie, ponieważ miałem „swoją działkę” najbliżej drogi. Koledzy z innych brygad obserwowali nas z ukrycia (tak się umówiliśmy). Zacząłem oprowadzać go od saga do saga. Zaskoczyło mnie to, że nigdzie nie zaznacza już zmierzonych i odebranych sągów. Wahiałem się, co robić dalej. Nie wiedziałem, co o nim sądzić, czy to kompletny laik czy też stary leśny wyga. Postanowiłem zaryzykować i oszukać go. Zresztą wcześniej umówiliśmy się, że próba ta spada na tego, który jako pierwszy będzie zdawał drzewo. Zacząłem tak go oprowadzać między sagami, żeby nie mógł się zorientować, gdzie już był, a gdzie nie; które drewno już zmierzył, a które nie. Po tym oprowadziłem go powtórnie, inną ścieżką. Na koniec spytał, ile mam tego drzewa. Podałem o 30 m³ więcej. Nic nie odpowiedział i poszedł do następnego brygadzysty. Machnąłem ręką innym, że można go okłamywać. Niestety, radość nasza była przedwczesna. Wieczorem Szuba przyszedł do naszej leśnej chaty i kazał nam usiąść za stołem. Pytania zaczął zadawać ode mnie: „Na ile mnie dzisiaj naciągnąłeś?” Wyczułem od razu, że mam przed sobą mądrego, doświadczonego leśnika i przyznałem się do oszustwa. Tak też było z pozostałymi. Na zakończenie powiedział krótko: „Oszukiwać przestańcie, bo mnie nie oszukacie, każdemu z was dopiszę dobrowolnie drzewa, którego nie ścięliście, tego w lesie wystarczy, ale każdy z was miesięczny haracz w postaci alkoholu *wsio rawno wódka ili spiryt* (wszystko jedno wódka czy spirytus) musi postawić”. Warunki przyjęliśmy i rozeszliśmy się zadowoleni.

Na ogół wieczory w naszej izbuszce były jednakowo nudne i szare. Ten jednak był wyjątkowo ruchliwy. Do baraku przyszedł jak zwykle podchmielony Petro i zacierając ręce oznajmił, że umówił się na randkę.

- Gdzie? – Spytaliśmy.
- U nas, w *izbuszce* na strychu – odparł z tajemniczą miną – w lesie przecież nie można, bo teraz pod wieczór komary tną.

Zauważyłem, że w czasie tej rozmowy z naszego pomieszczenia wyszedł jeden z kolegów. Wróciwszy po chwili, zawiadomił Petra, że właśnie wraca z dworu, gdzie zauważył jakąś kobietę wdrapującą się na strych. Zadowolony Petro wybiegł z izby. Wkrótce jednak wrócił. Po chwili wróciła też nasza gospodyni, sześćdziesięcioletnia osoba, która mieszkała z nami w baraku, bo do jej obowiązków należało między innymi sprzątanie i pranie pościeli, gotowanie wody. Dopiero na drugi dzień pękła bomba z wiadomościami. Po przyjściu z pracy, zajęliśmy swoje stałe miejsca przy stole. Od razu też zauważyliśmy pościelony w miejscu Petra ręcznik (zamiast serwetki, takich luksusów tam nie było) a na nim talerz z gorącą zupą. Nie mogliśmy uwierzyć własnym oczom. Po chwili wszedł Petro, usiadł z rozpędu na swoje miejsce i zobaczywszy talerz z zupą, zbladł. Jak na komendę ryknęliśmy śmiechem. On zaś bez słowa wstał, wyszedł i nie powrócił już w tym tygodniu do lasu. Jak się później okazało, to nasza gospodyni była amantką Petra w jego randkowy wieczór. Otóż, kiedy Petro wszedł na strych, nasza *babuszka* (tak na nią wołaliśmy) wieszła tam pościel. Petro, podpity i rozochocony, w pierwszej chwili nie zorientował się, że to *babuszka* (ta zresztą przez cały czas konspiracyjnie milczała). Kiedy nadeszła właściwa kobieta, zobaczywszy co wyprawia jej kochanek, pocięła ze złości sznury, tak że wisząca tam pościel spadła na brudną strychową podłogę, przykrywając też zakochaną parę. Według późniejszego opowiadania, Petro zrozumiał swoją pomyłkę dopiero następnego dnia, kiedy na swoim miejscu zobaczył ręcznik i talerz z zupą. Jedni wierzyli, drudzy nie. Petro *bożył się* (przysięgał), że nie doszło do jego zbliżenia z *babuszką*. Mimo wszystko szczerze gratulowaliśmy mu „sukcesu” na polu miłosnym.

Któregoś razu poszliśmy wszyscy do *kantoru* (biura) po pieniądze za pracę. Powiedziano nam, że wypłaty nie będzie, ponieważ zabrakło pieniędzy. Nasze prośby oczywiście w niczym nie pomogły. Rozzłościłem się niedbalstwem urzędników oraz ich znieczulicą. Powiedziałem, że jeśli natychmiast nie pobiorą pieniędzy z banku, nie pójde do pracy. Za moim przykładem poszła cała moja brygada i wszyscy inni. Naczelnik ze strachu dostał rozwolnienia, bo często wybiegał na dwór do *ubornoj* (klozetu). Po drodze skarżył się, że przez *etich swołoczi* (tych drani) rozchorował się. Urzędnicy biegali oglupieni po biurze, a my usadowiliśmy się w korytarzu i z uporem czekaliśmy na pieniądze. Za pół godziny przyjechał nasz komendant Sam powiedział,

że jakaś „dobra dusza” dała mu znać (jak widać szpicle nigdy nie śpią), że jego podopieczny – Adam, Polak strajkuje. Był to pierwszy wypadek w historii Južno – Jenisejska od czasów rewolucji, by ktoś śmiał w tym ustroju strajkować. Zapytał o przyczynę strajku. Wyjaśniłem mu, że nie ma dla nas pieniędzy i tym samym nie mamy za co kupić żywności na cały tydzień. Zaniemówił ze złości, wpadł do biura naczelnika i krzycząc na niego bardzo głośno, zagroził mu *tiurmoj* (więzieniem) za sabotaż. Pieniądze znalazły się w przeciągu niecałej godziny. Zadowoleni zakupiliśmy żywność i poszliśmy do pracy.

Już od 1953 zacząłem pisać podania do najprzeróżniejszych placówek administracyjnych o przywrócenie mi w dokumentach obywatelstwa polskiego. Świadomość posiadania obywatelstwa rosyjskiego, nadanego mi bezprawnie przez władze sowieckie, ciążyła mi przez wiele lat. Od 1953 r. starałem się udowodnić miejscowym władzom, że posiadam obywatelstwo polskie, ponieważ żadnych dokumentów dotyczących jego zmiany nie podpisywałem. Żądałem sprostowania błędu w moich papierach. „Jestem Polakiem i odbywam karę za sprawy polskie” – tak motywowałem swoją prośbę. Napisałem też do naczelnika mojego przedsiębiorstwa, aby przestano mi potrącać podatek za stan kawalerski (*bykowy*), ponieważ jestem obcokrajowcem i nie powinny być mnie dotyczyć takie przepisy. Skutkiem uporczywej pisaniny pod koniec 1955 r. przestano mi potrącać ów podatek, natomiast oficjalnego powiadomienia o przywróceniu mi obywatelstwa polskiego nigdy nie otrzymałem.

Od początku mojego zesłania na Syberię korespondowałem też z moskiewskimi urzędnikami. Poruszyłem sprawę bezprawnego przetrzymywania mnie na zesłaniu i żądałem odesłania mnie do kraju. Odpowiedzi otrzymywałem bardzo rzadko, a ich treść nie wносиła nic nowego do mojej sprawy. Po śmierci Stalina Moskwa jakby ożyła. Odpowiedzi na moje listy, choć były podobne do poprzednich, zaczęły przychodzić dość regularnie.

Pisałem również bezpośrednio do Polski, do Warszawy, prosząc o interwencję – w sprawie mojego powrotu do kraju – u władz sowieckich. Niestety, mimo moich licznych listów nie otrzymałem ani jednej odpowiedzi. Po jakimś czasie dałem więc sobie z tym spokój.

Korespondowałem także z Ambasadą Polski Rzeczypospolitej Ludowej w Moskwie. Stąd zawsze otrzymywałem odpowiedź o jednakowej treści: „należy czekać na odpowiednie zarządzenia władz radzieckich”. Takich petentów – zesłańców mieli tam z pewnością wielu, ponieważ posiadali gotowe druczki, na których zmieniali tylko

datę i nazwisko adresata. Z treści pism otrzymywanych z naszej Ambasady zawsze wyczuwałem niechęć, niemoc, beznadziejność naszej sytuacji. Zacząłem zdawać sobie sprawę z bezsilności tej placówki dyplomatycznej, z niemocy maleńkich urzędników polskich, z którymi potężni władcy państwa sowieckiego nie musieli się liczyć. Nie wykluczałem jednak także takiej możliwości, że państwu polskiemu mogło w ogóle nie zależeć na powrocie do kraju Polaków z Armii Krajowej, którzy walczyli o Polskę niezależną od innych mocarstw.

W sumie w czasie mojego pobytu na zesłaniu wysłałem lawinę pism do najprzeróżniejszych instytucji, które mogły mieć jakikolwiek wpływ na mój powrót do Ojczyzny.

Pewnego razu, zdenerwowany nic nie wnoszącymi do mojej sprawy odpowiedziami z Moskwy, postanowiłem napisać list o nieco odmiennej treści i w innym tonie. Zwykle pisałem krótkie, o zwięzłej treści pisma – konkretnie dotyczyły one mojego wyjazdu z kraju i bezprawnego zesłania mnie na Syberię. Tym razem chciałem zakpić sobie z sowieckiego wymiaru sprawiedliwości. Dobrze wiedziałem, że i ten list nic mi nie pomoże, ale byłem też pewien, że nie pogorszy on mojej sytuacji. Po śmierci wielkiego „dobrodzieja” ludzkości – Stalina nastąpiła wyraźna odwilż, nie bałem się więc wyciągnięcia wobec mojej osoby jakiś negatywnych konsekwencji. List był mniej więcej takiej treści:

Szanowny Obywatelu Prokuratorze

Jestem Polakiem, kocham swoją ojczyznę i pragnę wrócić na jej łono. Będąc młodym chłopcem i mając wypaczony charakter od urodzenia, przez pomyłkę, niepotrzebnie wplątałem się w politykę, która w następstwie była moim wielkim niewypałem. Zawiodła mnie ona poprzez więzienia i obozy do tak przepięknej krainy, jaką jest Syberia, a w niej moja osada Južno—Jenisejsk. Kocham ten kraj, te piękne lasy, których brak mi było w moim kraju, pokochałem też wspaniałych sowieckich ludzi. Jednak najbardziej spodobał mi się ustrój, o którym cały naród śpiewa w pieśni: „Strona moja rodna, gdzie tak wolno dyszyt czelowiek...”. Dzisiaj, będąc już dorosłym człowiekiem, zrozumiałem błędy swojej młodości. Obecnie jestem perewospitan (wychowany) w duchu komunistycznym. Pragnę jechać do swojej ojczyzny, aby tam wstąpić w zaszczytne szeregi partii, szkolić młodzież w duchu socjalistycznym, opowiadać o pięknym Kraju Rad, jego bogatych mieszkańcach oraz przodującej

technice i kulturze.

Uprzejmie proszę wziąć pod uwagę moją prośbę i pozwolić mi wrócić do kraju. Korzystając z okazji, proszę przyjąć zapewnienie głębokiego poważania pracowników prokuratury.

Adam Źarski

Listy zawsze adresowałem do Naczelnego Prokuratora Generalnej Prokuratury w Moskwie. O ile sobie przypominam, był nim wówczas Rudenko (prawdopodobnie ten, który brał udział w Procesie Norymberskim – za tę informację nie dam sobie jednak ściąć głowy). Po jakimś czasie dostałem odpowiedź na mój list. Prokuratura wyraziła głębokie zadowolenie z mojej przemiany, jednak zezwolenia na powrót do kraju nie otrzymałem, ponieważ, jak to zostało określone, nie nadszedł jeszcze czas. Pocieszono mnie, żebym był dobrej myśli, bo pewnie wkrótce to nastąpi.

Wspominałem już, że w mojej osadzie 5 lat na zesłaniu przebywał pan Józef Koropaś. Po ukończeniu swojej zsyłki powrócił do Borysławia. Tam, o ile mi wiadomo, przez przypadek spotkał moją koleżankę z ławy szkolnej – panią Stefanię Huczek. W tym czasie prawie każdy Polak pochodzący z kresów wschodnich miał kogoś z rodziny lub też znajomego wywiezionego do Rosji. W licznych rozmowach dopytywali się jedni o drugich, ponieważ wszystkim było wiadomo, że na listy ze Związku Radzieckiego nie można było liczyć. Szczęśliwie, pan Koropaś w czasie rozmowy wymienił i moje nazwisko. Dzięki temu pani Stefania, która znała adres moich rodziców, natychmiast zawiadomiła ich, że żyję i gdzie jestem. Ojciec mój, pomimo usilnych starań i sterty korespondencji w mojej sprawie nigdy ani od władz polskich, ani radzieckich nie dostał mojego adresu. Koleżanka napisała równocześnie do mnie, na Syberię, podając mi adres moich rodziców. Korespondencję z nimi nawiązałem pod koniec lata 1954 r., zatem pierwsze oznaki życia dane nam były po 10 latach absolutnego milczenia.

Po nawiązaniu korespondencji z rodzicami zacząłem regularnie otrzymywać prasę polską. Z czasopism i gazet dowiadywałem się, jak żyje naród polski, jakie ma problemy. Byłem przerażony treścią naszych gazet. Wczytywałem w niej puste slogany, dziecinnie śmieszne obietniki, kłamliwe przemówienia. Nie mając żadnych wiadomości o Polsce podświadomie łudziłem się, że wszystko jest dobrze. Wierzyłem, że Polacy są mądrym i zdolnym narodem, że mamy jeszcze inteligencję, bo przecież Hitler i Stalin nie zdążyli wszystkich wymordować. Niestety, później dowiedziałem się, że i „nasi” niszczyli naszych. Niszczono inteligencję polską a wraz z nią polską kulturę.

Nikommu nie zależało na tym, żeby Polska była Polską, by nasz kraj był piękny i bogaty. Nawet jakość papieru, na którym drukowane były gazety i czasopisma, świadczyła o naszej biedocie, chociaż było już 10 lat po wojnie. Znając doskonale Związek Radziecki, nie spodziewałem się w Polsce zbytnich luksusów. Ciągłe liczyłem tylko na w miarę spokojne i dostatnie życie, ale informacje, które otrzymywałem z kraju rozczarowywały mnie i przerażały.

Pod koniec 1954 r. zostałem służbowo przeniesiony do innego miejsca pracy. Skończyłem z wyrębem lasu, teraz miałem pracować w samej osadzie – Južno – Jenisejsku, w małym tartaku. Dzięki temu miałem więcej czasu, a i praca nie była tak męcząca. Pracowałem na piłoramie. Oprócz mnie pracowali tu między innymi: Węgier Wiktor Warro (w tej chwili jest w Budapeszcie) oraz Niemiec (po zwolnieniu ze zsyłki wyjechał do RFN, o ile mi wiadomo, po powrocie do ojczyzny od razu otrzymał piękne, umeblowane mieszkanie oraz dość pokaźną sumę pieniędzy w ramach odszkodowania za tak długi, nie z własnej woli pobyt w ZSRR).

Wiktor Warro był jednym z moich najlepszych kolegów. Kiedy, już po zsyłce, odwiedziłem go w Budapeszcie, przypomniał mi o pewnym incydencie w Južno – Jenisejsku. Otóż, miałem jakiś drobny zatarg z trzema Rosjanami (właściwie z jednym, ale dwaj kompani przyklaskiwali mu z koleżeństwa) i chciałem wyrównać porachunki. Pewnego razu przechodziłem z Wiktorem koło restauracji, w której oni akurat przebywali. Pomyślałem, że to dobry moment na rozliczenie się z tą rosyjską chuliganerią. Jednak, ponieważ ich było trzech a ja sam, poprosiłem Wiktora, aby mnie asekurował w razie nieprzewidzianej sytuacji. Nie musiałem go długo namawiać, od razu wyraził gotowość pomocy. Weszliśmy. Wiktor stanął przy ladzie bufetowej i obserwował mnie. Ja podszedłem do stolika, przy którym siedział ten, z którym właśnie miałem na pieńku. Nim chłopak się zorientował, naciągnąłem mu na oczy jego własną czapkę i zapytałem, czy ma zamiar dalej mi dokuczać. Na wszelki wypadek spytałem też jego kolegów, czy mają zamiar włączyć się do awantury, jaka zaraz może się rozegrać za restauracją. Przestraszeni stwierdzili, że nic ich sprawa kolegi nie obchodzi, natomiast główny winowajca usiłując zdjąć czapkę z oczu, przeprosił mnie i obiecał, że więcej nie będzie mi robił świństw. Zadowoleni z takiego obrotu sprawy, wypiliśmy z Wiktorem po dobrej, mocnej kawie i rozeszliśmy się do domów.

Lata 1954 i 1955 były dla mnie okresem wielkiej udręki i niepewności. Rodzice listownie ponaglali mnie do powrotu. Tłumaczyłem im, jak mogłem, że mój powrót do kraju nie jest zależny ode mnie. Zresztą robiłem wszystko, co mogłem, by powrócić do

ojczyzny. Podobnie mój ojciec, który nie tylko pisał do Warszawy, ale i jeździł tam osobiście. Niestety, nie wskórał nic, a tylko stracił czas i pieniądze. Chodziłem często do kapitana Griaznowa, szefa Urzędu Bezpieczeństwa w naszej osadzie, który zawsze coś więcej wiedział ode mnie, ale i on zwykle wzruszał ramionami, odpowiadając zawsze, że coś się kręci wokół mojego wyjazdu, ale konkretnie, co i kiedy to nastąpi – nie może mi powiedzieć, bo nie wie. Obiecywał, że jeśli coś się zmieni – natychmiast da mi znać. „A na razie – mówił – trzeba pracować i normę wypełniać”.

Pewnego razu idąc do *bani* (łazienki) spotkałem na schodach starca z siwą, długą brodą, który sprzedawał *wienniki* (miotelki z brzoźowych gałęzi, którymi biczuje się w *parnoj*, czyli pomieszczeniu z nagromadzoną parą). Coś mnie tknęło i choć nigdy wcześniej go nie widziałem, zagadnąłem go – skąd jest. Odparł, że przybył z Krasnojarska, bo tam nie ma co jeść, a ponieważ jest stary nigdzie nie może znaleźć pracy. Żona mu umarła. W Južno-Jenisejsku miał szansę zarobić i liczył, że „jakoś to będzie do śmierci”. Zapytałem go, skąd pochodzi jego rodzina, gdzie jego rodzinna miejscowość i dlaczego tam nie wraca. Odparł ze smutkiem: „tam skąd ja jestem, synku, nigdy nie wrócę, oczy już wyplakałem z tęsknoty za moją wioską rodzinną, ale ta daleko jest od Južno – Jenisejska i z pewnością niczego już się o niej i o moim kraju rodzinnym nie dowiem”.

– A to wy nie *ruskij czelowiek* – spytałem.

– Nie, mój *synoczek* – odparł – ja Polak, z wioski spod Wilna.

Zacząłem natychmiast mówić do niego po polsku, ale poprosił, bym mówił po rosyjsku, ponieważ niewiele już rozumiał. Później bardzo często spotykałem mojego rodaka. Po jakimś czasie zacząłem mówić do niego po polsku, by przypomnieli sobie ojczysty i, jak mawiał, miły dla jego ucha – język. Dowiedziałem się też, jak się tu dostał. Była to długa historia. Będąc żołnierzem, jeszcze w carskiej kawalerii, zdezerterował i dołączył do powstańców polskich, którzy ukrywali się w lasach. Wkrótce po tym armia carska zrobiła oblężenie na powstańców. Rozgorzała wielka bitwa. I z jednej, i z drugiej strony poległa masa żołnierzy. Jemu cudem udało się uciec z życiem. Za to Rosjanie zamknęli go w więzieniu w Petersburgu. W czasie rewolucji bolszewicy zaproponowali mu: albo dalej *tiurma* (więzienie), albo przyłączenie się do nich. Z dwojga złego wybrał bolszewików. I tak już na zawsze pozostał w Związku Radzieckim. W podobny sposób zostały w tym kraju dziesiątki tysięcy naszych rodaków.

Pod koniec 1954 roku doszły mnie słuchy, że z Krasnojarska odszedł transport z

Polakami do Polski. Zdenerwowałem się wówczas bardzo. Natychmiast poszedłem do swojego komendanta z pretensjami, żeby mi wytłumaczył, dlaczego mnie nie puszczają wraz z innymi Polakami do Ojczyzny. Obiecał wyjaśnić mi wszystko, jeśli tylko się czegoś dowie. Po jakimś czasie powiadomił mnie, że rzeczywiście w Krasnojarsku był wagon Polaków, który wyjechał do Polski, ale o mnie mógł tylko tyle powiedzieć, że należy cierpliwie czekać. Mniemał, że już niedługo, a na pewno w przyszłym roku (to jest 1955) powrócę do ojczyzny. Zapewnienia te były mi znane od kilku miesięcy. Nie miałem jednak innego wyboru, jak tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać. Kiedy pierwsze mrozy skuły lodem Angarę wyjechał mój znajomy Niemiec z żoną do RFN. I to mnie zaniepokoiło. Musiałem się jednak z tym pogodzić. Wiedziałem, że Związek Radziecki bardziej szanuje państwa kapitalistyczne, aniżeli dziadowskie, jak to mawiała miejscowa ludność, państwa demokracji ludowej. Jakiś czas później wyjechał drugi Niemiec do RFN. Obcokrajowców pozostawało w Južno – Jenisejsku coraz mniej. Gorączka wyjazdów ogarnęła wszystkich. W rozmowach z miejscową ludnością wyczuwałem, że zazdroszczą wszystkim wyjeżdżającym do krajów cywilizowanych. Szczególnie młodzież chciała się stamtąd wyrwać, ale życie na Zachodzie było dla niej marzeniem nie do zrealizowania.

Wkrótce dzięki korespondencji z rodziną dowiedziałem się, że pan Korpaś wyjechał z Borysławia do Polski i osiedlił się w Wałbrzychu. Ucieszyła mnie ta wiadomość, zresztą pozostali *innostrancy* (obcokrajowcy) zawsze cieszyli się, gdy ktoś wracał do swojej ojczyzny. Tak samo, gdy z obozu wychodziło się na wolność. Choć samemu się jeszcze zostaje z przyczyn od siebie niezależnych, to przynajmniej można się cieszyć, że ktoś inny wyjeżdża. Zostało nas właściwie już tylko trzech, Węgier i dwóch Polaków. Węgier już miał pozwolenie na wyjazd, oczekiwał tylko na pozwolenie dla żony (ożenił się tu z Rosjanką). Ja natomiast ciągle jeszcze nic konkretnego nie wiedziałem. Był już początek 1955 roku. Miałem wrażenie, że ten rok będzie decydujący: albo tego roku wyjadę, albo nigdy mnie już stąd nie wypuszczą. Mój opiekun z Urzędu Bezpieczeństwa twierdził, że w tym roku na pewno uda mi się wyjechać.

Nadeszła wiosna i lato 1955 roku. Na Syberii, a przynajmniej w tej części, wiosna z latem łączą się tak, jak jesień z zimą – zachodząca różnica jest minimalna. Tak jak w obozie przed wyjściem na wolność uważałem bardzo na kontakty z ludźmi, tak i teraz tu na Syberii zacząłem unikać towarzystwa (szczególnie żeńskiego, bo różnie to mogło wypaść). Chciałem wrócić sam. Nie wyobrażałem sobie inaczej mojego powrotu,

a z kobietami nigdy nic nie wiadomo, co może się zdarzyć i co za pomysł może wpaść do głowy porzuconej dziewczynie. Wiedziałem, że z tej strony niespodzianki są zwykle bardzo niemiłe, a czasami nawet przykre. Skoro jestem już przy tym temacie, przed zakończeniem opowiadania moich perypetii życiowych, opiszę – w co wierzą piękne panny Sybiraczki, urodzone tam z osiadłych od lat rodziców. Otóż, dziewczyna, która pokochała chłopca, niestety, bez wzajemności, aby go zatrzymać, a nawet zmusić do małżeństwa, starała się nakarmić go *lubczykiem*. Przepis na *lubczyk* podam poniżej dla ewentualnego wykorzystania przez nasze panny, a ku przestrodze panom. Jak twierdzili starzy Sybiracy i Sybiraczki, jest to recepta pewna i stosowana od wielu, pokoleń. Podpytałem niektórych starych małżonków – jak to u nich bywało. Kiwali poważnie głowami i potwierdzając moc *lubczyku* mówili: „pewno tak z nami było, bo, jak widzisz synku, do dziś dnia żyję ze swoją staruchą, chociaż już dawno należało ją rzucić i wyjechać *k' czertiam*”.

A oto i przepis (proszę czytać uważnie): najpierw należy wyciąć u suki to miejsce, przez które szczenięta na świat wychodzą, dobrze je wymyć, wrzucić do garnka. Do tego dodać liście z bruszniczy, igliwie z drzewa cedrowego, czosnek syberyjski (którego w tamtejszych lasach jest bardzo dużo; czasami nawet mleko tamtejszych krów miało zapach tego czosnku), z braku oryginalnego, syberyjskiego zainteresowanym polecam nasz polski. Wszystkie składniki należy gotować razem około godziny, a następnie smażyć na psim smalcu. Przysmażone można podawać jako przystawkę. Skutek murowany.

Zbliżała się zima. Bardzo często chodziłem do Urzędu Bezpieczeństwa dowiadywać się, czy nadeszło coś z Moskwy w sprawie mojego wyjazdu. „Na razie nic” – zwykle odpowiadano. W kilkanaście dni po moich ostatnich odwiedzinach w Urzędzie przyszedł do mnie do domu zastępca komendanta. Miał dla mnie, jak sam się wyraził, przyjemną wiadomość. Otóż, jeden z pracowników tutejszego Urzędu, gdy był w Krasnojarsku na delegacji, dowiedział się, że na krasnojarskim dworcu kolejowym stoją wagony, które czekają na Polaków. Wracający do kraju Polacy zjeżdżali się z różnych rejonów Syberii, zajmowali miejsca w wagonach i czekali na następnych zesłańców. Urzędnik zapewnił mnie, że dopóki wszystkie wagony nie zapełnią się, pociąg nie odjedzie.

Zapytałem od razu: „co ze mną?” Bałem się, że pociąg może odjechać i tym samym mój wyjazd znowu się odwlec. Odpowiedział spokojnie, abym się nie martwił, na pewno wyjadę, tym bardziej, że z państwem polskim mają dobre stosunki

dypomatyczne. „W Sowieckim Sojusie ludzi do pracy wystarcza, nie potrzeba nam obcych i nikogo na siłę zatrzymywać nie będziemy” – tak zakończył swoją wypowiedź. Marne to było pocieszenie, znałem ich doskonale: jednego dnia mogą puścić na wolność, a następnego zamknąć w obozie na 10 lat. Cóż było robić, moje zwolnienie z zsyłki nie zależało ode mnie. Podziękowałem za pocieszenie i czekałem dalej.

Nadszedł grudzień 1955 roku. Miesiąc, w którym przed jedenastu laty w Borysławiu zostałem aresztowany. Zastanawiałem się, czy 24 grudnia – dzień wigilijny i dzień moich imienin – będę obchodził jako jedenastą rocznicę pobytu w Związku Sowieckim, w rękach MKGB. Myślałem nad tym, gdzie będę ten dzień spędzał – jeszcze tu na Syberii, czy już w Polsce. Bałem się, że może w ogóle mnie nie wypuszczą. 2 grudnia 1955 roku, gdy wróciłem z pracy, gospodyni powiadomiła mnie, że w domu był pracownik Urzędu Bezpieczeństwa. Kazał jej przekazać mi, abym po powrocie z pracy zgłosił się do komendantury. Pobiegłem natychmiast, nie przebijając się. Do budynku Urzędu wpadłem jakby mnie ktoś gonił. Wszedłem do znanego mi pokoju, do którego przez cztery lata, każdego tygodnia w sobotę, chodziłem, by się podpisać i tym samym stwierdzić swoją obecność w osadzie. Przy biurku siedział uśmiechnięty kapitan Griaznow. Po moim wejściu wstał i witając mnie, tym razem przez podanie ręki, uroczystym tonem ogłosił, że w dniu dzisiejszym jestem zwolniony z zesłania. Po tym dodał, że teraz mam prawo wyboru: zostać na miejscu i pracować jako wolny obywatel Związku Sowieckiego; wyjechać do Borysławia, mojego miasta rodzinnego, które obecnie należy do Związku Radzieckiego albo też wyjechać do Polski transportem z Krasnojarska. Pociąg w dalszym ciągu nie był zapełniony i czekał na zesłańców powracających z różnych zakątków Syberii. W pierwszej chwili nie mogłem wykrztusić ani słowa, musiałem usiąść, ponieważ nogi ugięły się pode mną z wrażenia. Pomimo tego, że byłem przygotowany na tę wiadomość, bałem się, że tutaj wszystko jest możliwe. „Może przyszło jakieś rozporządzenie z Moskwy, z którego wynika, że muszę tu zostać na zawsze albo, co gorsze, że należy mnie znowu wysłać do obozu za jakieś stare sprawy” – takie myśli kołatały mi się po głowie jeszcze w czasie drogi do Urzędu. Na szczęście moje wątpliwości zostały rozwiane w jednej chwili w rozmowie z kapitanem Griaznowem. Zacząłem powoli przychodzić do siebie. Mój były opiekun patrzył na mnie i śmiał się.

- No i co? – po chwili zadał pytanie.
- Jestem Polakiem i pragnę wrócić do ojczyzny – odparłem – Dość przez 11 lat najeździłem się po całym nieomal ZSRR.

Po mojej odpowiedzi zażądał ode mnie, wydanego mi w 1952 roku, zaświadczenia stwierdzającego moją tożsamość (na którym ponadto podkreślono, że z osady nie wolno mi wyjeżdżać bez specjalnego pozwolenia MKGB). Zaświadczenie to było dla mnie bardzo ważne, potwierdzało, że w ZSRR są zesłańcy polityczni. Dlatego też powiedziałem mu, że zgubiłem je gdzieś w lesie. Zagroził mi wówczas, że jeśli nie oddam mu tego zaświadczenia, nie zezwoli na mój powrót do Polski. Przez dobrą chwilę przekonywałem go, że papier naprawdę zgubiłem, wreszcie z lekceważeniem machnął ręką i powiedział: „*nu ladno, czort z nim*”. O ile sobie przypominam, dał mi wtedy inny dokument, z którym miałem się zgłosić do naczelnika transportu kolejowego Polaków na stacji w Krasnojarsku. Zaświadczenie, o którym była mowa wcześniej, stwierdzające, że byłem zesłańcem na Syberię, przywozłem ze sobą do kraju. Jest ono niezbitym dowodem na to, że w ZSRR ludzie osądzeni za odmienne przekonania polityczne, którzy odbyli wyrok wydany przez sąd sowiecki w lagrze, dodatkowo zostają zsyłani na dalekie krańce ZSRR, gdzie nierzadko przebywają do końca swego życia.

Nie mogłem się już doczekać następnego dnia. Jakoś przemordowałem tę bezsenłą noc i z samego rana poszedłem do swojego biura, aby się rozliczyć. Nie trwało to długo. Z Urzędu Bezpieczeństwa zatelefonowano, aby nie robiono mi żadnych trudności. Przez cały dzień załatwiałem też swoje osobiste sprawy. Pożegnałem życzliwych mi ludzi. Wszyscy byli zaskoczeni, że wyjeżdżam. Dopiero teraz przyznawali się, że nie bardzo wierzyli w mój powrót do kraju. Tylko przez grzeczność zawsze potakiwali głowami i mówili, że jako Polak muszę wrócić do Polski. Znali swój ustrój i panujące tu porządki, więc moje nadzieje powrotu do ojczyzny uznawali za nierealne mrzonki. Dopiero w chwili pożegnania, kompletnie zaskoczeni, wyznawali, że mam szczęście. Twierdzili, że gdyby nie umarł Stalin, na pewno siedziałbym tu dłużej. Może i mieli rację – nie wiem. W każdym razie, nie było czasu na dłuższe rozmowy. Obawiałem się, aby pociąg czekający w Krasnojarsku nie odjechał beze mnie. Nie mogłem więc zatrzymywać się zbyt długo u gościnnych syberyjskich ludzi. Następnego dnia chciałem już wyjechać z Južno-Jenisejska. Byłem jednym z ostatnich zesłańców – obcokrajowców w tej osadzie (pozostał tylko Węgier, ale on na razie nie wyjeżdżał z własnej woli). Tego dnia udało mi się wszystko dobrze załatwić. Byłem już gotów do wyjazdu do Ojczyzny.

Kolejnego dnia, po znowu nie przespanej nocy, skoro świt zerwałem się na równe nogi. Nie mogłem już dłużej leżeć, pomimo tego, iż posiadałem wspianą

kanapę, która była obiektem zazdrości znajomych z osady. Ponad siedem obozowych lat spałem na deskach lub podłogach, dlatego po przyjeździe do Južno – Jenisejska zatęskniłem za czymś nieco wygodniejszym. W tym czasie w tej miejscowości nie można było kupić żadnych miękkich łóżek. Postanowiłem więc, że zrobię kanapę sam. Przyniosłem z tartaku deski, Wiktor Warro zrobił mi sprężyny ze stalowego drutu i zacząłem majstrować kanapę. Po kilku dniach stworzyłem całkiem niezły mebel. Zaraz po tym zaczęli się do mnie schodzić znajomi, aby zobaczyć to „cudo” i *nimnoszko* (troszeczkę) się pokołysać. Najpierw bawiło mnie to, byłem dumny, że zrobiłem rzecz podziwianą przez tyle osób. Później jednak zaczęło mnie to denerwować. Wreszcie poszedłem do lasu, spałem w leśnej chacie, przez dwa tygodnie nie pokazywałem się w domu. Po powrocie wszystko się uspokoiło, goście przestali mnie tak często odwiedzać, a kanapa przestała być obiektem zainteresowania. Przed wyjazdem do Polski podarowałem ją sąsiadce.

Jak tylko wstałem z łóżka, zorientowałem się, że na dworze złapał mróz. W mieszkaniu woda w wiaderkach była zamrznięta. Wyszedłem na dwór, żeby natrzeć się śniegiem i od razu odczułem, że jest około 50° mrozu. Nie było to groźne, przy takiej temperaturze życie w naszej osadzie toczyło się normalnie (tylko robotnicy leśni, i inni pracujący na wolnym powietrzu, nie musieli iść do pracy). Wróciłem do domu, rozpałem w piecu, aby lód roztopił się i można było zrobić sobie herbatę. O ile sobie przypominam, autobus do Motyginino odchodził o 9 rano. Ciągle patrzyłem na zegarek, ale wskazówki wlokły się niemiłosiernie. Do przystanku autobusowego miałem około 10 minut drogi. W domu wysiedzialem ledwie do 8⁰⁰, po czym wyszedłem do autobusu. Idąc drogą, którą przemierzałem setki razy w lecie i w zimie, minąłem sklep spożywczy (to tu tyle razy kupowałem mleko w zamrzniętych krążkach, które bez żadnego opakowania wrzucało się wprost do siatki, bez obawy, że się rozleje. Po przyjeździe do chaty leśnej rzucało się krążki mleka na dach, by każdego dnia sięgnąć po nie rano prosto z drzwi wejściowych, nie wychodząc na dwór). Żegnałem znajome mi małe, drewniane domki syberyjskie z pięknie przez mróz wyrzeźbionymi na oknach kwiatkami, parkany zrobione z drewnianych sztachet, ostro zakończone górą, odgradzające domki z małymi ogródkami od ulicy.

Rozdział XIV – Droga powrotna

Idąc na przystanek autobusowy przypominałem sobie wszystko to, co opisałem wcześniej. Jeden epizod szczególnie natrętnie przychodził mi na myśl. Postaram się go przytoczyć. Otóż, zimową porą rzadziej wracało się na noc z lasu do osady. Dlatego prawie wszystkie miejsca w leśnej chacie były zajęte. Nasza gospodyni spała zawsze w kuchni (czyli w pierwszym pomieszczeniu od wejścia). Wokół swojej koi zrobiła ścianę z wiszących na sznurach koców, która chroniła ją od nocnych mrozów i równocześnie sprawiała wrażenie oddzielnej komnaty. My spaliśmy w drugim pomieszczeniu. Z reguły w naszej chacie w dzień i wieczorem było ciepło, nawet przy wielkich mrozach. Paliło się drewnem (o długości 1 metra) w długim, żelaznym piecu. W dzień drwa do pieca podkładała nasza sprzątaczką – gospodyni. Wieczorem, każda osoba mijająca piec (stał na środku naszego pomieszczenia), jeśli zachodziła taka potrzeba, podrzucała polano do ognia. Gorzej było w nocy. Kiedy wszyscy spali, nikt nie podrzucał drwa do pieca, było więc zimno jak w przysłowiowej psiarni. Przykryci jednym lub co najwyżej dwoma kocami, kurczyliśmy się z zimna. Każdy liczył wtedy, że któryś z kolegów nie wytrzyma i wstanie pierwszy, aby podłożyć drewna do pieca. W rezultacie nikt nie wstawał, a w izbie temperatura spadała poniżej zera. W nocy podnosiło się z łóżka tylko za potrzebą. Wówczas biegło się do wyjścia boso (walonki suszyły się nad piecem, pantofli nie mieliśmy), tylko w bieliźnie. Oczywiście nikomu nie chciało się tak wychodzić na śnieg i czterdziestostopniowy mróz. Odchylało się więc lekko, możliwie cicho drzwi wejściowe (tak, aby była tylko szpara) i polewało trochę śnieg, stopień i próg drzwi. Efekt był taki, że do rana drzwi wejściowe nie domykały się, bo na progu stał pagóreczek lodowy (żółtawego koloru). Do obowiązków gospodyni należało, oprócz sprzątania, zagotować nam rano *kipiatok* (gorącą wodę) na *czaj*. Wstawała zatem wcześniej i pierwszym jej odruchem było zamknięcie drzwi. Naturalnie, z uzasadnionych przyczyn nie udawało jej się to, ponieważ przedtem należało zrębać i wyrzucić nagromadzony przez noc lód. My, słysząc jej wstawanie i towarzyszące temu pojękiwania i złorzeczenia, kurczyliśmy się, już nie tyle z zimna, co ze strachu. Wnet wpadała do nas i budziła słowami: „*Ach, cztoś wy podochli sobaki, cztoś w buduczy wam żena odrezala...* (tu następowało dokładne wyrażenie, co nam zony mają w przyszłości oderznąć), *cztoś wy poskolznułyś i nogi połomali, nosom perejehali po etoj pakosti, wy swołoczi iz roditieli batrakow, ubit was wsiech swołoczi nado*” (żebyście

zdechli psy, żeby wam żony w przyszłości ... oderżnęły, żebyście poślizgnęli się i nogi połamali, przejechali nosem po tym świństwie, dranie z rodziców wyrobników, zabić was wszystkich trzeba). My wówczas złośliwie pytaliśmy: „A Petra tożę? A tiotińka?” (Piotra także, ciociu?). Wychodziła wtedy wściekła z naszego pomieszczenia, my zaś w ten sposób przywołani do porządku *bohażersko* wyskakiwaliśmy ze swoich nagranych legowisk i przygotowaliśmy się do wyjścia na cały dzień do lasu.

Wiele myśli kołatało mi się po głowie podczas tej krótkiej drogi na przystanek. Tyle różnych wspomnień. W końcu przeżyłem tu prawie cztery lata, kawałek życia. To były moje pierwsze kroki na wolności, bo przecież nikt nie chodził za mną z karabinem. Pierwsze kroki bez nadzoru – po siedmiu długich latach obozów i więzień. W końcu na zesłaniu dawałem sobie jakoś radę, i z biurokracją, i z różnymi ludźmi. Pozostało wiele wspomnień. Były chwile ciężkie i przykre. Ale w końcu wszystko to jakoś przeżyłem. Miałem w sobie dużo energii i nadziei, byłem przecież jeszcze młody (osiedlając się tu miałem 25 lat), całe życie było przede mną.

Kiedy doszedłem do przystanku, z wielką przyjemnością spostrzegłem kilku kolegów, którzy czekali tam na mnie. Aby nie marznąć na przystanku, wstąpiliśmy do restauracji, która znajdowała się obok. Ledwie zdążyliśmy wypić po 40 gram spirytusu, a już nadjechał czerwony autobus. Jeszcze rozmawialiśmy stojąc obok autobusu, jeszcze żegnałem się ze swoimi podopiecznymi – dziewczętami z drużyny siatkówki, kiedy z poczty nadbiegł kierowca niosący w ręku worek z pocztą, wsiadł do autobusu, którego silnik przez cały czas pracował, i zawołał: „*zanimat miesta, sadities*” (zajmować miejsca, siadać). Jeszcze tylko parę uścisków z przyjaciółmi, parę całusów ze swoją drużyną i wskoczyłem do autobusu, który ruszył w kierunku osad Rozdolińsk i Motygin. Jechało się dobrze, droga była przetarta. W ostatnich dniach trzymał mróz i nie było opadów śnieżnych. Tylko białutki pył śnieżny, niczym kurz w lecie, unosił się za nami wyrzucany spod tylnych kół autobusu. Chociaż wewnątrz autobusu było tylko kilka osób, od nagrzanego silnika było względnie ciepło.

Po trwającej ponad godzinę jeździe, samochód zatrzymał się w Rozdolińsku, gdzie kierowca oznajmił godzinną przerwę. Kilka osób z naszego autobusu weszło do znajdującej się obok restauracji, reszta rozeszła się po osadzie. W Rozdolińsku byłem kilkakrotnie, graliśmy tu w siatkówkę i piłkę nożną. Była to osada większa od Južno-Jenisejska, ale nie tak ładnie położona. Podczas tej podróży czas mijał mi bardzo szybko. Wkrótce zjawił się kierowca z workiem pocztowym, wsiedliśmy do autobusu i ruszyliśmy dalej.

Po obu stronach naszej drogi ciągnęły się masy śniegu zgarniętego przez spychacze. Patrząc do przodu i do tyłu miało się wrażenie, jakby ciągnął się bez końca – olbrzymi, przepiękny, iskrzący się od zamrzniętych płatków śniegu – tunel. Od śnieżnej bieli aż bolały oczy. Za tunelem, który towarzyszył nam przez większą część drogi, po bokach rozciągały się bezkresne przestrzenie leśne, zielenią swą odbijające się od białego puchu śnieżnego. W niedługim czasie, po około półtoragodzinnej jeździe dojechaliśmy do punktu docelowego. Wszyscy wysiedli z autobusu. Kierowca na pożegnanie przypomniał nam godzinę odjazdu autobusu z powrotem do Južno – Jenisejska w dniu następnym. Mnie ten rozkład jazdy już nie interesował. Rozeszliśmy się, każdy w swoim kierunku, po położonej nad brzegiem Angary osadzie Motyginino. W Motyginino miałem znajomą, która kiedyś pracowała w Južno-Jenisejsku. Tu została przeniesiona służbowo, do jakiejś instytucji finansowej. Uprzedzona telefonicznie o moim wyjeździe do Polski spodziewała się moich odwiedzin. Zaraz po przywitaniu postanowiliśmy przejść się spacerkiem na lotnisko, aby uzyskać informacje odnośnie mojego lotu. Okazało się, że sprawa nie jest taka prosta. Samolot na linii Krasnojarsk – Motyginino – Siwiro – Jenisejsk i z powrotem kursował tylko jeden dzień w tygodniu. O ile się nie mylę, był to czternastoosobowy dwupłatowiec. Następnego dnia nie spodziewano się jego przylotu, ponieważ w miejscowości, z której miał startować (Siwiro – Jenisejsk) sypał gęsty śnieg. Z uwagi na bezpieczeństwo pasażerów lot był chwilowo odwołany. Także w Motyginino pogoda popsuła się, temperatura spadła do -20°. Opady śnieżne zapowiadano również na następny dzień. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko czekać. Na szczęście nie musiałem się martwić o nocleg.

Następnego dnia moja znajoma poszła do pracy. Ja natomiast, choć byłem już wiele razy w Motyginino, postanowiłem jeszcze raz zwiedzić stare budynki tej osady. Južno-Jenisejsk był osadą młodą. W latach 1920 – 1928 znajdowało się tam zaledwie parę chałupek. Pewien znajomy opowiadał mi, że w tym czasie strzelał z okien swego mieszkania do niedźwiedzi. Motyginino było natomiast osadą starą, wybudowaną jeszcze za czasów carskich przez kupców korzystających z transportu rzeczno-jezdnego. Zamieszkała przez rybaków, flisaków i *droworubów* należała do osad ruchliwych. Znajdował się tu port rzeczny, lotnisko, stąd prowadziły drogi do licznych małych osad położonych w głębi syberyjskich lasów. Zabudowania gospodarskie były duże i ładnie ogrodzone. Niektóre stare domy miały piękne bramy wjazdowe z okazałymi kołatkami. Nowe domy można było poznać od razu – były małe i nie tak wygodne wewnątrz. O kołatkach czy innych udogodnieniach nie było mowy. Nie było zresztą takiej potrzeby, ponieważ

bramy prowadzące do podwórza zawsze były pootwierane na oścież. Jeżeli ktoś z domowników zlitował się i zamknął drzwi od wewnątrz, to wchodzący tłukł kamieniem w deski bramy, dając tym samym znać, aby mu otworzono. Kamień w tym czasie bardzo dobrze zastępował dawną kołatkę. W domach nierzadko mieszkało kilka rodzin, które w ustalonej kolejności korzystały z jednej kuchni (ustawionej na korytarzu).

I następnego dnia pogoda nie pozwalała na lot. Byłem już bardzo zdenerwowany. Cały czas martwiłem się o to, żeby pociąg z Krasnojarska do Polski nie odjechał beze mnie.

Trzeciego dnia, zaraz po przebudzeniu się jak zwykle skierowałem wzrok do okna. Na szybach, do połowy mróz wyrzeźbił piękne, wzorzyste kwiaty, ale przez górną część szyby było już widać czyściutkie, błękitne niebo. Pogoda zatem wspaniała – lotna. Teraz martwiłem się tylko o to, żeby zdobyć bilet Tam, tak jak i u nas, wszystko się zdobywało i załatwiała po znajomości. Ja, niestety, nie miałem wielkich możliwości. Moja koleżanka wyszła już do pracy (z czego zresztą byłem bardzo zadowolony, ponieważ nie lubię pożegnań), wyskoczyłem szybko na ulicę, od razu kierując się na lotnisko. O ile pamiętam, w Motyginie znajdowało się ono na niewielkiej wysepce, pośrodku rzeki Angary. Ponieważ była zima, do samego lotniska można było dojść po lodzie zamarznętej rzeki. Za chwilę byłem już w budynku administracyjnym lotniska. Zaraz po wejściu do pomieszczenia z kasą zorientowałem się, że absolutnie nie mam szans na wykupienie biletu. Ustawiłem się w kolejce, choć moje stanie było zwykłą stratą czasu. Nie miałem nawet co marzyć o bilecie. Czekających ludzi było o wiele więcej niż miejsc w samolocie. Jedynym moim pocieszeniem było to, że miał przylecieć jeszcze jeden, dodatkowy samolot. Jednak, sądząc po ilości osób stojących przede mną, i tak miałem marne szanse na odlot. Za kilka minut mieli zacząć sprzedawać bilety. Przez cały czas zastanawiałem się, co zrobić, jak zdobyć ten bilet, kto ze stojących bliżej okienka mógłby mnie zrozumieć, komu wytłumaczyć, że tam, w Krasnojarsku pociąg nie będzie czekał na jednego „polaczka”, a drugiego pociągu może już nigdy w życiu nie być. Po kilku latach od mojego powrotu dowiedziałem się, że po moim wyjeździe był jeszcze tylko jeden, ostatni transport Polaków z Kraju Rad do Polski. Trzeba znać Związek Sowiecki, aby to wszystko zrozumieć. Mnie mechanizm ten jest dobrze znany: „*dziś ty naczelnikiem a zawtra w tiurmie sidisz*” (dzisiaj naczelnikiem a jutro siedzisz w więzieniu). Dzisiaj puszczają do Polski, jutro mogą zamknąć w obozie. Dziś dadzą człowiekowi chleb, o ile sami będą go mieć, jutro nóż w plecy wbiją.

Myśli kłębią się: co robić? Zacząłem przyglądać się stojącym w kolejce

kobietom. Trzy były najbliżej kasy. Przypuszczałem, że nie powinny odmówić, jeśli poproszę o kupienie mi biletu. Przypatrując się kobietom i równocześnie analizując, do której podejść, usłyszałem z tyłu otwierające się drzwi. Odwróciłem głowę i zobaczyłem pracownika Urzędu Bezpieczeństwa w randze starszego lejtnanta. Podeszedł do okienka z kasą i zapukał. Wystraszona kasjerka natychmiast otworzyła okienko. Lejtnant kupił bilet, schował go i zmierzał ku drzwiom wyjściowym. Postanowiłem zaryzykować i podeszedłem do niego. Wyjaśniłem mu, dlaczego tak bardzo zależy mi na bilecie. Uśmiechnął się i powiedział tylko: „Proszę dać pieniądze”. Ponownie zapukał do okienka, podał kasjerce pieniądze i podyktował nazwisko, na jakie ma być wystawiony bilet. Po chwili trzymałem bilet w ręku. Przez chwilę jeszcze stałem jak wryty, zastanawiałem się: skąd taka nagła uprzejmość u tych ludzi, którzy przez całe życie myślą tylko o tym, by zgnębić ludzi, dokuczyć im i zastraszyć. Doszedłem do wniosku, że na pewno dostali taki *prikaz* (rozkaz) z Moskwy. Sami nie zdobyliby się na taką odwagę. Być grzecznym wobec ludzi na co dzień, a co więcej, w czymś komuś pomóc – to wykraczało poza zakres ich kompetencji.

Teraz, czekając na odlot, nie opuszczałem już lotniska. W niedługim czasie nadleciał samolot, kukuruźnik – jak go popularnie zwano. Pilot zgasił silnik, pasażerowie wysiedli. Kolejny odlot miał nastąpić za kilka minut. Wokół samolotu kręcili się szczęśliwcy ze zdobytymi biletami, wśród nich i ja. Obserwowałem pilota, który również wysiadł z samolotu i zaczął dokładnie go oglądać. Obchodził go dookoła, co chwilę zatrzymując się, sprawdzał poszczególne części samolotu. Badał wytrzymałość skrzydeł przez naciskanie ich rękoma, poruszał w prawo i w lewo sterem, następnie śmigłem. Po tym wszystkim wszedł pod samolot, aby oglądnąć koła. Po chwili wyszedł skulony, rozprostował plecy i, odchodząc kilka kroków od samolotu, zaczął przyglądać mu się z widocznym zadowoleniem i czułością. Stałem z boku, kilka metrów od samolotu i pilota. Domyśliłem się, że dokonuje on przeglądu technicznego swojej maszyny po skończonym przed chwilą kilkusetkilometrowym locie. Był to mężczyzna około trzydziestoletni, Rosjanin. Na sobie miał typową, skórzaną lotniczą kurtkę podszytą barankiem, spodnie waciaki – wpuszczone do filcowych, obszytych skórą butów. Po chwili wyjął z kieszeni papierosy „Biełomor-kanal”, zapalił i zaczął rozglądać się dookoła. Ponieważ stałem najbliżej niego, uśmiechnął się i podeszedł do mnie. Zaczęliśmy rozmawiać, najpierw o pogodzie sprzyjającej lotowi, następnie o samolotach. Na temat samolotów niewiele miałem do powiedzenia, więc słuchałem z zainteresowaniem. Powiedział mi, że w czasie drugiej wojny światowej latał na różnego

typu samolotach, poczynawszy od popularnych, małych samolotów dwuosobowych, skończywszy na ogromnych myśliwcach i bombowcach. Marek wymienionych przez niego samolotów rosyjskich już nie pamiętam, ale w pamięci utkwiło mi wiele innych szczegółów jego opowieści. Na wojnie był na froncie zachodnim, po wojnie był w Polsce, Czechosłowacji, Niemczech. Po powrocie do ZSRR, jako były lotnik wojskowy, który, jak się wyraził, za dużo wiedział i za dużo widział: jak żyją. – ludzie na Zachodzie, jaka tam panuje kultura, został wysłany do pracy w dalekowschodnich, syberyjskich liniach lotniczych. Zaczął więc latać między Krasnojarskiem a Norilskiem (Środkowy Sybir). Pewnego razu na trasie Krasnojarsk – Motyginino (czyli takiej samej, jaka teraz miała się odbyć) spotkała go przykra niespodzianka. Leciał wtedy na takim samym kukuruźniku, jakim mieliśmy lecieć teraz. Na pokładzie miał dziewięciu pasażerów, czyli komplet. Pogoda była dobra, lot spokojny. Spokój ten został zakłócony, kiedy nad Motyginino, czyli miejscem lądowania, usłyszał przez radiotelefon, że lotnisko nie może go przyjąć, ponieważ jego samolot nie ma jednego koła. Zaskoczony tą niespodziewaną wiadomością, dopiero teraz zorientował się, że rzeczywiście na trasie odpadło mu koło. Przerażony tym odparł szybko, że musi wylądować na tym lotnisku, ponieważ na powrotny lot do Krasnojarska (czyli do lotniska macierzystego) nie starczy mu benzyny. Pracownicy lotniska, nie wiedząc – jak uniknąć katastrofy, zadzwonili do portu lotniczego w Krasnojarsku. Tamci nie byli jednak w stanie nic pomóc, odpowiedzieli, że w tej sytuacji pilot sam musi zdecydować, co robić i lądować na własne ryzyko. Coraz bardziej przestraszony krążył nad lotniskiem i zastanawiał się: jak wylądować na jednym kole, aby nie spowodować wypadku. Wtedy jeden z pracowników lotniska w Motyginino przypomniał sobie, że niedaleko od biura lotniska mieszka były wojskowy, lotnik w randze majora (teraz emeryt, który w czasie drugiej wojny światowej dużo latał i podczas przymusowych skoków z płonącego, zestrzelonego nad Berlinem samolotu stracił nogę) i na pewno będzie w stanie coś poradzić. Szybko wezwano emeryta. Ten natychmiast zorientował się o co chodzi i błyskawicznie zarządził przygotowanie góry śnieżnej, która miała pomóc w możliwie bezpiecznym lądowaniu. Zaraz ściągnięto siedem spychaczy, którym major polecił zagarnianie śniegu na pas startowy. Nasz pilot otrzymał z ziemi polecenie, aby jeszcze parę minut spokojnie polatać nad lotniskiem. W tym czasie powstawała śnieżna góra. Krążył zatem nad lotniskiem i obserwował pospieszoną i, zdawało by się, bezładną krzątanicę na pasie startowym. Pasażerowie doskonale orientowali się w zagrażającym im niebezpieczeństwie, szczęśliwie nie wybuchła

panika, w milczeniu oczekiwali na dalszy rozwój sytuacji. Paliwa na razie wystarczało, ale mogło się w każdej chwili skończyć. Na szczęście góra śnieżna rosła w oczach. Na jej szczycie major rozkazał wetknąć czerwoną chorągiew, aby pilot dobrze widział, gdzie jest jej środek. Po chwili przez radio skontaktowano się z pilotem. Major spytał go: czy dobrze widzi śnieżną górę i chorągiew na jej wierzchołku. Kiedy otrzymał twierdzącą odpowiedź, kazał pilotowi skierować samolot w sam środek góry, tak, aby śmigłem trafić w chorągiew. Słuchając rozkazu, po dwóch okrążeniach pilot obniżył lot i lecąc około metra nad lotniskiem, wjechał w sam środek śnieżnego kopca. Samolot z rozpędu przebił pagórek, ale jego kadłub prześlizgnął się tylko parę metrów na drugą stronę. Reszta samolotu ze skrzydłami pozostała w śniegu. Pasażerowie, poza małymi potłuczeniami, nie odnieśli żadnych poważnych ran. Również pilot ocalał, uderzył się tylko w głowę i nabił sobie guza. „I od tego czasu, młody człowieku – powiedział na zakończenie – zawsze przed każdym lotem badam z zewnątrz samolot, poruszam niektóre jego części. Wówczas jestem spokojniejszy”. Po tym uśmiechnęliśmy się do siebie, pilot wszedł do kabiny, ja zająłem miejsce dla pasażerów. Na 5 minut przed odlotem pilot zaczął sprawdzać bilety. Miałem bilet numer 737380 M. z dnia 12 grudnia 1955 r., cena przelotu Motyginó – Krasnojarsk – 483 ruble. Po chwili wszyscy pasażerowie byli już w samolocie. Usiedliśmy na drewnianych ławkach umieszczonych po obu stronach, wzdłuż samolotu. W niedługim czasie pilot zapuścił silnik i zaczęliśmy unosić się w górę. Obok pilota siedział jego zastępca, który pełnił równocześnie obowiązki radiotelegrafisty. Tak przynajmniej mi się wydawało, gdy obserwowałem wykonywane przez nich czynności. Widziałem ich doskonale, ponieważ drzwi od kabiny pilotów były cały czas otwarte. Straszny warkot wewnątrz samolotu uniemożliwiał jakiegokolwiek próby rozmowy z sąsiadem. Cały samolot strasznie trząsał się i drgał. Naprzeciw mnie siedziała jakaś młoda blondynka, która przez całą nieomal drogę miała torsje. Na jakiej wysokości lecieliśmy – nie wiem, przypuszczam, że nie wyżej niż dwa do trzech tysięcy metrów. W dole widać było śnieżną biel przeplataną ciemnymi plamami zielonych gałązek sosen. Od czasu do czasu można było dostrzec tonące w głębokim śniegu osady, które z takiej wysokości wydawały się być dziecinnyimi zabawkami. Chwilami wśród śnieżnej bieli spostrzec można było czarny obiekt posuwający się wzdłuż ścian śnieżnego tunelu – to autobus, który spieszenie podążał zimową drogą. Wreszcie zobaczyliśmy dachy kamienic – to już Krasnojarsk. Lot trwał około trzech godzin.

Na dworzec kolejowy dojechałem taksówką, ponieważ, jak sobie

przypominałem, był dość daleko od lotniska. Znalazłszy się tam, podszedłem do milicjanta, aby zapytać o transport z Polakami. I tu znowu „Wersal”. Milicjant zasalutował i sam zaproponował, że zaprowadzi mnie do celu. Teraz przekonałem się już na sto procent, że tak kulturalnym w stosunku do Polaków powracających do kraju okazała się Moskwa. Może szybciej zapomną lata upodlenia, głodu, nędzy, nieszczęść i rozłąki z najbliższymi. Ilu ich *podochło* – nieważne. Te resztki należy wypuścić i wtedy rozdmuchać odpowiednią propagandę, jacy to oni są dobrzy (po 10 lub 15 latach wykorzystywania darmowej siły roboczej, odsyłają ludzi z obcym obywatelstwem do ich rodzinnych stron).

Milicjant zaprowadził mnie do naczelnika transportu, zasalutował grzecznie i odszedł. Jego kultura i uprzejmość tak mnie zaskoczyły, że kiedy odchodził, odwróciłem się, by go jeszcze raz zobaczyć. Przed powitaniem naszego naczelnika, o ile sobie przypominam – w stopniu pułkownika, zapytałem go z głupia frant – od jakiego czasu milicja u nich taka grzeczna i na jak długo. Odpowiedział bez namysłu i z zadziwiającą szczerością: „dopóki wy nie odjedziecie, taki mamy *prikaz*”. Potwierdził zatem moje przypuszczenia. Oddałem mu zaświadczenie o mojej tożsamości, które otrzymałem przed wyjazdem z Južno-Jenisejska od kapitana Griaznowa. Po tym mój nowy naczelnik objaśnił mi, że do samej granicy polskiej będziemy dostawali jedzenie (raz na dobę), a co 5 dni będzie w wagonie wymiana pościeli (za którą będę musiał płacić 15 rubli). Tym samym zrozumiałem, że do czasu dojazdu do Polski będę miał własne łóżko! Następnie spytał, czy posiadam sowieckie bony loteryjne i czy chcę je wymienić na pieniądze, czy zabrać do Polski. Zdenerwował mnie tym pytaniem, odpowiedziałem więc dość niegrzecznie, że pomimo jedenastoletniego pobytu w Związku Sowieckim nie zostałem jeszcze całkowicie wyzbyty rozumu i niech oddaje pieniądze. Z tonu jego dalszych wypowiedzi wyczułem, że poczuł się dotknięty moją niewiarą w solidność sowieckiego banku, jak również przytykiem o możliwości utraty rozumu podczas pobytu w Związku Sowieckim. Na zakończenie rozmowy poinformował mnie, że zawsze mogę przyjść do niego ze skargą na kucharza (Rosjanina, należącego do obsługi naszego pociągu) – jeżeli będzie źle gotował, sprzedawał lub zamieniał nasze produkty na wódkę, czy też *cztonibut' bołtał jazykom* (coś miał językiem). Należało również do niego przyjść i zawiadomić go, gdy i reszta obsługi naszego pociągu (sprzątaczkę, osoby wymieniające pościel itp.) nie będą należycie wypełniać swoich obowiązków. Odpowiedziałem mu już ze złością, że na pewno kucharz będzie proponował, aby do niego pisać skargi na naczelnika transportu.

Znałem dobrze te stare szpiclowskie nawyki ubowców, więc z góry go uprzedziłem, żeby dał sobie lepiej spokój z takimi propozycjami. Powinien był przecież zdawać sobie sprawę z tego, że w tym transporcie jadą ludzie, którzy wracają do ojczyzny po długich latach siedzenia w lagrach i więzieniach, więc może kogoś tym swoim szpiclowskim językiem zdenerwować. Ktoś bardziej nerwowy ode mnie, zamiast grzecznie uprzedzać, tak jak ja, uderzyłby takiego drania zaraz w łeb i musiałby znowu iść do, więzienia. Nic nie odpowiedział, po tej rozmowie rozstaliśmy się wrogo do siebie nastawieni.

Poszedłem do swojego wagonu i zająłem wyznaczone mi przez obsługę miejsce. Dopiero teraz zacząłem się cieszyć, że jestem, że żyję, że zdążyłem na ten we śnie oczekiwany transport do Polski, do swojej ojczyzny. Nie trwało to długo, znowu przypomniałem sobie w czyich rękach się znajduję, u kogo jeszcze jestem. Czyż nie znałem bolszewików, „na pewno w drugą stronę pojedziemy, na wschód, a nie na zachód” – myślałem. „Grunt się jednak nie przejmować, w ciasnych bucikach nie chodzić i na zakrętach uważać” – mawiało się przed wojną we Lwowie. Na razie musiałem się cieszyć tym, co jest – a nie było najgorzej. Zacząłem rozglądać się po wagonie, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Każdy przedział był wyłożony innego koloru kafelkami – czerwonymi, zielonymi, różowymi, niebieskimi, w oknach czyste firanki, podłoga czysta, z dywanikiem. W ubikacji lustro z półeczką, obok ręcznik – czysty i puszysty, koło muszli papier toaletowy. W umywalce nawet woda bieżąca, nacisnąłem na pedał muszli klozetowej i znowu cud – woda ściekła.

Nie mogłem się temu wszystkiemu nadziwić. Przecież wojna już dawno skończona, nie ma skąd brać łupów wojennych. Sami w stodołach wozili się od czasów rewolucji, skąd u licha dla nas takie luksusowe wagony. Nie dawało mi to spokoju, zacząłem rozglądać się i szukać napisów w języku obcym. Nic – wszędzie ruskie litery. Nie dałem jednak za wygraną, poszedłem do ubikacji. Tu wreszcie, tuż nad drzwiami, znalazłem maleńką, metalową naklejkę: „Made in Poland. Poznań”. „No – pomyślałem – tajemnica wyjaśniona”. Ucieszyłem się sądząc początkowo, że skoro my im sprzedajemy takie wagony, to u nas z pewnością będą jeszcze lepsze. Po chwili jednak wpadłem na to, że oni na pewno nie płacą nam za te wagony. Wiedziałem przecież, że tylko potrafią rekwirować i zabierać. Na szczęście za chwilę nowi towarzysze podróży przerwali mi niezdrowe myśli.

Przez parę dni stania naszego składu na boczniczy wagony ciągle zapełniały się nowymi pasażerami. Przyjeżdżali z różnych zakątków Syberii – młodzi i starzy, zdrowi i chorzy, inwalidzi, kalecy, bez rąk, bez nóg – jak z frontu. Wolne miejsca zapełniały się

szybko, dlatego też wiedzieliśmy, że lada dzień ruszymy. Ze mną w przedziale jechał starszy pan – po sześćdziesiątce, mężczyzna około 35 lat i jeszcze ktoś, kogo twarzy nie mogę sobie przypomnieć. W całym transporcie, o ile mnie pamięć nie myli, jechało bardzo mało Polaków z Armii Krajowej. Jechało wielu polskich Żydów, Ukraińców z zachodniej Ukrainy (podających się za Polaków), jechali Białorusini, spotkałem nawet kilku Niemców. Wszyscy roześmiani, radośni i szczęśliwi, że opuszczają kraj ludzkiej nędzy i rozpaczą.

Gdzieś około 17 grudnia, po całkowitym wypełnieniu miejsc w wagonach, pociąg wreszcie ruszył na wymarzony Zachód ku szalonej radości wszystkich pasażerów. Mijaliśmy rozszarpane z rzadka wioski i osady tonące w głębokim syberyjskim śniegu. Dla turystów to na pewno piękna i ciekawa trasa. W Nowosybirsku mieliśmy dłuższy postój, który niepokoił i denerwował wszystkich pasażerów tego zestawu kolejowego, w szczególności zaś starszego pana z mojego przedziału. Na każdym dłuższym postoju biegał on od okna do okna i prosił mnie, abym śledził, czy lokomotywy nie przyczepiają z drugiej strony i czy nie jedziemy w odwrotnym kierunku, czyli z powrotem na wschód. Miał uraz na tym punkcie. Później dowiedziałem się od niego, że siedział w Związku Sowieckim od 1939 r. i od tego czasu jechał do Polski już trzeci raz. Na skutek jakiś nieporozumień politycznych dwa razy z granicy polsko – radzieckiej wywożono go z powrotem do obozów. Mówił, że trzeci raz powrotu nie wytrzyma, byłaby to za ciężka próba dla jego serca. No cóż, współczułem mu, lecz sam nie byłem pewny naszego szczęścia. Po kilkugodzinnym postoju ruszyliśmy dalej. Dalsza trasa wiodła przez Omsk, Pietropawłowsk, Kurgan, Czelabińsk, Świerdłowsk, przejechaliśmy piękne góry Ural, następnie minęliśmy Kazań. Powoli zbliżaliśmy się do Moskwy.

Chciałbym wspomnieć w tym miejscu o dwóch przypadkowych spotkaniach na tak olbrzymim terytorium, jakim jest Związek Radziecki. W obozie na terenie Kazachstanu, w osadzie Kujanda, spotkałem Rosjanina – Aleksandra, nieco starszego ode mnie. Pochodził z Moskwy, o której dużo mi opowiadał. Losy obozowe rozłączyły nas na długie lata. Po raz drugi spotkaliśmy się na Sybirze, w osadzie Južno-Jenisejsk w 1954 roku, ale tam pożegnałem go już na zawsze.

A oto drugi, ciekawszy przypadek. Potwierdza on przysłowie, które głosi, że góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem może.

Działo się to w grudniu 1945 r., zaraz na początku mojego pobytu w osadzie Del-Del. Już trzy dni trwała tam zamięć śnieżna. Zwykle w takie zamięcie nie

chodziliśmy pracować, ponieważ wykonywanie jakiegokolwiek pracy było niemożliwe, poza tym można było zablądzić. W takie dni nie dostarczano nam również do baraku jedzenia. Ponieważ byliśmy w ogóle wygłodzeni, niedostatek ten powodował natychmiastowy ubytek sił, nagle choroby, nie mówiąc już o naszym stanie psychicznym. Zdrowych i w nie najgorszym stanie fizycznym było tylko kilku byłych żołnierzy Armii Czerwonej, teraz takich samych jak i my więźniów. Wszyscy oni byli na froncie i doszli aż do Berlina. Za jakieś wykroczenia polityczne otrzymali po 10 lat wyroku obozów poprawczych. Dowiedzieli się oni od kogoś, że do naszej osady przywieziono na saniach makuch dla bydła, który stoi koło stajni nie rozładowany z powodu zamieci śnieżnej. W baraku ogłosili wszystkim współtowarzyszom, że nie mają zamiaru *podychat iz głodu* (zdychać z głodu), czego i innym nie życzą. W związku z tym postanowili we czwórkę przejść przez zonę w poszukiwaniu żywności, co nie stanowiło wtedy żadnej trudności (padający i nawiany przez burzę śnieg przysypał całkowicie druty odgradzające nas od wolnego świata). Wartownicy w swoich budkach strażniczych, jeżeli nie spali, to i tak świata bożego nie widzieli. Potrzebny tej czwórce był jakiś chłopak sprytny, w miarę ruchliwy oraz mocny w nogach. Uczciwie ostrzegli, że chłopak musi być zdecydowany na wszystko. Z tymi słowami zwrócili się do mnie, pytając, czy zgodzę się pójść z nimi. Zgodę wyraziłem natychmiast. Następnie poinformowali wszystkich, że ponieważ narażają swoje życie podwójnie, gdyż albo mogą zablądzić w zamieci śnieżnej, albo być zastrzeleni jako zbiegowie podczas próby ucieczki, jakąkolwiek zdobytą żywność dzielą na połowę (tzn. idąca piątka zabiera połowę, drugą daje reszcie pozostałej w baraku).

Pozostający w baraku współwięźniowie musieli pomóc w zrobieniu jak najdłuższej liny. Dlatego też każdy, kto chciał jeść i nie zamierzał umrzeć śmiercią głodową, winien był dostarczyć parę metrów sznura, niekoniecznie mocnego. Natychmiast po tym ogłoszeniu barak ożył, zaczął się niebywały – jak na tak osłabionych i wycieńczonych ludzi – ruch. Przed chwilą jeszcze nieomal wymarły barak, wyglądał w tej chwili jak hala produkcyjna, a w niej bardzo pilnie pracujący robotnicy. Przede wszystkim w ruch poszły zachowane jeszcze z domu ręczniki lniane. Kto nie miał ręczników, darł stare koszule w pasy i splatał je dla większej mocy. Po około dwóch godzinach przed naszą piątką leżało, jak się po zmierzeniu okazało, około 200 metrów sznura. Byliśmy gotowi do eskapady. Ja uzbroiłem się w nóż niezbędny do ewentualnego rozcięcia czy też rozprucia worka lub przecięcia sznurów przytrzymujących towar. Zadaniem moim było brać wszystko – co było możliwe do

zjedzenia, poza tym nie wolno mi było niczego ruszać. Moi starsi koledzy uzbrojeni byli w oderwane chwilowo nogi od pryczy. Ich zadaniem było asekurować mnie na wypadek bójki. Ich sprawą była obrona, moją – zabieranie żywności, jaka tylko wpadnie mi w ręce. Przed wyjściem z baraku opasałem się sznurem. Szedłem pierwszy, za mną, o ile przypominam sobie imię, szedł Kostia, który miał mnie uderzać w ramię, lewe lub prawe, w zależności od tego, w jakim kierunku trzeba będzie iść, następnie szedł Waśka, imienia czwartego nie pamiętam, pochód zamykał Grisza. Na zewnątrz baraku oparty o drzwi wejściowe stał kolega, o ile sobie przypominam, jakiś Ukrainiec z zachodniej Ukrainy. Miał on za zadanie trzymać drugi koniec sznura i od czasu do czasu pociągać go, na co Grisza (ten zamykający pochód) winny był mu odpowiadać tym samym ruchem – na znak, że jeszcze żyjemy i na razie nie zabłądziliśmy. W wypadku niedawania znaku umownego z naszej strony przez godzinę, wszyscy więźniowie mieli stanąć w otwartych drzwiach baraku i krzyczeć z całej siły na strażników, by szli nas szukać. Ponieważ zegarów nie było, a pozostający w baraku współtowarzysze musieli przynajmniej w przybliżeniu znać czas naszej nieobecności w zonie, trzech kolegów miało za zadanie liczyć sekundy i minuty, a czwarty patykiem zapisywać na podłodze odliczony czas. Liczenie to było dublowane, by umknąć pomyłk. Umówiliśmy się, że jedną godziną wystarczy na ten wypad, ponieważ przez ten czas w taką pogodę daleko się nie zajdzie i w wypadku naszego zabłądzenia będzie jeszcze szansa odnalezienia nas i wyratowania od niechybnej śmierci (zamarznięcia).

Szliśmy z Kostią jako pierwsi – uważaliśmy więc, by nosem nie zaryć w budkę strażniczą lub nie wejść na jej dach. Przestraszony strażnik, myśląc, że napadamy na niego, mógłby nas powystrzelać. Szedłem na oślep, zdając się tylko na wycucie swoje i Kostii, który od czasu do czasu trącał mnie w lewą lub prawą rękę. W baraku, jeszcze przed wyjściem na zewnątrz, Kostia został przez nas jednogłośnie wybrany na przywódcę. Zapewniał nas, że ma węch *kak sobaka* (jak pies) i trafi, jak trzeba będzie, nawet do piekła. Wierzyliśmy mu, bo co, nam pozostało. Wiał wicher. Szedłem zupełnie jak ślepy. Nie byłem pewny właściwego kierunku. Wydawało mi się, że idziemy już bardzo długo. Nagle uderzyłem głową w jakiś twardy przedmiot. Przestraszyłem się. Zacząłem delikatnie go obmacywać, bo myślałem, że to buda strażnicza. Po chwili zorientowaliśmy się z Kostią, że to ściana stajni. „Odbić w lewo” – krzyknął mi w samo ucho Kostia. Rzeczywiście, po paru krokach brnięcia po pas w śniegu, a chwilami głębiej, trafiłem na brzeg sań. Błyskawicznie znalazłem się na nich. Z zapalem zacząłem grzebać rękoma po saniach. Nagle poczułem mocny wstrząs,

zobaczyłem gwiazdki (stwierdzam to z całą odpowiedzialnością, ponieważ znam to dobrze z własnej praktyki, jako że w różnych bójkach podczas mojej „turystycznej podróży po Związku Sowieckim” byłem nie tylko zwycięzcą, ale bywałem także zwyciężany). Ktoś mnie uderzył czymś twardym po głowie. Na szczęście moja zimowa czapa zamortyzowała uderzenie, nie zwróciłem więc na nie większej uwagi. „Tymi sprawami” mieli się zająć koledzy. Już za chwilę po ruchach sań, odgłosach sapania i kotłowaniny zorientowałem się, że chłopcy biją się nie na żarty. Grzebałem dalej po saniach. Nagle namacałem jakiś worek, szarpnąłem go, ale coś go przytrzymało, tak że nie mogłem go wyrwać. „Widocznie – pomyślałem – jest przywalony innymi”. Wyjąłem zza pasa nóż, by go rozciąć i nagle zobaczyłem, że na worek wsunęła się jakaś ręka, która utrudniała mi dostęp do niego. Niewiele myśląc, rąbnąłem w nią nożem. Rozległ się krzyk, ale za to nic mi już nie przeszkadzało w wydobywaniu makucha. Jedno dobre cięcie nożem po worku i wymarzony makuch na wierzchu. Zdażyłem wziąć cztery duże, ciężkie płyty i już ktoś mi wrzeszczał nad uchem – „Zwiewamy!” Zerwałem się z sań, przekazałem najbliższemu stojącemu (jak się dopiero w baraku dowiedziałem – Griszy) trzy płyty makucha i sam, z jedną płytą pod pachą, chwyciłem za sznur i zacząłem biec, na tyle, na ile pozwalał głęboki śnieg.

Wpadliśmy do obozu jak szaleńcy, zziązani, zmęczeni, rozdygotani, ale i szczęśliwi. Więźniowie, którzy pozostali w baraku, na nasz widok oszaleli z radości. Zaraz zaczęli pomagać nam rozbierać się z wierzchniej odzieży. Wtedy właśnie zauważyłem, że jestem okrwawiony. Rzeczywiście, głowę miałem rozbitą, nie czułem tego zupełnie. Rana okazała się niewielka, współwięźniowie obmyli mnie śniegiem i wszystko było w porządku. Gorzej było z Kostią. Okazało się, że oberwał bagnetem w plecy. Całe szczęście, że był w kozuchu, *buszłacie* i kufajce, bo dzięki temu bagnet nie wbił się głębiej w ciało. Po kilku dniach leżenia rana ładnie się zabiłiła. Wykonaliśmy kawał dobrej roboty. Zdobyliśmy „żarcie” nie tylko dla siebie, ale i współtowarzyszy, którzy jeszcze przed godziną gotowi byli klócić się ze mną, a w tej chwili patrzyli na mnie jak na bohatera i na każde moje syknięcie biegli z mokrą szmatą, aby ukoić ból głowy. Przyjemne to uczucie, gdy się widzi, że inni potrafią docenić czyjś trud.

Według relacji kolegów sprawa przebiegała mniej więcej w ten sposób. Kiedy zacząłem grzebać rękoma w poszukiwaniu żywności, stojący obok Kostia zauważył, jak na drugim końcu sań coś podniosło się i nagle opadło. Była to ręka leżącego na saniach człowieka, uniesiona do góry z pałką (wtedy właśnie oberwałem). Widzący to Kostia chciał mi pomóc, ale w tym momencie poczuł, jak się wyraził, mocne ukłucie w plecy

(wówczas to dostał z tyłu bagnetem). Grisza widział wprawdzie, jak drzwi od stajni otworzyły się i wybiegły z nich dwa cienie (jeden z bagnetem, ten właśnie zranił Kostię), nie miał jednak możliwości zapobiec temu, ponieważ musiał zająć się drugim napastnikiem. Obaj powalili się na śnieg i leżącego – Grisza zdołał ogłuszyć. W tym czasie Waśka odebrał bagnet pierwszemu, który uciekł z powrotem do stajni. Leżący na wozie zajęty był swoją, okaleczoną przeze mnie ręką, więc i on był chwilowo unieszkodliwiony. Dalszy ciąg tej awantury jest znany.

Gdy tylko rozebraliśmy się i uspokoiliśmy, głodomory okrążyły nas i patrząc na nas jak na wyrocznię, czekały na sprawiedliwy podział zdobytego łupu. Dwa płatki makucha oddaliśmy współtowarzyszom, dwa zostawiliśmy sobie.

Rozpoczęła się najprzyjemniejsza część dnia – przygotowanie do jedzenia. Makuch należało rozbić na drobne kawałeczki, włożyć do miski, zalać wodą i czekać, aż cząstki rozpuszczą się. Tę bydlęcą strawę można było konsumować mniej więcej po pół godzinie. Makuch był bardzo pożywny, składał się z ziarenek słonecznika, zboża i innych składników. Jedząc go należało wypluwać wszelkiego rodzaju łuski. Pokarm ten pozwolił nam przetrwać ciężkie dni.

Jak już wspominałem, w moim przedziale jechał mężczyzna liczący około 35 lat. Po paru dniach jazdy zwróciłem uwagę na jego rękę. Na zewnętrznej stronie dłoni miał bliznę. Kiedy spytałem go, skąd ma tę bliznę, opowiedział mi o wydarzeniu w Del-Delu. Po kilku zdaniach domyśliłem się, że był to człowiek, który podczas napadu na makuch uderzył mnie w głowę, a którego ja zraniłem nożem. Obaj byliśmy bardzo zaskoczeni tym spotkaniem. Nie mieliśmy do siebie żadnych pretensji. On, mimo że był bardziej poszkodowany i prawo było po jego stronie, rozumiał mnie doskonale. Przeżywaliśmy przecież jednakowe nieszczęścia. Nie zrobiłem tego dla przyjemności czy z chęci osobistego zysku, głód i niedostatek mnie do tego zmusił.

Zaiste dziwne to, że po tylu latach i na takiej przestrzeni można się znowu zetknąć w takich samych okolicznościach. Tyle o nieoczekiwanych spotkaniach. Powracam do naszej jazdy. Minęliśmy Kazań, Gorkij i wiele innych, mniejszych miejscowości. Późnym wieczorem dojechaliśmy do Moskwy. W stolicy Związku Sowieckiego staliśmy całą noc. Jakoś nie zauważyłem chętnych do jej zwiedzania. Z okien wagonu widziałem w oddali olbrzymią czerwoną gwiazdę. Najprawdopodobniej była to gwiazda kremlowska – symbol złudnego szczęścia uciśnionego narodu sowieckiego. Również i ja nie miałem ochoty na zwiedzanie stolicy wschodu. Zbyt dużo nieszczęść łączyło mnie z tym miastem. Począwszy od 1939 roku, kiedy sowieci

zaczęli okupować nasze ziemie wschodnie, oprócz płaczu, nędzy i trwogi naród polski nic dobrego nie doświadczył od tych najeźdźców. W sierpniu 1939 roku rząd niemiecki zawarł z ZSRR pakt o nieagresji. Dwaj najwięksi wrogowie narodu polskiego już wtedy dzielili się naszym państwem. Jeden rozpoczął wojnę bez wypowiedzenia jej rządowi polskiemu od zachodu, drugi w kilkanaście dni później – od wschodu.

Następnego dnia rano ruszyliśmy dalej na zachód. Przez Briańsk, nie zatrzymując się na małych stacjach, jechaliśmy w stronę Kijowa. W czasie postoju pociągu, na stacjach bliżej Kijowa, skradały się do naszych wagonów kobiety i prosiły, aby im sprzedać coś z odzieży lub obuwia. Również mężczyźni chyłkiem, po kryjomu przedostawali się do nas. I oni proponowali nam pieniądze za buty, czapki i inne rzeczy. Sprzedawaliśmy im nasze walonki, które były najbardziej rozchwytywanym towarem, kufajki lub *bulszaty*. Nikt nie chciał wieźć tych sowieckich łachów do Polski. Odchodzili szczęśliwi, jeżeli udało się im coś kupić. Sprzedawało się im wszystko za pół ceny albo oddawało w ogóle za darmo, ponieważ ludzie ci byli bardzo ubodzy. Panicznie bali się sowieckiej milicji. Gdy tylko zobaczyli ją z daleka, zaraz uciekali w pola, aby się tam schować. Kiedy tylko milicjant oddalił się, wszyscy wracali do nas – kupowali z powrotem niepotrzebne nam już szmaty. Ludzie, którzy kupowali od nas ciuchy, pracowali w kolchozach. Dowiadaliśmy się od nich o brakach w tutejszych sklepach. Nie było tam towarów pierwszej potrzeby, tak żywności, jak odzieży. Nic się nie zmieniło od czasów wojennych, chociaż było już tyle lat po wojnie. Przychodzili do nas, by kupić cokolwiek, obojętnie w jakim stanie. Dla tej biedoty wszystko było potrzebne i dobre. Wracali do swych domów przed odjazdem pociągu, równie niepostrzeżenie; jak przychodzili. Żegnali nas z rozrzewnieniem, zazdroszcząc nam wyjazdu do kraju – w ich mniemaniu – wolnego.

Zbliżało się Boże Narodzenie 1955 roku. Kilka przedziałów za naszym jechał ksiądz. Nie wiem skąd miał opłatki, w każdym razie spędziłem pierwszą, od 11 długich lat w niewoli i na obczyźnie, wigilię z opłatkiem. Ten wigilijny wieczór to również moje 11 imieniny w Związku Radzieckim. Wszyscy życzyliśmy sobie powrotu do kraju i zastania w nim swoich bliskich w zdrowiu. Nie wszyscy mieli możliwość nawiązania korespondencji ze swoimi najbliższymi. Niektórzy od 1939 r. nic nie wiedzieli o swoich krewnych i znajomych. W najgorszej sytuacji byli ci, których rodziny zostały przesiedlone w latach 1945 – 1946. Oni pojechali na wschód, wywiezieni na Sybir na 10 lub więcej lat – ich rodziny na zachodnie ziemie Polski. Jednak nikt z byłych więźniów i zesłańców tak bardzo się tym nie martwił. Każdy liczył, że w Polsce

odnajdzie swoich bliskich (to przecież nie Związek Sowiecki). Wigilię spędziliśmy na trasie między Kijowem a Lwowem. Pierwszy raz od 11 lat śpiewałem kolędy wśród tak licznego grona moich rodaków. W tym dniu również chodził kucharz, żeby mu podpisać *bumaszku* (papier) potwierdzając tym, że dobrze gotował, nic nie ukradł i wszyscy są z niego zadowoleni. Wyjaśniał tę konieczność tym, że musi to pokazać swojemu *naczalstwu*. Podpisywaliśmy jemu *bumaszku*, bo rzeczywiście starał się jak mógł najlepiej. Z przydziałów, jakie otrzymywał dla naszego wyżywienia, wymyślał różne potrawy, gotował nienajgorzej i przestrzegał czystości. Naczelnik transportu również odwiedzał nas częściej w miarę zbliżania się naszego transportu do granicy. Pytał zawsze o nasze zdrowie i samopoczucie. Mój współlokator, gdy pociąg pędził na zachód, biegał od okna do okna i zacierał ręce z radości. Gorzej było podczas dłuższego postoju. Jego nerwowe podniecenie udzielało się wszystkim. W miarę zbliżania do granicy stawali się jacyś inni. Coraz częściej wybuchały między nami sprzeczki na tle politycznym, a także dotyczące spraw osobistych. W niektórych rodzinach zdarzały się tragedie. Wiele żon, nie mając przez tyle lat żadnych wiadomości o swoich mężach, wychodziło ponownie za mąż. Ci mężczyźni nie wracali więc do swoich domów, jechali do dawnych krewnych lub znajomych. Wielu uważanych było za zmarłych. W latach 1939 – 1940 wiadomo było, że ci, którzy zostali wywiezieni w głąb Rosji rzadko powracali, ginęli z głodu, wycieńczenia lub innych powodów. Bywały różne tragedie. Nie wszyscy mówili o swoich nieszczęściach, woleli je zostawić dla siebie, bo nie było powodów do dumy. Ogólnie rzecz biorąc, wszyscy pragnęliśmy już wreszcie przekroczyć granicę. O tym każdy z nas przecież marzył od wielu lat.

Do Kijowa przyjechaliśmy w południe. Stanęliśmy na boczniczy, ale zapowiedziano nam, aby nie wychodzić na miasto, gdyż wkrótce ruszymy. Staliśmy jednak kilka godzin. Domyślaliśmy się, że władze sowieckie nie życzą sobie, aby tacy pasażerowie jak my, kręcili się po mieście zbliżonym do Europy Zachodniej, prawdopodobnie ze względu na zagranicznych korespondentów lub próby rozpowszechniania wrogiej – jak oni nazywali prawdę – propagandy wśród narodu ukraińskiego. Dalej pociąg pojechał w kierunku Winnicy. Zaczęliśmy zbliżać się do byłych granic państwa polskiego. W niedługim czasie minęliśmy rzekę Zbrucz, która do roku 1939 stanowiła wschodnią granicę Polski. Wjechaliśmy na byłe terytorium państwa polskiego. Chociaż już 11 lat wymieniano tamtejszą ludność, wywożąc Ukraińców na Sybir lub do Kazachstanu i do obozów rozsianych po całym Związku Sowieckim, a ich miejsce zasiedlając Rosjanami, można tu jeszcze było odczuć wpływy

polskiej kultury i cywilizacji. Na stacji w Tarnopolu zatrzymaliśmy się na około 3 godziny. Mieliśmy wówczas okazję porozmawiać z polskimi Ukraińcami, którzy nie byli tak sterroryzowani, jak Ukraińcy sowieccy. Różnica między tymi ludźmi była ogromna. Ukraińcy, którzy do roku 1939 zamieszkiwali nasze ziemie wschodnie, byli przyzwyczajeni do wolności, swobody i jawnego wyrażania myśli i przekonań, byli ludźmi odważnymi. Wprawdzie w latach okupacji niemieckiej Hitler zdołał z nich zrobić rezunów, ale to już zupełnie inne zagadnienie. Ukraińcy wschodni, wychowani przez ustrój sowiecki, gnębieni przez Stalina i jego zgrają, byli ludźmi zastraszonymi. Sterroryzowani – wszystkiego się bali, a, już nie daj Boże, spróbować porozmawiać z nimi na tematy polityczne. Nasi Ukraińcy, tak jak i wschodni i inna ludność ZSRR, zazdrościli nam powrotu do kraju. Podkreślali, że mimo rabunkowej gospodarki oraz złej polityki wewnętrznej i zagranicznej, w Polsce jest dużo lepiej niż u nich. „I chociaż Polska nie jest obecnie niepodległa, w takim sensie, jak była do roku 1939 – mówili – zawsze jest jednak – Polską”.

Po kilku godzinach jazdy dotarliśmy do Lwowa. Naczelnik transportu zapowiedział, że postój będzie trwał tu tylko 2 godziny. Wskoczyłem szybko z wagonu na miasto. Na nasze ukochane miasto. Lwów znałem sprzed wojny. Jako chłopiec bywałem tu każdego roku na wakacjach u rodziny. Miasto to utkwilo mi w pamięci jako czyste i estetyczne, wesole i ruchliwe, ładne i kolorowe. Teraz, w roku 1955, zamiast eleganckich, bogatych wystaw widziałem przed sklepami tłumy ludzi stojących w niekończących się kolejkach. Okna – w jednych mieszkaniach zamiast szyb były zabite brudnymi deskami, w innych zamiast wiszących w nich firanek można było zobaczyć gazetę. Na tej małej przestrzeni jaką zdążyłem szybko przebiec, zobaczyłem na ostatek sowiecką kulturę, ich dobrobyt, czystość i estetykę w naszym starym Lwowie. Na dworcu lwowskim za ostatnie kopicjki wypilem halbę piwa i ze smutkiem, na zawsze już żegnając Lwów, poszedłem do wagonu. W pociągu zacząłem przypominać sobie, jak jedenaście lat temu jako zupełnie młody chłopiec, byłem pędzony przez sowiecką służbę bezpieczeństwa do towarowych wagonów, które zawiozły mnie na kilkuletnią nędzę, zniewolenie, katorgę.

Po około 5, a nie 2 godzinach postoju na dworcu lwowskim, jak zapowiadał naczelnik transportu, ruszyliśmy do granicy polsko – radzieckiej. W trakcie jazdy poszliśmy w kilka osób do naczelnika naszego transportu i wypomnieliśmy mu jego kłamstwo. Nie przejął się tym zbyt, rozłożył tylko ręce, jako że on nic nie winien, bo taki dostał *prikaz* od swojego wyższego *naczelstwa*. No cóż, rozumieliśmy go

doskonale. Wiedzieliśmy, że w tym ustroju wszystko oparte jest na kłamstwie, szachrajstwie i obłudzie. Inaczej nie przetrwałby ani jednego dnia. Wkrótce byliśmy w Mościskach, a rano przyjechaliśmy do Medyki. Było to 29 grudnia 1955 roku. Celnicy sowieccy mieli odpowiednie, odgórne dyrektywy, więc wiedzieli: kim jesteśmy i skąd jedziemy. Nie robili nam rewizji szczegółowej, gdyż zdawali sobie sprawę z tego, że ludzie wracający z Sybiru nie są milionerami i majątku nie przewożą, zatem zarobić się na nich nie da. Gorzej było u nich tylko z policzeniem nas. „Mimo iż próbowali kilka razy, jakoś nie mogli się nas doliczyć. Wreszcie dali nam spokój (pewnie po którymś razie doliczyli się już nie swoich sztuk). Po tym wszystkim przesiedliśmy się z polskich – luksusowych wagonów, które wycofano z granicy z powrotem do ZSRR, do również polskich – obskurnych i brudnych, nędznych i odrapanych – stodół.

I wreszcie – po siedmiu latach licznych więzień i obozów, ze specjalno-politycznymi włącznie, i na koniec po czterech latach zesłania, czyli w sumie po jedenastu latach mordęgi i twardej walki o życie – wróciłem do Ojczyzny.

Od autora

Pod koniec lutego i na początku marca 1991 r. byłem w Drohobyczu. Zwiedzając znane mi z dzieciństwa miasto, nie omieszkałem odwiedzić budynku przedwojennego Sądu Grodzkiego, który w czasie okupacji sowieckiej służył pracownikom NKGB do przetrzymywania i przesłuchiwania aresztantów. W 1944 i 1945 r. przesiedziałem w tym więzieniu 5 miesięcy i 10 dni. W tej chwili budynek ten zajmuje Ukraiński Instytut Pedagogiczny. Poszukując swojej celi więziennej (nr 9) byłem w piwnicach tego gmachu. Część podziemia była zamurowaną, pozostały tylko krótkie korytarze a w nich dwoje drzwi o wyglądzie więziennych drzwi z wilczkiem (judaszem) oraz karmuszką (karmnikiem). W podwórzu leżało kilka trumien przygotowanych do pochowania odkopanych ludzkich szkieletów ofiar NKGB. Kości zamordowanych przed pół wiekiem tymczasowo znajdowały się w workach foliowych, gdyż prowadzone prace nie były jeszcze zakończone (wstrzymano je z powodu złych warunków atmosferycznych).

Marzec 1991 r.

Adam Żarski

Podczas mego ostatniego pobytu we Lwowie zwiedziłem budynek przy ulicy Limanowskiego (róg Słonecznej i Limanowskiego), w którym w latach 1945 – 1946 znajdował się *peresylny punkt* (obóz więźniów politycznych oczekujących na wywóz w głąb ZSRR). W 1945 r. siedziałem w nim oczekując na transport. Dziś obok tego gmachu znajduje się duży pomnik wybudowany ku pamięci pomordowanych w latach okupacji niemieckiej Żydów (został on ufundowany przez społeczeństwo żydowskie).

Wrzesień 1992 r.

Adam Żarski

Wykaz nazwisk moich towarzyszy broni z AK

Spis (niekompletny) żołnierzy Armii Krajowej oddziału partyzantki leśnej z Borysławia, którzy brali udział w walkach z okupantem oraz z bandami ukraińskich nacjonalistów (rezunów). Poniżej podaję krótki opis ich losów po zajęciu naszych ziem przez wojska sowieckie w 1944 roku. Muszę zaznaczyć, że wiadomości te pochodzą bezpośrednio od osób wymienionych w tekście lub od kolegów z naszego oddziału, którzy zetknęli się z nimi w późniejszych latach.

1. **Cybulski Kazimierz**, ps. „Pstrąg”, (porucznik) – aresztowany przez wojska NKGB w 1944, skazany w roku 1945 przez „*Wojennyj Trybunał*” w Drohobyczu (woj. lwowskie) na 10 lat obozów i wywieziony w głąb ZSRR, zmarł z głodu i wycieńczenia w obozie na Uralu.
2. **Marecki Bronisław**, ps. „Wiesław” – aresztowany przez NKGB i zasądzony w roku 1945 w Drohobyczu (woj. lwowskie) przez „*Wojennyj Trybunał*” na 10 lat obozów. Wywieziony w 1945 r. w głąb ZSRR wrócił do Polski w grudniu 1955 r. i zamieszkał w Legnicy.
3. **Przybyłowicz Kazimierz** – aresztowany przez NKGB i zasądzony w roku 1945 w Drohobyczu (woj. lwowskie) przez „*Wojennyj Trybunał*” na 8 lat obozów. Wywieziony w 1945 w głąb ZSRR, wrócił do Polski w 1955 roku. Zmarł w 1992 roku.
4. **Szczerbiuk Roman**, ps. „Nieśmiały” – aresztowany przez NKGB 24.12.1944 r. w Borysławiu i skazany 16.05.1945 r. w Drohobyczu przez „*Wojennyj Trybunał*” na 8 lat obozów. Po kilku miesiącach przewieziony został do Lwowa (siedział w więzieniu na ulicy Pełtawnej – w dawnych koszarach kawalerii). Stamtąd transportem wywieziony został w głąb ZSRR do Mołotowska (portu na północy ZSRR). Po dwóch tygodniach załadowali go (wraz z innymi więźniami) na statek towarowy przystosowany do przewozu więźniów. Po dwóch tygodniach dopłynął do Dudzinki – portu rzeczno na Jeniseju (na północ od koła podbiegunowego). Z Dudzinki, kolejką wąskotorową przejechał około 100 km na wschód od Jeniseju – na pustkowie o nazwie Norylsk (w tym miejscu powstało później miasto o tej samej nazwie). Pracował tam w fabryce dynamitu produkowanego na potrzeby kopalni odkrywkowej rudy niklu i kobaltu. Po kilku miesiącach, statkiem rzeczno, rzeką

Jenisej, popłynął do Krasnojarska. Stamtąd więziennym wagonem 29.10.1948 r. został przywieziony do Białej Podlaski. W Polsce żył i pracował we Wrocławiu do 1981, w którym to roku przez Austrię i Włochy wyemigrował do USA (do dziś mieszka w Nowym Jorku).

5. **Gorzowski Dolek** – skazany w 1945 r. przez „*Wojennyj Trybunał*” w Drohobyczu został wywieziony w głąb ZSRR. W 1948 r. pracował w obozie w Norylsku, gdzie ostatni raz widział go Roman Szczerbiuk. Dalsze jego losy nie są znane.
6. **Przystacki** – skazany przez „*Wojennyj Trybunał*” w 1945 r. w Drohobyczu na 8 lat obozów. W 1945 r. wywieziono go w głąb ZSRR. Do kraju powrócił w 1948 r. i zamieszkał w Wałbrzychu.
7. **Leszczak Czesław** – w 1945 r. wywieziono go w głąb ZSRR. Dalsze jego losy nie są znane.
8. **Kopacz Władysław**, ps. „Nowy” – aresztowany 29.12.1944 r. w Borysławiu, następnie przewieziony do Drohobycza. Po śledztwie w 1945 r. został wywieziony do ZSRR, do Kamieńska. W październiku 1945 r. po kilku przesłuchaniach przez śledczego, przewieziono go do więzienia w Nowo-Czerkasku, gdzie siedział do 03.01.1947 roku. Tam też skazano go sądem zaocznym „*Osoboje Sowieszczenie*” na 5 lat obozów i 5 lat zesłania. Po ogłoszeniu wyroku przewieziono go na *peresylny punkt* do Rostowa. Z Rostowa wywieziono go do Peczary. Tam pracował w obozie do 1948, w którym to roku jesienią powrócił do kraju (osiedlił się w Nowej Rudzie).
9. **Ciuruś Zenon** – sądzony przez „*Wojennyj Trybunał*” w Drohobyczu, skazany na 8 lat obozów, wywieziony w głąb ZSRR, dalsze jego losy nie są znane.
10. **Ciuruś Mieczysław** – aresztowany przez NKGB i sądzony przez „*Wojennyj Trybunał*” w 1945 roku. Skazany na 8 lat, wywieziony w 1945 r. w głąb ZSRR – dalsze jego losy nie są znane.
11. **Żarski Adam**, ps. „Leśnik” – aresztowany w Borysławiu 24.12.1944 roku. Po kilku dniach siedzenia na NKGB w Borysławiu został przewieziony do Drohobycza (woj. lwowskie), osadzony w więzieniu (byłym Sądzie Grodzkim), gdzie po kilku miesiącach został skazany (16.05.1945) przez „*Wojennyj Trybunał*” na 7 lat obozów. Z Sądu Grodzkiego przewieziono go do więzienia „Brygidki” (Drohobycz). Stamtąd jesienią wywieziono go do Lwowa do punktu rozdzielczego. Po kilku tygodniach zaś transportem do obozów w Kazachstanie (ostatni obóz – Dżekazgan – *spec obóz*). Po odbyciu wyroku zesłany na Sybir (na północ od

Krasnojarska – osada Józno – Jenisejsk), skąd po 4 latach przymusowej zsyłki powrócił do kraju w grudniu 1955 roku. Osiedlił się we Wrocławiu.

12. **Adamczyk Władysław** – aresztowany 23.12.1944 r. w Borysławiu, a następnie wywieziony do Drohobycza (więziony w budynku byłego Sądu Grodzkiego), gdzie po pięciu miesiącach został skazany 16. 05. 1945 r. przez „*Wojennyj Trybunał*” na 8 lat więzienia. Po ogłoszeniu wyroku został przewieziony do Lwowa (punkt rozdzielczy), stamtąd do Archangielska (nad Morzem Białym), a później do Jarosławska. W końcu zawieziono go do województwa karagandyjskiego, do miasta Serań. Po odbyciu wyroku został zesłany na dożywocie do pracy w kolchozie Iwangorod (powiat kelerowski, woj. kokosyławskie). Do kraju wrócił 13.12.1955 r. (po 11 latach tułaczki na obczyźnie).
13. **Rzemiński Eugeniusz** – jego losy nie są znane.
14. **Czeluśniak Adam** – jego losy nie są znane.
15. **Gawlik Zdzisław** – w roku 1944 zgłosił się do Ludowego Wojska Polskiego, w którym dosłużył się stopnia chorążego. Zginął w obronie Ojczyzny (w walce z Niemcami) 19.04.1945 r. w miejscowości Lipa Łużycka. Pochowany został w Zgorzelcu.
16. **Rościszewski Tadeusz**, ps. „Szczipak” – zgłosił się w 1945 r. do Ludowego Wojska Polskiego, gdzie dosłużył się stopnia kapitana. Po wojnie zamieszkał w Rzeszowie.
17. **Skobertal Andrzej** – osiedlił się w Wałbrzychu, gdzie pracował jako główny księgowy w kopalni „Wiktoria”. Zmarł w 1994 roku.
18. **Niesytto Jerzy** – po wojnie zamieszkał w Warszawie.

*

Z naszego plutonu uczącego trzydziestu żołnierzy, po żmudnych dociekaniach, obszernej korespondencji, udało mi się uzyskać 18 nazwisk moich współtowarzyszy i (w większości) informacje o ich powojennych losach. Dwanaście osób z naszego oddziału umknęło mi z pamięci, jak również z pamięci moich kolegów.

Po moim przyjeździe z ZSRR w 1955 r., odtworzyłem nazwiska wszystkich żołnierzy mojego oddziału i spisałem je. Z uwagi na bezpieczeństwo kolegów (nie wszyscy życzyli sobie, by nazwiska ich ujmowano wśród nazwisk byłych żołnierzy Armii Krajowej), notatki moje przechowywałem w piwnicach u znajomych. Niestety, uległy one całkowitemu zniszczeniu.

Ilustracje

Карольевич

МГВ СССР
Управление МГБ
Красноярского края

Удереиское МГВ
5 *мая* 1952 г.
№ *451*

УДОСТОВЕРЕНИЕ (взамен паспорта)

Выдано *Исарекому*
Адаму Карольевичу
1926 года рождения в том, что он (она) является *Семаном*
Карольевичем и проживает в *пос. И. Карольевича*
деревня, село, город, район
Удереиского района Красноярского края

Действительно по *31 декабря* 1952 г. только на территории *Удереиского* р-на Красноярского края



Начальник *Удереиского* ГО РО МГБ
Карольевич
подпись




АРХИВНАЯ СПРАВКА

В документах государственного архива имеются сведения о том, что гр-н ЖАРСКИЙ АДАМ КАРЛОВИЧ, 1926 года рождения, действительно отбывал меру наказания в местах лишения свободы с 24 декабря 1944 года по 24 декабря 1951 года. Работал разно-рабочим на разных строительных работах.

Директор государственного архива Карагандинской области

А. В. Ефременко



30 июня 1980 года
Ж- 21

TLUMACZENIE Z JĘZYKA ROSYJSKIEGO/Z. ORYGINAŁU/.

NADruk:MBP ZSRR.-----

ZARZĄD MBP KRAJU KRASNOJARSKIEGO.-----

UDEREJSKIE MBP.-----

Dnia 5 maja 1952 roku.-----

Nr 451.-----

NADruk:ZAŚWIADCZENIE/ZAMIAST DOWODU OSOBISTEGO/.

Wydano ADAMOWI ŻARSKIEMU synowi KAROLA, rok urodzenia 1926, iż On jest - zesłańcem-osiedleńcem i zamieszkuje w osadzie Ju. Jenisejsk Rejonu uderejskiego Kraju Krasnojarskiego.-----

Ważne do 31 grudnia 1953 roku tylko na terytorium Rejonu uderejskiego Kraju Krasnojarskiego.-----

Z lewej strony zdjęcie 3 cm x 4 cm opieczątowane pieczęcią okrągłą z godłem państwowym Związku Radzieckiego i napisem w otoku: Zarząd/ dalsza część pieczęci nieczytelna-przyp. tłumacza przysięgłego/ Naczelnik Uderejskiego MW MBP-kapitan Griaznow-- podpis nieczytelny.-----

=====

REPERTORIUM nr 193/94. Zgodność powyższego tłumaczenia z przedłożonym dokumentem/oryginałem/ w języku rosyjskim poświadczą tłumacz przysięgły języka rosyjskiego.

Tłumaczenie sporządzono w 1 egzemplarzu.

Tytułem wynagrodzenia pobrano kwotę 59.700,-zł

Wrocław, dnia 3 sierpnia 1994 roku.



TLUMACZ PRZYSIEGLY
Janina Erdt

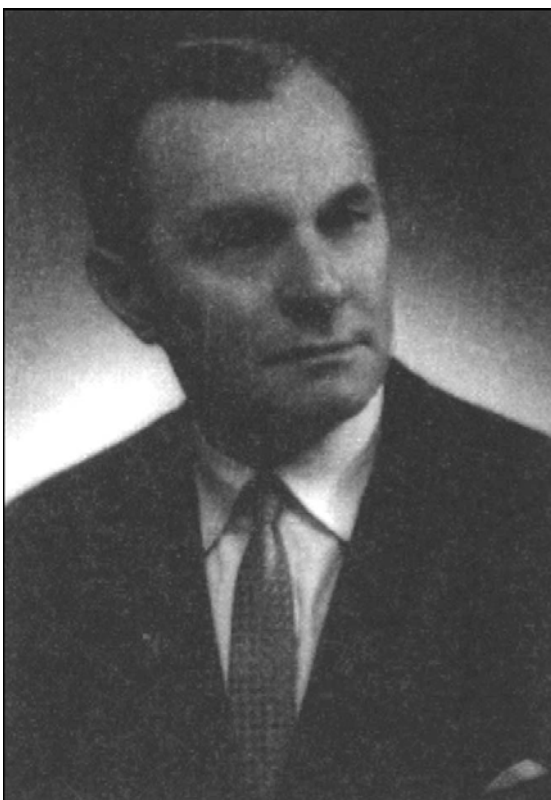
TŁUMACZENIE Z JĘZYKA ROSYJSKIEGO/Z ORYGINAŁU/
 Z A S W I A D C Z E N I E A R C H I W A L N E.---
 Archiwum państwowe jest w posiadaniu dokumentów
 stwierdzających, iż ADAM ŻARSKI syn KAROLA urodzony
 w 1926 roku rzeczywiście odbywał karę w miejscach
 pozbawienia wolności od 24 grudnia 1944 roku do---
 24 grudnia 1951 roku. Pracował jako robotnik na róż-
 nych pracach budowlanych.-----
 Dyrektor Archiwum Państwowego obwodu karagandiński
 go A.W. Jefriemienko podpis nieczytelny.-----
 Pieczęć okrągła z godłem państwowym Związku Radzie-
 ckiego i napisem w otoku: Kazachska SRR. Państwowe--
 Archiwum obwodu karagandińskiego.-----
 Dnia 30 czerwca 1980 roku.-----
 Ż-21.-----
 =====
 REPERTORIUM nr 192/94. Zgodność powyższego tłumacze-
 nia z przedłożonym oryginałem w języku rosyjskim
 potwierdza tłumacz przysięgły języka rosyjskiego.
 Tłumaczenie sporządzono w 1 egzemplarzu.
 Tytułem wynagrodzenia pobrano kwotę 59.700,-zł
 Wrocław, dnia 3 sierpnia 1994 roku.



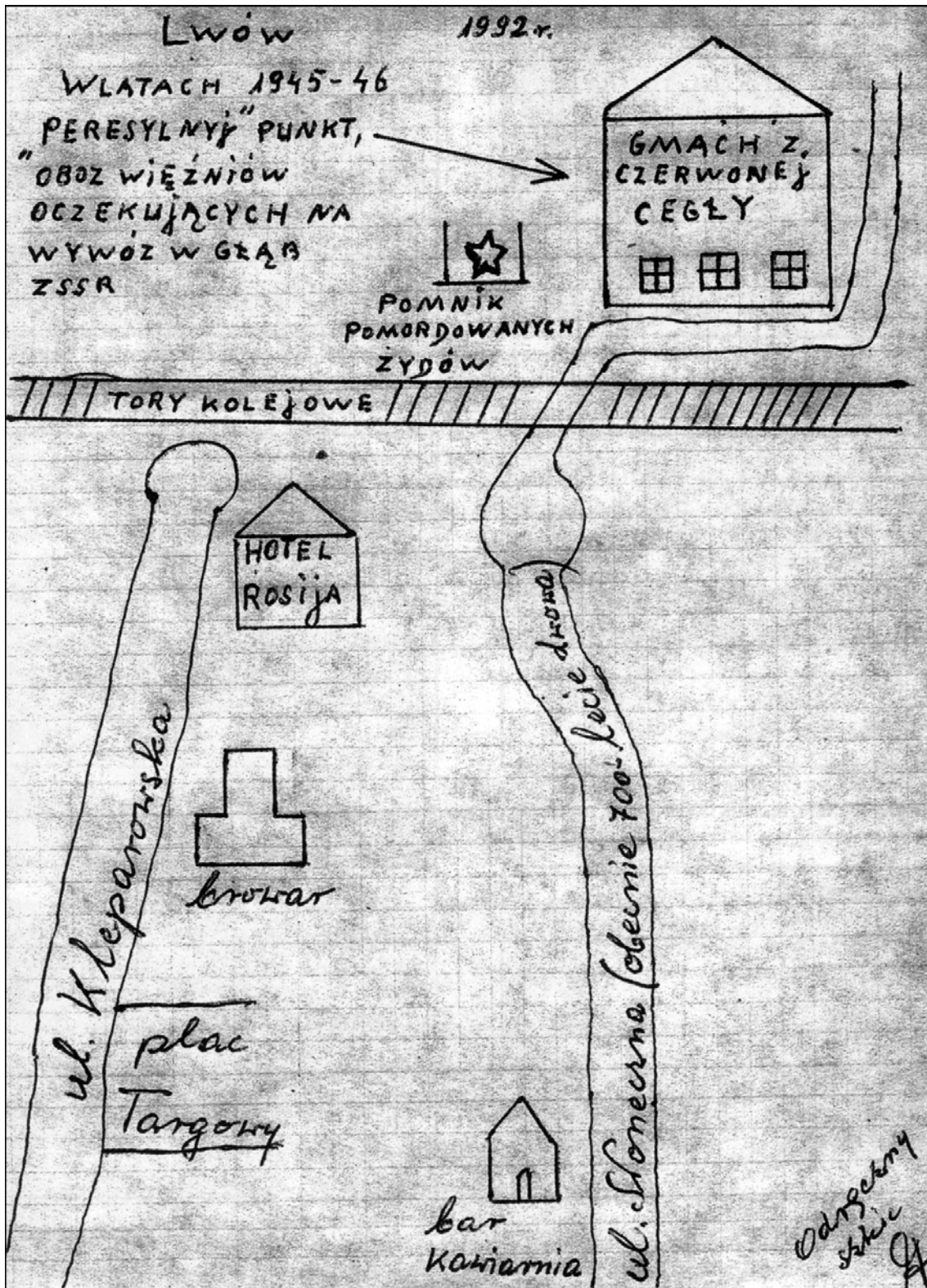
TŁUMACZ PRZYSIĘGŁY
mgr Janina Erdt



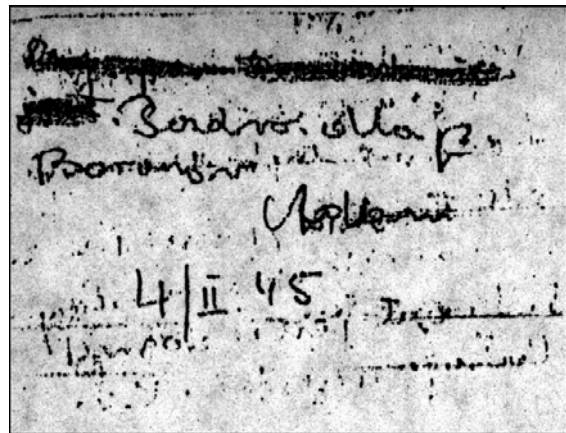
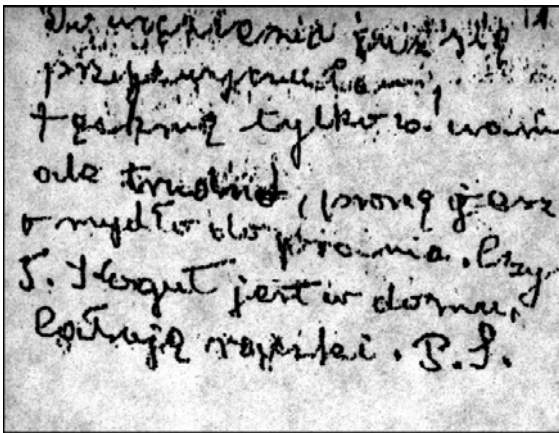
Na tle Angary w Małygino



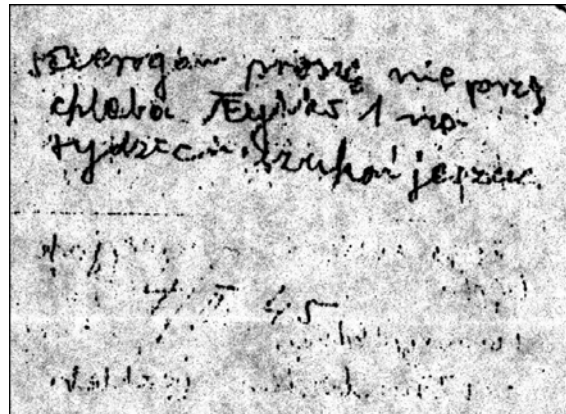
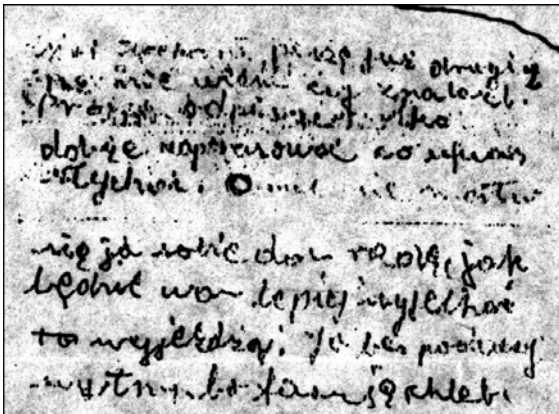
Kpt. Armii Krajowej Antoni Kral ps. „Orion” nauczyciel Tajnego nauczania w Borystawiu podczas okupacji niemieckiej. Zdjęcie obok: jego żona, Zofia Kral, również nauczycielka Tajnego nauczania w Borystawiu.



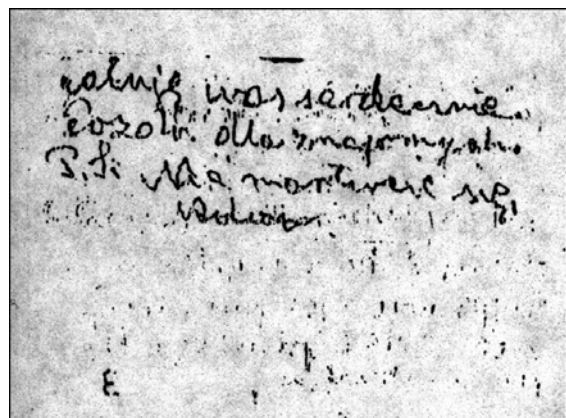
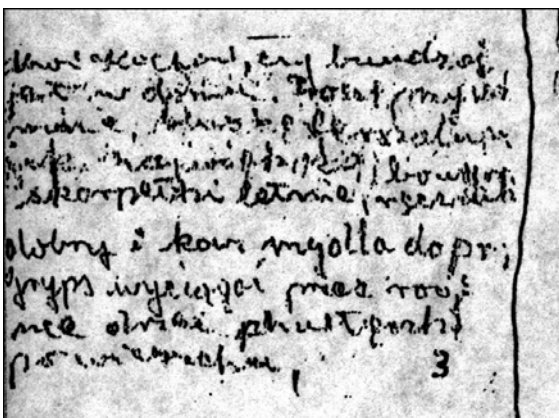
Cztery sztuki grypsów z więzienia w Drohobyczu plus 1 gryps z obozu rozdzielczego we Lwowie z 1 945r. (znikoma część, która się zachowała do dnia dzisiejszego).



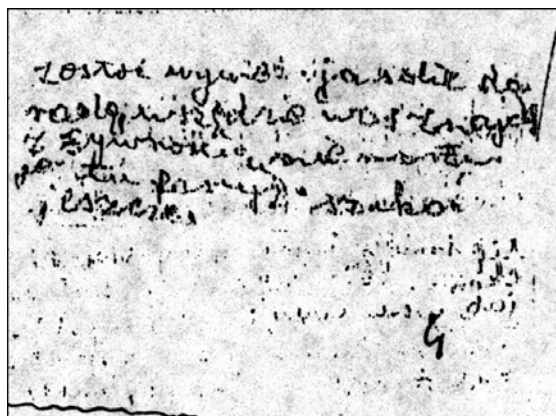
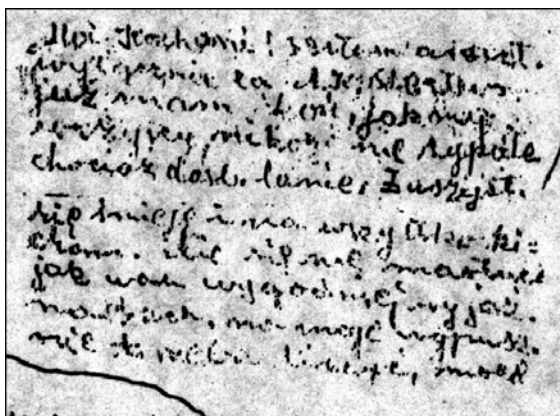
1) Do więzienia już się przyzwyczaiłem, tęsknię tylko za wami, ale trudno proszę jeść. o mydło do prania. Czy T. Kogul jest w domu, całuję rączki. P.S. Pozdro. dla p. Baranów. Adam. 4 II 45



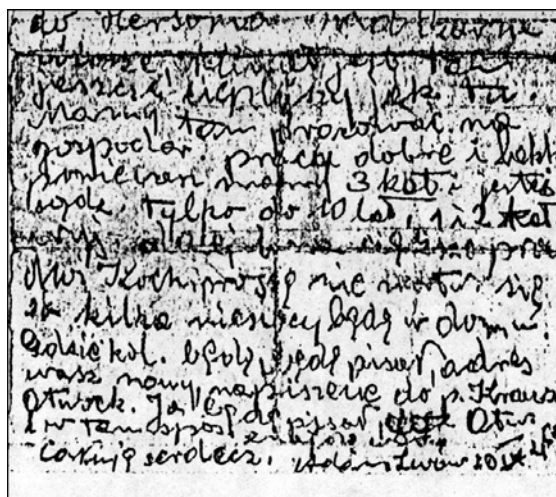
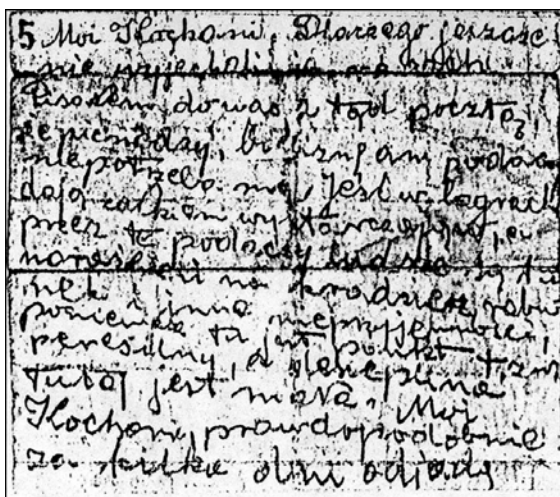
2) Moi kochani piszę już drugi raz, nie wiem czy znał. proszę odpisać. Tylko dobrze zaprasować, co u was słychać. O mnie nie martw. się ja sobie dam radę, jak będzie wam lepiej wyjechać to wyjeżdżaj. Ja bez podaczy wytrzym. bo fasuję chleb. Pierogi proszę nie przy. chleba tylko 1 raz na tydzień. Szukać jeszcze. 4 II 45



3) Moi kochani czy Bundzaj jest w domu. Proszę przysłać na razie bluzkę ferszolung, jak najwięcej bo wyr. skarpetki letnie, ręcznik dobry i kaw. mydła do pr. gryps wyciągnąć przez rogi nie drzeć chusteczką po wierzchu, całuję was serdecznie. Pozdr. dla znajomych. P.S. Nic martwcie się. Adam



4) Moi kochani jestem aresztowany wyłącznie za AK. Śledztwo już mam skoń. jak my wszyscy nikogo nie sypałem chociaż dostałem lanie. Z wszystk. się śmieję i na wszystko kicham. Nic się nie martw. jak wam wygodniej wyjedź.. na Zach. na moje wypuszczenie nie trzeba liczyć, mogę zostać wywiez, ja sobie dam radę, wszędzie was znajdę. Z żywnością nie martw. ja tu fasuję. Szukać jeszcze.



5) Gryps ze Lwowa 10 IX 1945r. Moi kochani dlaczego jeszcze nie wyjechaliście na Zach. Pisałem do was stąd pocztą, ze pieniędzy, bieliznę, podaczy nie potrzeba mi, jeść w lagr. dają całkiem wystarczająco, a przez te podaczy ludzie są tu narażeni na kradzież, rabunek i inne nieprzyjemności ponieważ tu jest punkt peresylny a dyscyplina tutaj jest mała. Moi kochani prawdopodobnie za kilka dni odjadę do Hersona nad Czarne Morze, kJimat tam jest jeszcze cieplejszy jak tu. Mamy tam prac. na gospod, prace dobre i lekkie ponieważ mamy 3 kat. i jesteś, sądz. tylko do 10 lat, 1 i 2 kat. wyj. dalej i na cięższe prace. M. K. proszę nie martw, się za kilka miesięcy będę w domu. Gdziekol. będę pisał adres wasz nowy, napiszcie do p. Kraus. Otwock. Ja będę pisał do Otw. i w ten sposób znajdę was. Cał. serd. Lwów 10 IX 45r. Adam



Ogólny widok osady Južno-Jenisejsk. Centrum osady, na samochodzie robotnicy leśni, którzy przyjechali na obchody uroczystości 1 Maja w 1954r.



Aleksandra Woronowa. Urzędniczka w osadzie Južno-Jenisejsk (1953r.)



Južno-Jenisejsk 1954r. Autor z pracownikami szpitala (w głębi szpital).



Kazimierz Przybyłowicz, żołnierz Armii Krajowej, po odbyciu wyroku (8 lat) na zesłaniu, 1945r. Sybir.



Na pikniku Južno-Jenisejsk 1954r. (autor czwarty od lewej)



Pracownicy Rejonowego Oddziału Finansowego w osadzie Južno-Jenisejsk na spacerze.



Uczennica Margarita Iwanowna Woronowa na tle szkoły w osadzie Južno-Jenisejsk w 1953r.



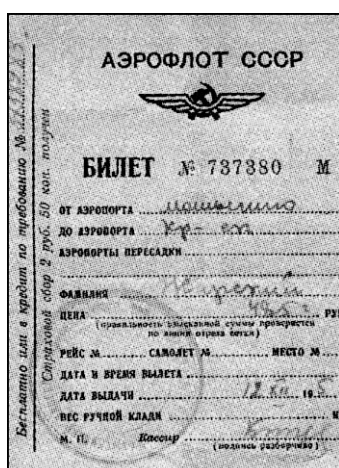
Męska drużyna siatkówki na stadionie w osadzie Južno-Jenisejsk w 1953r. (trzeci z lewej autor).



Ogólny widok osady Motygino. Sybir 1955r. (woj. Krasnojarsk).



Rzeka Angara obok osady Motygino (80 km od Južno-Jenisejsk). 1953r.



Bilet lotniczy za przelot samolotem z miejscowości Motygino do Krasnojarska.



Wśród przyjaznych mieszkańców Sybiru (Motygino 1955r.)



Na łące w pobliżu osady Motygino 1955r..



Wiktor Warro, Węgier na Sybirze w osadzie Južno-Jenisejsk (1955r.). Obecnie zamieszkały w Budapeszcie



Južno-Jenisejsk 1954r. Autor.

AMBASADA R.P.
w MOSKWIE
Wydział Konsularny
Referat Prawny
Nr. 319/R/26819/L-1
Zarski Adam
zwolnienie i repatriacja

Moskwa, dnia 10. V 1947 r.

Do
Obyw. *Zarskiego Karola*
w. *Głuszyca*

Ambasada R.P. w Moskwie potwierdza otrzymanie podania
w sprawie zwolnienia i repatriacji ob. *Zarskiego Adama*

O biegu sprawy Ambasada zawiadomi dodatkowo, prosząc równocześnie o natychmiastowe zawiadomienie o dacie ewentualnego powrotu w/w do Kraju.

I Sekretarz Ambasady R.P.
Aleksander Juszkiewicz

GENERALNY PEŁNOMOCNIK RZĄDU R.P.
DO SPRAW REPATRIACJI
Urząd do Spraw Repatriacji
Ludności Polskiej z Z.S.R.R.
L.dz. *25/1.477*

Warszawa, dn. *19* 1946 r.
ul. Rakowiecka Nr. 11a

Ob. *Zarski Karol*
ul. Głuszyca Nr. 11
Głuszyca pow. Naliborski
Radziwiłłów, powiat

Zawiadamiam, że podanie z dn. *25/1.477*
w sprawie zwolnienia i repatriacji *Zarskiego Adama*
przesłane zostało w dniu dzisiejszym do Ambasady R.P.
w Moskwie. -

GENERALNY PEŁNOMOCNIK:
[Signature]

Odpowiedzi z Moskwy na pisma Karola Żarskiego w sprawie zwolnienia syna z obozów kazachstańskich

D •

Ministerstwa Spraw Zagranicznych
Departament Polityczny
Wydział Radziecki

W W a r s z a w i e

Powelujac się na pismo Ministerstwa Spraw Zagranicznych z 12.VIII 1947 - proszę o powiadomienie mnie jak przedstawia się sprawa powrotu syna mego Adama z Z.S.R.R.

Nadmieniam, że w r. 1947 wniosłem prosbę o zwolnienie go i repatriację do kraju - dotychczas bez rezultatu.

Proszę uprzejmie o interwencje w Ambasadzie R.P. w Moskwie.-

Głuszca dnia 21 marca 1950.

Pismo Karola Żarskiego (ojciec Adama) w sprawie zwolnienia go z przymusowego wywozu do ZSRR.

MINISTERSTWO
SPRAW ZAGRANICZNYCH
Biuro Konsularne
Nr. 385/R/... 1949

Warszawa, dnia..... 19. III. 1950r.

Ob. *Karol Żarski*...

W odpowiedzi na podanie Obywatela *R.* z dnia *21. III. 50.* w sprawie powrotu do kraju... *ob. Karol Żarski*... Ministerstwo Spraw Zagranicznych zawiadamia, że repatriacja z obozów i miejsc odosobnienia w Z.S.R.R. została zakończona w 1949 r.

W związku z tym ob. *Karol Żarski*... *Adam* po zwolnieniu go (jej) z obozu winik. sam. r. czynić starania o uzyskanie zezwolenia na przyjazd do Polski.-

Kierownik Sam.Referatu I.
do Spraw Repatr. i Reemigr.
Wojciech

Jedna z nielicznych odpowiedzi jakie udzieliło M.S.Z. na pismo w sprawie starań przez rodziców o zwolnienie Adama Żarskiego z obozów.

Z a r s k i Karel
 Gluszyca
 ul. Grunwaldzka 11
 pow. Walbrzych
 Woj. Wrocław

D o

A m b a s a d y P o l s k i e j

w M o s k w i e

Z powołaniem się na pismo Ambasady z dnia 10.V.1947
 Nr.319/R/26819/47 - posze o interwencje w sprawie zwolnienia
 i repartycji obywatela polskiego.

Imię i nazwisko: Z a r s k i Adam syn Karola

Data urodzenia: Boryslaw dnia 3 lutego 1926.

Zawód: uczeń

Stan rodzinny: wolny

Stale miejsce zamieszkania przed 1.9.1939 Boryslaw Długosza 3

Miejsce zamieszkania w czasie okupacji niemieckiej - jak wyżej -

Data i miejsce i okoliczności aresztowania Boryslaw 24.VII 1944.

Dokładny adres obecny /prawdopodobnie:

Kazach. Z. S. S. R.

Karagandanskaja Obłast, pocztowe oddzielenie
 wiosk Delynka skrzynka pocztowa L.K.246/8 B.

Adres powyższy otrzymałem od obywatela polskiego który z synem
 razem był pod wyżej wskazanym adresem i który w r. 1948 powrócił
 do kraju.-

Gluszyca dnia 21 marca 1940.



AMBASADA
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
w MOSKWIE

Moskwa, dn. 2 listopada 1955 r.

Żarski Adam

Nr. 274/³¹⁰⁹/2/8/55.

W związku z listem Obywatela z dn. 19.X.b.r. w sprawie wyjazdu do Kraju Wydział Konsularny Ambasady PRL w Moskwie informuje, że w wypadku Obywatela należy czekać na zarządzenia odpowiednich władz radzieckich.

Wyjazd Obywatela nastąpi w ramach zbiorowego transportu.

Kierownik Wydziału Konsularnego

Motruk
/ Piotr Motruk /

II-Sekr. arz. Amb. ady PRL.

PREZYDIUM
RADY NARODOWEJ w m. st. WARSZAWIE
Wzrost
Społeczno-Administracyjna

Ob. *Adam Żarski Karol*
głuszycze, ul. Grunwaldzka 11
psm. Haberzych.

Nazwisko
Sd. 1-11/3699/54

Data
dnia 22.XI.54 r.

W związku z podaniem Obywatelski z dnia 18.XI.54 r. Wydział Społeczno-Administracyjny Prezydium Rady Narodowej w m. st. Warszawie prosi o nadesłanie:

przema z podaniem powozym z pochodz. Haberzych syn. Obywatela nie wrocił do polski u czwie. Aruana repatriacji

Do czasu nadesłania w/w dokumentu/zwrot opłaty w kasach skarbowych za sumę zł. sprawa pozostanie bez załatwienia.

O autorze



Adam Józef Dedio-Żarski urodził się 3 lutego 1926r. w Borysławiu (woj. Lwów). W 1939 r. ukończył szkołę podstawową, po wybuchu wojny podczas okupacji sowieckiej kontynuował naukę i w godzinach popołudniowych pracował.

W 1941 r. podczas okupacji niemieckiej pracował w przemyśle naftowym, a w godzinach popołudniowych uczęszczał na tajne komplety gdzie w 1944 r. ukończył średnie wykształcenie.

W 1942 r. wstąpił w szeregi Armii Krajowej i był jej czynnym członkiem aż do chwili aresztowania przez władze sowieckie. W 1944 r. po aresztowaniu został wywieziony do Drohobycza, po ukończeniu śledztwa w więzieniu w 1945 r. został zasądzony przez sowiecki Sąd Wojskowy na 7 lat obozów za przynależność do Armii Krajowej. Jesienią 1945 r. z Drohobycza został wywieziony do Lwowa, do obozu przejściowego skąd po kilku tygodniach w towarowych wagonach wywieziony został do obozu w Kazachstanie. Po ukończeniu wyroku, w grudniu 1951 r. został dodatkowo zesłany na Sybir. W 1955 r. po 11 latach więzień i obozów sowieckich powrócił do Ojczyzny. W 1966 r. ukończył studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego. W 1981 r. na wniosek Tymczasowego Koła Kombatantów przy NSZZ „Solidarność” został mianowany drugim przewodniczącym Koła Kombatantów przy NSZZ „Solidarność” we Wrocławiu. W 1982 r. przeszedł ze względu na stan zdrowia na wcześniejszą emeryturę.



Biblioteka Uniwersytecka we Wrocławiu
www.bu.uni.wroc.pl



Pracownia Reprograficzna BUWr
www.bu.uni.wroc.pl/reprog



Usługi internetowe
www.centrix.pl



Wydawnictwo internetowe
www.zlotemysli.com



CzasNaE-Biznes
PRAKTYCZNY E-MARKETING
www.cneb.biz